

Jej usta były chętne i miękkie w dotyku. Westchnęła, a potem wyszeptała:

- Wesołych Świąt.
- Wesołych Świąt, Sage.

Z uśmiechem otoczyła go ramionami i zaczęła całować jeszcze namiętniej. A może tylko starając się, aby tak wyglądało?

- Travis!
- Co?
- Pocałuj mnie.
- Już to zrobiłem.

- Ale pocałuj mnie tak naprawdę - rzekła i zamruczała prowokująco. - Wiem, że jest gwiazdka, ale możesz przecież pocałować mnie i naczej.

- Sage, proszę cię. - Młody człowiek nerwowo zerknął w kierunku okien. W domu odbywało się przyjęcie. - Ktoś mógłby nas zobaczyć.

Puściła go i mruknęła ze złością:

- Na litość boską, Travis, jesteś tak cholernie poprawny! Nikt nas nie widzi. A jeśli nawet, cóż to kogo obchodzi, że się tu pieścimy?

- Choćby moją matkę... Czy podoba ci się ta bransoletka?

Mimo że wytrącona z równowagi, odparła grzecznie:

- Oczywiście! Podobałaby się każdej kobiecie; jest przepiękna. - Uniosła rękę i potrząsnęła ciężką złotą obręczą zdobiącą nadgarstek. - To miło, że pozwoliłeś mi otworzyć prezent już dziś.

- W ten sposób będziesz się nią mogła cieszyć przez całe święta.

Jej usta były chętne i miękkie w dotyku. Westchnęła, a potem wyszeptała:

- Wesołych Świąt.
- Wesołych Świąt, Sage.

Z uśmiechem otoczyła go ramionami i zaczęła całować jeszcze namiętniej. A może tylko starając się, aby tak wyglądało?

- Travis!
- Co?
- Pocałuj mnie.
- Już to zrobiłem.

- Ale pocałuj mnie tak naprawdę - rzekła i zamruczała prowokująco. - Wiem, że jest gwiazdka, ale możesz przecież pocałować mnie i naczej.

- Sage, proszę cię. - Młody człowiek nerwowo zerknął w kierunku okien. W domu odbywało się przyjęcie. - Ktoś mógłby nas zobaczyć.

Puściła go i mruknęła ze złością:

- Na litość boską, Travis, jesteś tak cholernie poprawny! Nikt nas nie widzi. A jeśli nawet, cóż to kogo obchodzi, że się tu pieścimy?

- Choćby moją matkę... Czy podoba ci się ta bransoletka?

Mimo że wytrącona z równowagi, odparła grzecznie:

- Oczywiście! Podobałaby się każdej kobiecie; jest przepiękna. - Uniosła rękę i potrząsnęła ciężką złotą obręczą zdobiącą nadgarstek. - To miło, że pozwoliłeś mi otworzyć prezent już dziś.

- W ten sposób będziesz się nią mogła cieszyć przez całe święta.

- To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję.

- Czuję jednak, że jesteś rozczarowana.

Sage Tyler popatrzyła na niego spoza gęstych rzęs. Miękkim głosem wyznała:

- Myślałam, że dasz mi na gwiazdkę pierścionek zaręczynowy... - Nie zdążył zareagować, bo Sage mówiła dalej: - Ale przecież nie wybraliśmy jeszcze pierścionków. Kto wie? Może nie będę chciała nic tradycyjnego, odrzucę konwencje i wybiorę coś całkiem nowego? Może zamiast diamentu jakiś inny kamień?

Travis mierzył wzrokiem białe skórzane spodnie dziewczyny. Jej sweterek podobał mu się - biała angorka, na przodzie i ramionach przyozdobiona błyszczącymi paciorkami. Lecz spodnie wydawały się zbyt ryzykowne. Uśmiechnął się niepewnie.

- Sage, nikt nie posądziłby cię o konwencjonalizm.

- I dzięki Bogu. - Odgarnęła na plecy ciemnoblond czuprynę. - Twoja matka o mało nie dostała zawału, gdy zeszałam na dół w tych spodniach.

- Wiesz, skórzane spodnie kojarzą się jej chyba z gwiazdami rocka i „Piekielnymi Aniołami”.

- Może powinnam była założyć jakąś pastelową suknię z tafty?

Zmarszczył się, słysząc sarkazm w głosie dziewczyny.

- Matka to matka. Ona i jej przyjaciele są mniej więcej podobni. Robią to samo, bywają w tych samych miejscach, ubierają się w zbliżony sposób. Ona po prostu przywykła do pewnego stylu.

- Jeśli mam być jej synową, to lepiej niech przywyknie do mojego stylu. Mam nadzieję, że nie spodziewa się oglądać mnie po ślubie w długich, plisowanych spódnicach i nobliwych bucikach na płaskim obcasie. Jedyne, co zmienię w dniu naszego ślubu, to nazwisko. A jeśli już o tym mowa, to uważam - kontynuowała w przypływie natchnienia - że dzieje świętego Walentego byłby w sam raz na oficjalne zaręczyny. Lepszy niż Boże Narodzenie, bo bardziej romantyczny.

Dla zacerpnięcia świeżego powietrza Sage wyciągnęła Trávisa na przestronną werandę domu Belcherów. Gregoriańska budowla z czerwonej cegły jarzyła się od lampek bożonarodzeniowych. W salonie przyciągała uwagę olbrzymia choinka zainstalowana przez dekoratora wewnątrz, który najwidoczniej lubował się w perłach, motylkach i koronkowych ozdobach.

Na czas świąt na trawniku od strony ulicy znalazły się trzy świerczki. Udekorowano je przede wszystkim na użytek przechodniów, którzy zwykle przybywali z najodleglejszych zakątków, by podziwiać świąteczny wystrój zamożnej części Houston. Jak co roku o tej porze ulicą ciągnął nieprzerwany potok aut. Światła reflektorów przyćmiewała lekka mgła.

Choć nie było zbyt zimno, Travis skulił się w swym ciemnym garniturze. Ręce wcisnął do kieszeni spodni. Ta wojownicza poza zawsze irytowała Sage, która uważała, że chłopak wygląda wtedy na aroganckiego potomka bogaczy. Takie jego zachowanie oznaczało zwykle również, że mężczy go coś, o czym trudno mu mówić. Wreszcie zdobył się na odwagę.

- Problem w tym, Sage, że zastanawiam się, czy nie pośpieszylibyśmy się zbyt, ogłaszając zaręczyny.

Stwierdzenie Trávisa zbiło ją z tropu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Travis chrząknął.

- Po semestrze letnim czekają mnie jeszcze praktyki i rok college'u. Potem dopiero specjalizacja - dermatologia.

- Wiem doskonale, co cię czeka, zanim uda ci się otworzyć prywatną praktykę. Travis, poradzimy sobie. Z moim dyplodem i stopniem magistra znajdę dobrą pracę.

- Nie martwię się o pieniądze. Rodzice będą mi pomagać aż do otwarcia praktyki.

- To o co chodzi? Rozchmurz się. Są święta.

Popatrzył na samochody przejeżdżające obok rezydencji.

- Ty chyba nie rozumiesz, do czego zmierzam, Sage.

Przestała się uśmiechać.

- Najwidoczniej nie, ale to musi być coś strasznego, bo

wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zwymiotować. Nie męcz się tak. Jeśli masz coś do powiedzenia, zrób to.

Travis podrapał się po głowie, znów chrząknął i zaszurał butami.

- Ostatnio dużo o tym wszystkim myślałem...

- I?

- I chyba... To nie dlatego, że ty... Sage... To po prostu my... my... nie...

- Co nie?

Zawahał się. Niepewnie otwierał i zamykał usta, zanim wreszcie oznajmił:

- Nie pasujemy. Nie pasujemy do siebie. - Wyrzuciwszy z siebie te słowa, odzyskał rezon. Odetchnął z ulgą. Widać było, że jest zadowolony z własnej odwagi.

Sage wpatrywała się w niego z osłupieniem. Nie wierzyła własnym uszom. Spotykała się z Travisem od ponad roku. Było jasne, że się pobiorą, gdy tylko ona zrobi dyplom. Semestr dobiegał końca, a zatem spodziewała się pierścionka zaręczynowego i oficjalnego ogłoszenia terminu ślubu, który miał się odbyć latem. A teraz, pomyśleć tylko, on ją porzuca! Niedorzeczne. Ja! Sage Tyler! Z pewnością to jakieś nieporozumienie...

- Nie powiesz mi chyba, że zrywasz zaręczyny?

Chrząknął niepewnie.

- Myślę, że powinniśmy się jeszcze zastanowić...

- Nie owijaj w bawełnę, Travis - rzekła gniewnie. - Jeśli odchodzisz, to miej chociaż na tyle jaj, żeby powiedzieć to wprost.

- Ja cię wcale nie porzucam. Mama uważa...

- Ach, „mama uważa”!... A więc to mama uważa, że nie jestem odpowiednia dla jej małego chłopczyka.

- Nie wmawiaj mi słów, których nie powiedziałem, Sage!

- Więc wyduś wreszcie, o co naprawdę chodzi!

- Mama uważa, a ja się z nią zgadzam, że jesteś dla mnie zbyt... krzykliwa.

- Krzykliwa?

- Pretensjonalna.

- Pretensjonalna?!

- Przesadna.

- Bo noszę skórzane spodnie?

- Sage, bądź sprawiedliwa - zaprotestował.

- Sprawiedliwie bądź przekłety. Dostanę zaraz szału!

- Nie masz prawa.

- Nie mam prawa?

- Jeśli przez chwilę się skupisz, to przypomnisz sobie, że oficjalnie nigdy nie prosiłem, byś za mnie wyszła. Prosiłem? - upewniał się nieśmiało.

- Oczywiście, że tak! - wrzasnęła. - Cały czas o tym rozmawialiśmy. Moja rodzina...

- ...będzie zachwycona, jeśli nic z tego nie wyjdzie - wpadł jej w słowo. - Twoi bracia mają mnie za durnia. Twoja matka toleruje mnie tylko i wyłącznie dlatego, że jest uprzejma dla wszystkich. Ten szeryf, który zawsze kręci się w pobliżu waszej rodziny, ilekroć mnie widzi, pochrząkuje znacząco i kręci głową z dezaprobatą.

- Pleciesz! - oświadczyła, choć wiedziała, że jego spostrzeżenia są prawdziwe.

- Dobra, nieważne - rzucił niecierpliwie. - Po prostu myślę, że musimy od siebie odpocząć.

Zabolało ją to.

- Myślałam, że mnie kochasz...

- Tak.

- To po co ta rozmowa? Ja też cię kocham.

Wyglądał naprawdę żałośnie.

- Kocham cię, Sage. Jesteś piękna i atrakcyjna. Jesteś najbardziej fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Zawróciłaś mi w głowie. Jesteś przebojowa; przywykłaś dyrgować wszystkim, nakłaniać ludzi, by postępowali wedle twojej woli.

- Robisz ze mnie satrapę!

- Nic podobnego! Ale ty masz w sobie tyle życia i energii, że nie czuję się na siłach sprostać temu. Jestem już zmęczony

ciągłymi próbami nadszania za tobą. Jesteś spontaniczna i impulsywna. A ja - metodyczny i ostrożny. Prowadzisz politykę liberalną. Ja - konserwatywną. Wierzysz całym sercem we własnego Boga. A ja mam wątpliwości. Jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, różnice są nie do pogodzenia.

- Ponoć przeciwieństwa się przyciągają.
- Dochodzę do wniosku, że jednak nie.
- To wszystko gówno prawna, Travis. Próbujesz mi osłodzić zerwanie. Wyliczyłeś całą listę powodów. Jeśli zamierzasz mnie rzucić, bądź na tyle uczciwy, by nie mówić półsłówkami.
- Nie utrudniaj mi wszystkiego jeszcze bardziej! - krzyknął.

Nie utrudniać mu! Sage zacisnęła dłoń, jakby szykując się do ciosu.

- Po prostu już mnie nie kochasz. Przecież w gruncie rzeczy o to chodzi.

- Nie. Wszystko, co do tej pory powiedziałem, to prawda. Kocham cię, Sage. Ale, do cholery, już samo nadszanie za tobą pochłania prawie całą moją energię. - Roześmiał się gorzko. - Jesteś jak figlarny, mały piesek, wymagający nieustannej troski i zainteresowania.

- Nie zauważyłam, żebyś narzekał na mój temperament - oświadczyła chłodno. - Raczej zdarzało ci się prosić o więcej...

Był na tyle przyzwoity, że sposepniał.

- Widzisz, Sage - dodał zniechęcony. - Zabrakło mi pary. Wyczerpałaś mnie. Nie potrafię dotrzymywać ci kroku, poświęcając zarazem dość czasu i uwagi studiom. Myślę, że powinniśmy od siebie odpocząć i przemyśleć wszystko, zanim rzucimy się w wir małżeństwa... - Delikatnie oparł dłoń na jej ramionach. - Gdy się nad tym zastanowisz, na pewno przyznasz mi rację. Nie pasuję do ciebie. Może ty naprawdę wierzysz, że mnie kochasz. Ale myślę, że tylko sobie to wmówiłaś.

Odsunęła się z niechęcią.

- Nie zaczynaj myśleć za mnie, Travis.

To jakiś zły sen, powtarzała sobie w duchu. Wkrótce wywrwie się z niego, zawoła Trávisa i opowie mu, jakie dziwactwa się jej przyśniły. Ostrzeże go, aby nic podobnego nie zdarzyło się w rzeczywistości.

A jednak wszystko dookoła było prawdziwe i aż nadto realne. Sage czuła zapach świerkowych gałęzi i słyszała wewnątrz domu kolędy dobiegające z magnetofonu stereo. Łzy napłynęły jej do oczu. Upokorzenie ma smak metalu. Do tej pory to ona dawała swym wielbicielom znać, że uczucie się kończy; ona decydowała o zerwaniu.

Travis, choć z natury opanowany i ambitny, miał dotąd na punkcie Sage bzika. Parę miesięcy wcześniej błagał, by z nim zamieszkała. Odmówiła, a Travis po parodniowych dąsach oznajmił, że kocha ją jeszcze bardziej za jej silny charakter.

Kłócili się rzadko. Bywały wprawdzie chwile, gdy pod wpływem rozgoryczenia upierał się przy czymś wbrew woli Sage, ale przyparty do muru, zwykle ustępował w końcu. Skąd raptem ta jego decyzja?

- Prawdę mówiąc, Travis, nie lubię odkładania rozstrzygnięć. Albo mnie kochasz i chcesz poślubić, albo nie. - Odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała wyzywająco. - Zdecyduj się więc: teraz albo nigdy.

Ze smutkiem przyglądał się zdeterminowanej i wojowniczej minie dziewczyny. W końcu powiedział:

- Jeśli tak stawiasz sprawę, to chyba nigdy, Sage.

Choć zdołała zachować opanowanie, miała wrażenie, że uchodzi z niej powietrze. To wszystko było tak niepodobne do Trávisa! On chyba żartuje...

Gdyby miał czas pomyśleć, pożałowałby każdego swego słowa. Wróci na czworakach jako znany dermatolog, błagając, by zechciała dzielić z nim świetlaną przyszłość. Ale do tego czasu niech szlag ją trafi, jeśli okaże, jak bardzo ją zranił. Nie uroni nawet jednej łzy!

Bez wątplenia za nieoczekiwaną decyzją Trávisa stoi pani

Belcher, która mocno trzyma syna w garści. Ale dziewczyna nie obawiała się jej. Wyniosłość tej damy wywoływała u Sage chęć zaszokowania jej, choćby za pomocą włożenia skórzanых obcisłych spodni na uroczyste przyjęcie w domu Belcherów. Gdy Travis oprzytomnieje i przyjdzie błagać o wybaczenie, Sage wyjdzie za niego i urodzi mu sześcioro dzieci w rozsądnych odstępach.

Teraz jednak da mu popalić.

- To mi odpowiada - rzekła wyzywająco. - Zniknę z twojego życia, jak tylko się spakuje.

- Jak to?! - wykrzyknął. - Nie możesz tak po prostu odejść, Sage. Twoje auto zostało w Austin.

- Poradzę sobie.

Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem, jakby miał do czynienia z upartym dzieckiem.

- Nie możesz teraz odejść.

- Jak to nie mogę, do ciężkiej cholery?! - wypaliła, myśląc, że Laurie Tyler skuliłaby się słysząc, jakich słów używa córka.

- Posłuchaj, Sage, naprawdę nie rozumiem, czemu mielibyśmy zmieniać plany i spędzać ferie osobno. Chcę, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

- Idź do diabła!

- Jeśli nie wrócisz ze mną do salonu, zepsujesz mamie przyjęcie. Przy stole będzie nieparzysta liczba gości.

- W nosie mam przyjęcie twojej matki! - wrzasnęła. - A te głupie kurczaki, które podaje co roku, są zawsze twarde i łykowate. Nie wrócę tam, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie. Od początku nudziłam się i czułam, że się duszę. Powinnam ci chyba być wdzięczna, bo dostarczyłeś mi dobrego pretekstu do odejścia.

Zaniepokojony natężeniem jej głosu, chłopak zerknął za siebie. Odświętnie przyodziani goście przesuwali się po wytwornym salonie, popijając whisky z wodą sodową i koktajl z adwokatem, skubiąc tartinki roznoszone przez kelnerów

w białych smokingach. Co chwilę rozlegały się bożonarodzeniowe toasty.

- Sage, bądź rozsądna. Nie zamierzałem poruszać tego tematu przed końcem ferii, ale ty... ty sama, w pewnym sensie, sprowokowałaś tę rozmowę. Nie chciałem cię urazić.

- Urazić?! - prychnęła. - Ależ ja czuję się po prostu cudownie. Wreszcie mogę naprawdę cieszyć się świętami i nie muszę się zastanawiać, czy pierwsza dama towarzystwa aprobuje moją garderobę. Nie chcę zresztą wcale przez to powiedzieć, że kiedykolwiek mnie to obchodziło.

- Nie zachowuj się w ten sposób - poprosił.

Jej twarz przybrała wrogi wyraz.

- To znaczy w jaki?

- Jak przewrażliwiony dzieciak.

- Najpierw robisz ze mnie kapryśną królową, potem uciążliwego zwierzątko i prostytutkę, która nie panuje nad własnymi reakcjami, a teraz nazywasz mnie przewrażliwionym dzieciakiem. A kiedyś twierdziłeś, że mnie kochasz!

- Trudno z tobą rozmawiać... - Travis zaklął pod nosem i odwrócił się. - Matka zauważy, że nas nie ma. Do zobaczenia za chwilę, gdy uporasz się już ze złym humorem. - Pograżony w świętym oburzeniu, zniknął w drzwiach salonu.

- Nie wysilaj się tak! - zawołała za nim.

Wejście zdobiły girlandy, tak przepyszne, że w oczach Sage graniczące z prostactwem. Podobnie zresztą choinka w salonie. Gdzie się podział święty Mikołaj, różki ze słodyczami i świecidełka, które ozdabiały drzewko w jej rodzinnym domu?

Przez połyskujące szyby okienne przypatrywała się jaśkrawej sztucznej choince. Światła lampek umieszczonych w równiutkich odstępach wzdłuż idealnie przyciętych gałęzi drzewka zaczęły się rozmywać. Łzy wypełniły oczy dziewczyny. Wszystkie połyskliwe dekoracje zlały się w szeroką smugę tęczy.

Gdy opadł pierwszy gniew, Sage uświadomiła sobie, co

się naprawdę stało. Odszedł ktoś, kogo kochała i wierzyła, że jest to uczucie odwzajemnione.

Wszystko, co powiedział Travis, dawało się sprowadzić do trzech prostych słów: „nie chcę cię”. Może i nie mylił się mówiąc, że jest rozpieszczona i kapryśna, ale najważniejsze było teraz tylko to, że Travis już jej nie chce. Jej werwa i zapał do życia, jak to określił, wyczerpały go.

Przytuliła się do jednej z sześciu białych rzeźbionych kolumn podtrzymujących balkon nad werandą. Przytknęła policzek do zimnej prążkowanej powierzchni. I cóż im teraz powie? Jak spojrzeć ludziom w oczy? Co pomyśli jej własna rodzina? Oczekiwano od niej przecież tylko jednego: że pošłubi człowieka, który pokocha ją równie głęboko, jak ona jego. A teraz - wszystko przepadło.

Jak Travis mógł zdobyć się na taki krok? Przecież go kochała; wspaniale się uzupełniali. Czy on naprawdę tego nie dostrzega? Lubiła wprawdzie kierować, lecz on sprawiał wrażenie, że mu to odpowiada. Często bywał niezdecydowany, a zatem ona musiała podejmować decyzje. Był tak bierny, że potrzebował kogoś tryskającego energią. Wcale zresztą tego nie krył.

Uznała więc teraz, że Travis cierpi na jakieś zaburzenia, ale przecież wróci do siebie, oprzytomnieje. Była zdania, że rozłąka nie potrwa długo. Przecież będzie za nią tęsknił. Bez Sage jego życie stanie się bezbarwne i chłodne, tak jak życie jego rodziców.

A gdy już się przyczoiła z powrotem, z podkulonym ogonkiem, krztusząc się własną dumą, Sage nie będzie się śpieszyć z przebaczeniem. Zbyt mocno ją zranił. Popsuł atmosferę świąt, podczas których mieli oblewać jej magisterium - wyczyn, który nie udał się żadnemu z braci Sage. Niełatwo jej przyjdzie wybaczyć...

Odeszła od kolumny i otarła łzy. Nie zamierzała poddać się żalowi. Już jako dziecko, gdy czuła się urażona, wołała raczej nadrabiać bezczelnością niż okazać prawdziwe uczucia, gdyż naraziłoby ją to na śmieszność w oczach braci. Gdyby

była płaksą, dzieciństwo u boku braci stałoby się nieznośne. Nie znaczy to, że chcieli ją skrzywdzić; wychowywana wśród chłopców, uznawała płacz za powód do wstydu.

Teraz też nie miała wyboru; musiała zdusić emocje i czekać, aż Travis uświadomi sobie swój błąd. Sage wiedziała jedno: w żadnym wypadku nie ucieknie do domu. Nie zachowa się jak kobieta porzucona; nie stanie przed rodziną zapłakana.

Ale musi zarazem czym prędzej opuścić to miejsce. Za żadne skarby nie powróci na przyjęcie. Nie poprosi też Belcherów o pomoc, choć pani domu z pewnością chętnie ujrzałaby ją zbierającą się do odlotu. Westchnęła głęboko i z determinacją ruszyła ku wyjściu z werandy. Zdażyła zrobić krok i zamarła w bezruchu.

Wzdłuż porośniętego bluszczem muru przechadzał się podejrzanie wyglądający mężczyzna, skryty częściowo w cieniu bujnych roślin doniczkowych. Padający z okien blask oświetlał go na tyle dobrze, że Sage widziała go wyraźnie.

Był wysoki i chudy, jeszcze chudszy niż jej brat Lucky. Czarny filcowy kapelusz kowbojski nasunął głęboko na oczy. Sage dostrzegła jednak, że ma szaroblond włosy z pasmami siwizny. Mocna, widoczna nawet w półmroku, opalenizna wskazywała, że mężczyzna wiele czasu spędza na dworze.

Stanowcza, kwadratowa szczęka zniechęcała do wchodzenia mu w drogę, stalowe zaś mięśnie - widoczne pod ubraniem - usprawiedliwiały zuchwałą postawę i harde uniesienie głowy.

Nie kryjąc rozbawienia, taksował Sage intensywnie błękitnymi oczami.

Miał na sobie bladoniebieską koszulę z perłowymi guzikami i postrzępione dżinsy. Zdarte, ubłocone buty ozdobione były wypłowiałymi frędzlami. Jedyne ustępstwo na rzecz chłodnego wieczoru stanowiła czarna pikowana kurtka, narzucona na ramiona. Kciuki wsunął zawadiacko w kieszenie spodni.

Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Szeroki w ba-

rach, wąski w biodrach, długonogi, nieokrzesany chłopak z Teksasu. Sage nie spodobał się od pierwszego spojrzenia, tym bardziej że z widocznym trudem opanowywał wybuch śmiechu. Nie roześmiał się wprawdzie, ale ton jego głosu zirytował dziewczynę.

- No... no... no... Wesołych Świąt - powiedział.

Starając się ukryć zażenowanie, Sage zapytała ze złością:

- Kim pan, u diabła, jest?!

- Świętym Mikołajem. Czerwoną kapotę odesłałem do pralni.

Wcale jej nie rozbawił.

- Od jak dawna pan tu jest?

- Wystarczająco - odparł z jakby kocim uśmiechem.

- Pan podsłuchiwał!

- Co mogłem zrobić? Niegrzecznie byłoby przerywać taką czułą scenę.

Dziewczyna zeszywniała.

- Czy pan jest jednym z gości? - spytała.

W końcu się roześmiał.

- Żarty?

- A zatem jest pan stamtąd? - Wskazała nieprzerwany potok przesuwających się aut. - Zepsuł się panu samochód?

Pokręcił przecząco głową i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Ten facet to chyba pedał - rzekł.

Sage nie raczyła podjąć tematu.

Nieznajomy cmoknął z ubolewaniem.

- Cholernie by było szkoda, gdybyś wyrzuciła te skórzane gatki, bombowo na tobie leżą.

- Jak pan śmie...

- A jakbyś się koło mnie kręciła tak jak koło niego, za-całowałbym cię na śmierć... I niech szlag trafi, co kto sobie pomyśli...

Żaden z dotychczasowych wielbicieli nigdy nie odważyłby się zwracać do niej w taki sposób. Jeśli sama nie unicestwi-

łaby takiego śmiałka od razu, z pewnością uczyniliby to jej bracia.

Rozjuszona, oświadczyła:

- Wzywam policję.

- Czemu miałyby pani zrobić coś takiego, panno Sage?

Znieruchomiała na dźwięk swego imienia.

- Zgadza się - odrzekł, jakby czytając w jej myślach. -

Znam pani imię.

- Nic dziwnego - oznajmiła dużo spokojniej, niż można by się spodziewać. - Podśluchiwał pan naszą rozmowę, a Travis zwracał się do mnie po imieniu.

- W porządku. Tak się składa, że zrozumiałem wszystko, bo mówiliście po angielsku. Maminynek odszedł, to jasne jak słońce. Pomyślałem, że grzecznie zaczekam, aż skończy swe wywody i dopiero wtedy przekażę to, co mam przekazać.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, z rosnącą złością.

- Pan przyjechał tutaj, żeby zobaczyć się ze mną?

- No, wreszcie załapałaś.

- O co chodzi?

- Przysłano mnie, żebym cię zabrał.

- Dokąd?

- Do domu.

- Do Milton Point?

- A gdzie indziej? - zapytał, obdarzając ją promiennym uśmiechem. - Przysyła mnie twój brat.

- Który?

- Lucky.

- Ale dlaczego?

- Bo twoja szwagierka, żona Chase'a, zaczęła rodzić dziś po południu.

Aż dotąd Sage prowadziła z nim w zasadzie gierkę słowną. Nie wierzyła mu ani przez chwilę, ale pożerała ją ciekawość, jak produktywny może okazać się umysł kryminalisty. Ku jej zdziwieniu jednak mężczyzna znał sprawy rodzinne.

- Zaczęła rodzić?

- Około drugiej po południu.

- Miała termin na pierwszego stycznia.

- A dzieciak zdecydował inaczej. Nie chciał przegapić gwiazdki. Może nawet już przyszedł na świat.

Sage nie poczuła się przekonana.

- Po cóż Lucky miałyby po mnie kogoś wysyłać? Po prostu by zadzwonił.

- Próbował. Jedna z twoich współlokatorek w Austin powiedziała mu, że pojechałaś z kochasiem do Houston. - Skinał głową w kierunku okien, przez które widać było gości wchodzących do jadalni. - Biorąc to wszystko pod uwagę - kontynuował - Lucky uznał, że najszybciej będzie, jeśli po prostu przyjadę po ciebie. - Odsunął się od ściany, lekceważąco popatrzył na zachmurzone niebo i zapytał: - Gotowa?

- Nigdzie z panem nie pojedę! - wykrzyknęła, gardząc nim w duchu za to, że w ogóle mogło mu coś podobnego przyjść do głowy. - Do Milton Point podróżuję sama w tę i z powrotem, od kiedy skończyłam osiemnaście lat. Jeśli potrzebowaliby mnie w domu, skontaktowaliby się i...

- Uprzedzał mnie, że będziesz truć. - Pomrukując i kręcąc z dezaprobatą głową, wygrzebał z kieszeni kawałek papieru. Podał go Sage. - Lucky napisał to na wypadek, gdybym miał z tobą kłopoty.

Rozwinęła kartkę i jednym rzutem oka przeczytała naskrobane w pośpiechu linijki. Nie było to łatwe, bo nikt nie potrafił odcyfrować pisma Lucky'ego od razu. W swym liściku brat przedstawiał chłopaka jako nowego pracownika firmy Spółka Wiertnicza Tylera. Nazywał się Harlan Boyd.

- Pan Boyd?

- Możesz mi mówić po prostu Harlan.

- Nie zamierzam nic mówić - odburknęła.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Brat nakazywał jej udać się w towarzystwie tego człowieka do Milton Point „bez żadnych dyskusji”. Ostatnie trzy słowa podkreślił.

- Mogłeś przecież to podrobić - rzekła oskarżycielskim tonem.

- A po co?
- Dla okupu.
- Nie świadczyliby to dobrze o mojej inteligencji. Przecież twoja rodzina jest bez grosza.

Niestety, była to prawda. Spółka Tylera miała bardzo niewielkie obroty, które zawdzięczała wyłącznie faktowi, że Marcie Johns w momencie wejścia do rodziny udzieliła Chase'owi, starszemu bratu Sage, pożyczki. Kryzys w przemyśle naftowym sprawił, że zawierano bardzo niewiele kontraktów. Rodzina Tylerów zubożała, co jednak w owym czasie należało do dobrego tonu, tak jak noszenie odznak honorowych.

Ubodło ją jednak, że ten łachudra wie o kłopotach finansowych rodziny. Zmrużyła ładne, piwne oczy.

- Jeśli firma jest w tak marnym stanie, to czemu Chase i Lucky mieliby wciągać cię na listę płac?

- Nie zrobili tego. Dostaję tylko prowizję, czasami premię. Teraz Lucky dał mi pięćdziesiąt dolców za przywiezienie cię do domu.

- Pięćdziesiąt dolarów?

Zsunął kapelusz do tyłu.

- Dziwisz się? Uważasz, że to za dużo, czy wręcz odwrotnie?

- Nie wiem. Wiem za to na pewno, że nigdzie z tobą nie pojedę. Wróć do Milton Point sama.

- Jakim cudem? Zapomniałaś już, że zostawiłaś samochód w Austin i przyjechałaś tu ze swym Gorącoustym? - Gdy się uśmiechnął, wokół oczu pojawiły się drobne zmarszczki. - Mogłabyś go wprawdzie poprosić, żeby zawiózł cię do domu, ale przypuszczam, że jego mamusia dostałaby ataku apopleksji, gdyby okazało się, że malutki synek nie spędzi wieczoru z rodziną. A zresztą chyba go pani nie poprosi, panno Sage?

Znał odpowiedź, zanim zadał to pytanie, i za to właśnie go nienawidziła.

Chodnikiem nadciągała grupa kolędników podśpiewująca o pokoju na ziemi. Sage zadumała się nad swoją sytuacją.

Rozważała celowość opuszczenia względnego zacisza werandy Belcherów z mężczyzną, który sprawiał wrażenie, że w wolnych chwilach najchętniej popełnia zbrodnie.

Z drugiej jednak strony rodzina była dla niej najważniejsza na świecie. Jeśli jej potrzebowali... Kartka od Lucky'ego wyglądała na autentyczną, lecz jeśli ten oszust potrafił ją wytropić aż tu, w domu narzeczonego...

- O której godzinie Sara zaczęła rodzić?

Twarz Harlana okraślił leniwy uśmiech, co wyglądało jak roztopione masło na świątecznym indyku.

- Jeszcze mi pani nie wierzy? Musi pani zadawać podchwytliwe pytania, żeby mnie złapać na kłamstwie?

Niewzruszona, skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na niego z wyrazem oczekiwania w oczach.

- W porządku, przyjmuję wyzwanie - odrzekł. - Żona Chase'a nie ma na imię Sara, tylko Marcie. Nazwisko pannieńskie Johns. Zajmuje się pośrednictwem w handlu nieruchomościami. Od czasu do czasu Chase w przypływie czułości nazywa ją Sówką, przezwiskiem wymyślonym przez niego jeszcze w czasach szkolnych.

Udzielwszy wyjaśnień pochylił się nieco, przyjął postawę wojowniczą, a jego kciuki ponownie zahaczyły o kieszenie spodni.

- A teraz, panno Sage, pójdzie pani ze mną po dobroci, czy też muszę ciężko zapracować na moje pięćdziesiąt dolarów?

Przygryzła wargę. No cóż, to nawet było niegłupie wyjście. W domu Tralisa Belchera istotnie grunt zaczął palić się jej pod nogami, a nie zamierzała zdawać się na łaskę tego maminsynka. I chociaż Harlan Boyd był nikim, a bracia narazili ją na przebywanie w jego towarzystwie (przy najbliższej okazji nie omieszka z nimi o tym porozmawiać!), to czuła się zbyt dumna, by zlekceważyć propozycję i zwrócić się o pomoc do kogokolwiek z obecnych w tym domu.

- Chyba nie mam wyboru, panie Boyd?

- Żadnego. Idziemy.

- Muszę się spakować.

Próbowała go ominąć, lecz zagroził jej drogę. Odchyliła głowę do tyłu i przyjrzała mu się. Tak samo jak bracia, odziedziczyła wzrost po tatusiu, więc tylko na nielicznych mężczyzn musiała patrzeć w górę. Ten człowiek niepokoił ją swym natrętnym spojrzeniem i łagodnym głosem, zdradzającym jednak siłę charakteru.

- Gdybym miał taką szansę jak ten twój kochaś, wychłapałbym cię jak kocur miseczkę świeżej śmietanki.

Z trudnością złapała oddech, tłumacząc sobie, że to wynik za wysokiego podniesienia głowy.

- Do mojej szwagierki wydzwaniał kiedyś jakiś wariat i wygadywał przeróżne świństwa. Wiem teraz, jak ona musiała się czuć... - oznajmiła. - Mnie też bierze obrzydzenie.

- To nie obrzydzenie, tylko strach.

- Strach?

- Boisz się, że spodobałby ci się mój pocałunek.

Parsknęła gniewnie.

- Niech pan tylko spróbuje!

- Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz.

Gdy schwycił ją i przyciągnął do siebie, jej twarz wciąż odzwierciedlała napięcie, umocnione ostrzeżeniem, które przed chwilą wygłosiła. Nim zdążyła się jednak zorientować, Harlan wpił się namiętnie w jej usta.

Wytrzeszczyła oczy i śledziła przez jego ramię przybraną odświętnie jadalnię Belcherów, w której wzdłuż długich, suto zastawionych stołów uwijali się kelnerzy podający gościom kuropatwy i ziemniaki na słodko, gdy tymczasem niedoszła synowa państwa domu znalazła się w objęciach mężczyzny o złodziejskim uśmiechu i w zabłoconych buciorach.

Gdyby nie bezruch wynikający z olbrzymiego zaskoczenia, z pewnością wybuchnęłyby histerycznym śmiechem.

Po chwili jednak odzyskała rezon. Odepchnęła Harlana z całej siły. Z trudem chwytła oddech. Po jakimś czasie schrypniętym głosem oznajmiła:

- Jeszcze jeden taki numer i pożałujesz!

- Wątpię, panno Sage. Ty zresztą też. - Powiódł zatroskanym wzrokiem po niebie. - Znikajmy stąd, wkrótce zrobi się jeszcze gorzej. Idź po rzeczy. Nie ruszę się, dopóki nie wrócisz.

Odeszła, wściekła, bez słowa.

- To najpodlejsze świństwo, jakie kiedykolwiek mi zrobiłeś - powiedziała Sage do słuchawki, która śmierdziała tytoniem i lepiła się do dłoni.

- Sage, to ty? Devon właśnie całuje mnie w ucho. Musisz mówić głośniejsze.

- Przecież mnie słyszysz, Lucky! - wrzasnęła. - A poza tym nie wierzę, że moja szwagierka obmacuje cię na szpitalnym korytarzu. Czy Marcie już urodziła?

- Nie. Ale to nastąpi lada moment. Na szczęście! Chase doprowadza nas do sażu.

Podczas gdy brat informował ją o stanie Marcie i niepokoju przyszłego ojca, pomiędzy skrzyniami nie opodal budki telefonicznej przemknęło coś ciemnego i włochatego. Sage zatrzęsała się z obrzydzenia i omal nie uciekła, porzucając słuchawkę. Nie miała jednak dokąd uciec.

To chyba najgorsza noc w życiu! Najpierw rzucił ją narzeczony, potem wpadła w łapy tego spryciarza o manierach pozostawiających wiele do życzenia.

Służąca Belcherów poszła z Sage tylnymi schodami do pokoju gościnnego i pomogła jej spakować rzeczy. Harlan Boyd czekał zgodnie z obietnicą. Zasiadli razem w niespodziewanie czystym i stosunkowo nowym aucie.

Jednak gdy tylko oswoiła się nieco z myślą o pokonaniu w jego towarzystwie długiej trasy, Harlan zjechał z autostrady międzystanowej i skręcił w wąską, nieoznakowaną i ciemną drogę.

- Dokąd jedziemy? - Tylko bez paniki, rzekła sobie w myślach. Takim ludziom można wyperswadować nieczne uczynki, pod warunkiem, że ofiara zachowa zimną krew. Obiecała sobie, że otworzy drzwiczki i wyskoczy w ciemną noc, dopiero gdy będzie miała pewność, że Harlan zamierza zażądać

od jej rodziny wysokiego okupu w zamian za informację, gdzie ukrył dziewczynę.

Jego wypowiedź zabrzmiała wyjątkowo realistycznie w zestawieniu z goniącą myślą Sage.

- To droga na pas startowy.
- Pas startowy?
- Zostawiłem tam samolot.
- Samolot?
- Masz kłopoty ze słuchem? Przestań ciągle powtarzać!
- To znaczy, że polecimy do domu?
- Pewnie. A co, czyżbyś myślała, że będziemy samochodem pokonywać taki kawał drogi?
- No właśnie.
- Widzisz, jak łatwo można się pomylić? Tak, jak pomyliłaś się w ocenie tego Casanovy...

Przełknęła tę uwagę bez komentarzy i na resztę drogi w aucie zapadło złowrogie milczenie. Czuła się dość upokorzona swym obecnym położeniem, zwłaszcza że pierwszą część wieczoru spędziła wśród śmietanki towarzyskiej Houston.

Stała teraz w rojącym się od szczurów wilgotnym hangarze, w którym szalały przeciągi. Czekwała na człowieka całującego tak, że mógłby w ten sposób zarabiać na życie, dokuczliwego i starającego się ją obrazić.

Harlan sprawdzał samolot przed startem.

Sage wyładowała więc złość na bracie, którego cudem udało się jej dopaść za pomocą pagera w szpitalu w Milton Point.

- Lucky! Co ty sobie myślisz?! Żeby wysyłać po mnie kogoś takiego!...

- Zbieracie się do odlotu?
- Owszem, zbieramy się, ale jestem na ciebie wściekła. Jak mogłeś przysłać po mnie tego typu?
- Co masz przeciwko Harlanowi?
- Co mam przeciwko Harlanowi? - powtórzyła. - To międzymiastowa - przypomniawszy sobie skronie. - Za długo musiałabym wyliczać jego wady. Czemu go wysłałeś? Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś do Belcherów?

- Bo wiedziałem, że pojechałaś do Houston z Travisem, a twój samochód został w Austin. Tak przynajmniej stwierdziła twoja współlokatorka. Uprzedzałaś też, że rodzina Trávisa nie będzie zadowolona, iż przyjeżdżacie dopiero w wigilijny poranek. Pomyślałem więc, że nie będzie dobrze, kiedy zaraz po przyjeździe do domu każesz mu odwozić się z powrotem.

- Już dobrze, dobrze. Trzeba mnie było chociaż ostrzec, jaka eskorta mnie czeka...

- Przepraszam, Sage, ale nie mieliśmy czasu. Chase rwie tu włosy z głowy i zgrzyta zębami. Zamartwia się, bo Marcie ma trzydzieści sześć lat, a to jej pierwsze dziecko.

- Ale wszystko w porządku? - zapytała Sage, zatroskana o kobietę, którą szczerze podziwiała.

- Owszem. Choć to nie takie proste. Mama robi wszystko, żeby Chase zachowywał się jak człowiek cywilizowany i stara się go uspokajać, ale wiesz, ile dla niego znaczy to dziecko. A Lauren grymasi, bo wyrzyna się jej ząbek.

- To pierwszy?

- Zgadza się. Ten sprytny, mały diabeł potrafi już nim nawet gryźć. Devon ma pełne ręce roboty, więc wszystko stoi na głowie.

Sage z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, co się dzieje w szpitalu. Nikt nie mógł okiełznać Tylerów, jeśli ktoś z ich rodziny znalazł się w potrzebie. Przypomniała sobie noc, w którą Devon rodziła Lauren. Zapanował wtedy kompletny chaos. Oczywiście, nie tylko z tego powodu. Właśnie owej nocy Marcie została napadnięta przez jednego ze swoich klientów. Sage zjawiła się w domu, gdy Marcie umieszczono już w szpitalu, ale doskonale pojmowała przerażenie szwagierki. Właśnie takie kryzysowe sytuacje scalały rodzinę.

Sage zbierało się na płacz. Pomimo całego piekła, jakie musiało tam panować, chciała być już ze swymi bliskimi.

- Mogłam wynająć samochód - oznajmiła ponuro.

- Nie chcieliśmy tego. Zimny front nie dotarł jeszcze do Houston, ale w południe strasznie wiało, zrobiło się mokro

i zimno. Nie chcieliśmy, żebyś prowadziła w taką pogodę, a wiedzieliśmy, że uprzesz się, by postawić na swoim. Postanowiliśmy więc na wszelki wypadek wysłać Harlana.

- Bezpieczniejsza byłaby jazda przy złej pogodzie niż towarzystwo Harlana.

- Co... co powiedziałaś? Nie usłyszałem, bo właśnie wieźli kogoś na wózku.

- Nieważne. - Nie chciała oczernić Harlana w oczach brata, który najwidoczniej mu ufał. Mogłaby jedynie zmartwić rodzinę. Gdy dotrze już bezpiecznie do Milton Point, opowie dokładnie o skandalicznym zachowaniu tego opiekuna.

- Do zobaczenia, to wszystko na razie. Uściskaj ode mnie resztę. A zwłaszcza Marcie.

- Jasne. Do widzenia, mała.

W zadumie odłożyła słuchawkę. Właśnie usiłowała zetrzeć z ręki brud, gdy do pomieszczenia wszedł Harlan.

- Urodziło się?

- Jeszcze nie. Lucky jednak twierdzi, że tylko patrzeć.

- Samolot jest gotów do startu.

- Czy mogłabym najpierw gdzieś umyć ręce?

- Tam. Pomyśl też o innych rzeczach. To lot bez śródładowania.

Wcale jej ta rada nie rozbawiła. Zniecierpliwiona, wymięnęła go błyskawicznie, gdy tylko otworzył przed nią drzwi toalety. Kiedy jednak włączył światło, cofnęła się odruchowo, opierając plecy o jego tors.

- Dobry Boże! - Ujrzała wewnątrz wstrętnej, nie uczyszczanej od wieków latryny.

- Do usług - odrzekł Harlan, tłumiąc śmiech.

Sage, powstrzymując mdłości, wmaszerowała do pomieszczenia i zatrzasnęła drzwi przed nosem swego przewodnika. Wykonała tylko najniezbędniejsze czynności, starając się przy tym niczego nie dotknąć. Umyła ręce nad zardzewiałą umywalką i otrząsnęła je z wody.

Gdy wyszła z blaszanego hangaru, zobaczyła, że Harlan czeka na pasie startowym.

- Gdzie są moje walizki?

- Już schowane, droga pani. Czy mogę zobaczyć bilet? Poślała mu mordercze spojrzenie.

- Czy możemy tego nie przedłużyć?

- Ten Don Juan pozbawił cię resztek poczucia humoru.

Wziął ją pod ramię i zaprowadził do jednosilnikowego samolotu. Gdy znalazła się koło maszyny, nie zdołała ukryć przerażenia. Stała naprzeciwko wraka, reliktu zamierzchłej przeszłości. Wielokrotnie przemalowywany i łatany kadłub wyglądał jak zszywana z kawałków kołdra. Śmigło obracało się leniwie, a silnik postukiwał, warczał i grzechotał. Sage wyrwała się Harlanowi i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Sam zbudowałeś tego grata?

- Tylko pożyczylem.

- Chyba nie sądzisz, że wsiądę do tego czegoś?

- A wyrosną ci skrzydła?

- Daj spokój. Widywałam zabytkowe maszyny do szycia, które pracowały lepiej od tego silnika. Czy moi bracia wiedzą, czym przyleciałeś?

- Oni mi ufają.

- Więc ja nie ufam im.

- Jesteś zupełnie bezpieczna. - Wziąwszy ją ponownie pod ramię, zaczął najzwyczajniej w świecie ciągnąć po spękaną powierzchnię pasa startowego. Gdy dotarli w ten sposób do wejścia po stronie pasażera, złapał ją za pupę i podsadził na stopień.

- Hooop!

Sage wczołgała się do niewielkiej kabiny. Harlan usadowił się na miejscu dla pilota i sięgnął w stronę swej pasażerki, aby sprawdzić, czy dobrze zamknęła drzwi. Zapewne nie chcący otarł się o jej piersi. Nie miała jednak odwagi, by spojrzeć na niego i przekonać się, czy było to rzeczywiście przypadkowe. Kamiennym wzrokiem gapiła się przed siebie i udawała niewzruszony spokój.

- Pas zapięty?

- Mhm.

- Wygodnie?
- Znośnie.
- Może zdejmiesz kurtkę - rzucił, wskazując skapą górę jej stroju, dopasowaną do spodni; komplet, który kupiła sobie na gwiazdkę i trzymała w ukryciu od sierpnia. Jak dotąd, tylko Harlan Boyd i ona sama byli zwolennikami tego ubioru. Niezbyt dobrze świadczyło to o jej guście.

- Czy zechciałbyś się łaskawie pośpieszyć i wystartować tak, żebym mogła już przestać się bać? - zapytała ze złością.

Przez następnych kilkanaście minut Harlan uzgadniał start z „wieżą lotów”, małym pokojkiem na pierwszym piętrze olbrzymiego budynku. Potem wykołował na koniec pasa startowego, zaczekał na pozwolenie i ruszył. Sage miała prężną ochotę przebierać nogami, jakby mogło to ją uratować przed nieuniknioną katastrofą.

Zanim zdążyli nabrać szybkości, mały samolot wzbił się w powietrze. Harlan wyprowadził go prawie pionowo. Dziewczyna wbiła się w siedzenie niczym w fotel dentystyczny przy szczególnie przykrym zabiegu.

Przytrzymując się brzegu siedzenia, zaryzykowała wyjrzenie przez okno.

- Nie widzę ziemi!

- Jasne, że nie. Przecież jesteśmy w chmurach.

- A co my właściwie robimy w tych chmurach?

- Odpręż się, dobrze? Przez ponad rok, gdy pracowałem w rafineriach w Zatoce Meksykańskiej, latałem helikopterem. To tu wygląda jak zupa mleczna.

- Jak grochówka. Nic nie widać. Skąd wiesz, że na nic nie wpadniesz?

- Założmy, że po prostu wiem. Gdy pokonamy ten pułap, dolecimy gładko do Milton Point.

- Jesteś pewien, że wiesz, jak tam trafić?

- Na ogół zawsze jakoś trafiam do celu. Mam niezawodny instrument. - Uśmiechnął się promiennie.

- Dowcipne - ucieęła. - Jeśli jednak cenisz swą pracę, lepiej daj sobie spokój.

- Z czym?!

- Z zapędami seksualnymi.

- A dlaczego? Bo wypaplasz braciszkom?

- Przez myśl by im nie przeszło, że jesteś choć w połowie tak bystry, za jakiego się uważasz.

Oparł się wygodnie na siedzeniu i wyciągnął długie nogi na tyle, na ile mógł sobie pozwolić w tak ciasnej kabinie.

- Założę się, że nic im nie powiesz.

- A czemuż by nie?

- Bo ja znam lepszą historyjkę. O tobie i Gorączustym. - W jego oczach odbijały się światełka tablicy rozdzielczej. - A chyba nie zamierzasz tego opowiedzieć rodzinie tak po prostu?

- Cokolwiek zaszło między mną i Travisem, to wyłącznie moja sprawa! - rzekła z oburzeniem. - Jak sobie z tym poradzę, co powiem rodzinie - to też dotyczy tylko mnie. A w żadnym wypadku pana, panie Boyd.

Zaśmiał się.

- Nie, ty nie powiesz im tego wprost. Nie przyznasz się, że cię rzucił. Wszystko w porządku, panno Sage. - Mrugnął porozumiewawczo. - To będzie nasz mały sekretik.

Wymamrotała coś, co nie przystoi kobiecie, i odwróciła głowę. Wyjrzała przez okno, ale widziała jedynie grubą, szarą powłokę chmur. Zdenerwowało ją to. Oparła się o siedzenie i przymknęła oczy.

- Jak długo jeszcze?

- Godzinę czy coś koło tego. Zależy od turbulencji.

- Jakich turbulencji? - Aż podskoczyła.

- Tak tylko zażartowałem, żeby sprawdzić, czy nie śpisz. Chcesz kawy? - Sięgnął w dół i podał Sage lśniący metalowy termos. - Kanapkę? - Puścił na moment stery, by zajrzeć do szarej torebki papierowej.

Na dźwięk słowa „kanapka” dziewczynie zaburczało w brzuchu. Uświadomiła sobie, że przecież ominęły ją kurapatwy pani Belcher.

- Zajmij się samolotem, a ja sama sobie poradzę z kanapkami.

Wzięła torebkę, a termos umieściła między udami.

- Kiełbasa, ser, musztarda - wyrecytowała, zbadawszy zawartość pierwszej kanapki. Odpakowała następną i zajrzała do środka. - Podwójna kiełbasa, ser i musztarda.

Podawała mu kanapkę, a sama zajęła się drugą. Między jednym a drugim kęsem oznajmiła:

- Mama bywa zwykle bardziej pomysłowa.

- Laurie? - wymamrotał z pełnymi ustami. - Przecież to nie ona je robiła.

- To skąd je masz?

- Od Moe'ego.

- A kto to jest Moe?

Harlan przełknął i ugryzł kolejny kęs.

- Moe to facet, od którego pożyczyłem wóz, żeby się dostać do Belcherów. Chyba go nie widziałaś. Kiedy zszedł na dół, byłaś akurat w toalecie. Pracuje na tym lądowisku; poprosiłem go i podrzucił mi, co miał pod ręką.

Sage wypluła jedzenie.

- Znowu żartujesz?

- Wcale nie. Jak nie chcesz jeść, to ja skończę tę kanapkę.

Cisnęła resztką kanapki, która wylądowała prosto na roz-porku jego dżinsów.

- Nie odpowiada ci kuchnia Moe'ego?

- Nie! Wiedziałaś doskonale, że nie tknęłabym niczego, co pochodzi z tego zaszczurzonego, brudnego miejsca.

Jej wściekłość rozbawiła go.

- Tknęłabyś... gdybyś zgłodniała. Należesz mi trochę kawy?

- Sam sobie nalej.

- W porządku. Ale wtedy puszczę stery i będę musiał sięgnąć po termos...

Termos zaś tkwił bezpiecznie pomiędzy udami Sage. Harlan rozpromienił się i uniół brwi w niemym zapytaniu.

Dziewczyna nalała mu kawy.

Tuż po przybyciu Sage Marcie urodziła dziecko. Sage wpadła do szpitala i nie zdążyła nawet nikogo uściskać, bo na korytarz wtargnął Chase.

- Chłopak! - Miał ściągniętą twarz, potargane włosy i wyglądał idiotycznie w błękitnym kitlu. Promieniał jednak ty-siącwatowym uśmiechem.

Chase przeżył ogromnie śmierć swej pierwszej żony, Tani. Zginęła wraz z ich nie narodzonym dzieckiem w wypadku samochodowym, w którym znalazła się również Marcie Johns. W zeszłym roku zaś, ku ogólnemu zdumieniu, wdo-wiec poślubił właśnie Marcie. Ta nagła decyzja stanowiła dla Sage zagadkę. Dopiero w kilka miesięcy po ceremonii uznała, że nowożeńcy są w sobie naprawdę zakochani, a ich małżeństwo układa się pomyślnie.

I teraz wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku. Chase był wprawdzie wykończony, lecz wyraźnie szczęśliwy.

- Dziecko jest cudowne - oświadczył dumnie. - Waży cztery kilo dwadzieścia pięć deka. Marcie czuje się dobrze, choć jest porządnie zmęczona.

- Ponad cztery kilo? No, no, no... Duży jak na pierwszy raz - rzekł Lucky, poszturchując brata.

- Jamesie Lawrance, zachowuj się - strofowała matka Lu-cky'ego.

- Zanim zaczniecie obliczać, wyznam wam, że Marcie zaszła w ciążę w noc poślubną.

- Nie próżnowałeś, braciszku.

- Pewnie, że nie. - Mrugnął do Lucky'ego. - A w ogóle

to mój syn będzie nosił twoje imię. Już postanowiliśmy. James Chase.

- A niech to! - wyjąkał Lucky. - Nie wiem, co powiedzieć.

Chase klepnął brata w ramię. Obaj byli zakłopotani i bliscy łez. Aby przerwać niezręczną sytuację, Chase rozejrzał się nerwowo i dostrzegł siostrę.

- Hej, mała. Fajnie, że zdażyłaś.

Chase był dziesięć lat starszy od Sage. Różnica wieku między braćmi wynosiła prawie dwa lata. Gdy Sage dorastała, obaj stanowili dla niej nieprzerwane źródło udręk, choć szczerze obu podziwiała. Wierzyła, że oni też darzą ją uczuciem.

Odprężyła się w ramionach Chase'a.

- Zdażyłam z trudem - rzekła, posyłając Harlanowi znaczące spojrzenie.

- Gratulacje, Chase - rzekł Boyd. Zbliżył się do szczęśliwego ojca i wyciągnął rękę.

- Dziękuję. - Uścisnęli sobie dłonie. - A teraz, zechciejcie mi wybaczyć. Wrócę do Marcie - oznajmił Chase.

- Chcesz u nas przenocować? - spytała Laurie.

- Nie, dziękuję, zostanę tu tak długo, jak mi pozwolą, a potem wrócę do siebie.

Cofnął się do drzwi. Podzielił się z nimi radością związaną z przyjściem na świat syna, ale Sage widziała, że chce już być razem z żoną. Poczowała ukłucie zazdrości na myśl o szczęściu tej pary. Byli dla siebie najważniejsi na całym świecie.

Sage miała wątpliwości, czy kiedykolwiek stanie się dla kogoś tak ważna, by stanowić centrum czyjegoś wszechświata. Decyzja Trávisa pogłębiła te wątpliwości.

Kilka minut później pielęgniarka pokazała im przez szybę sali noworodków Jamesa Chase'a Tylera.

- Ciemny, po ojcu. - Oczy Laurie zamgliły się. - Wygląda jak Chase tuż po urodzeniu. Pamiętasz, Pat?

Szeryf Pat Bush był odwiecznym przyjacielem domu. Sage pamiętała, że zawsze zjawiał się akurat, gdy potrzebowano jego pomocy. Kiedy zmarł ojciec, Pat okazał się niez-

stąpiiony; stał się niezawodnym opiekunem i przyjacielem wszystkich członków rodziny.

Pat pokiwał głową.

- Pewnie. Mały Jamie to wykapany tatuś.

- Jamie! - wykrzyknęła Laurie. - To mi się podoba. Pat, wymyśliłeś właśnie, jak będziemy nazywać mego pierwszego wnuka.

Wkrótce pielęgniarka zabrała kwilącego noworodka.

- No, to chyba już najwyższy czas pójść do domu - zauważył Lucky. - Lauren powinna położyć się do łóżeczka.

Jego siedmiomiesięczna córeczka spała w ramionach matki. Obudziło ją dopiero ogólne poruszenie i zaczęła grymasić.

- Ja też chcę do łóżka - wtrąciła z nieśmiałym uśmiechem Devon. - Walczę z nią od dobrych paru godzin.

- Potrzymam ją. - Sage sięgnęła po bratanicę, którą tak rzadko widywała.

Devon uprzedziła ją, że na małą trzeba znaleźć sposób, bo inaczej będzie marudzić.

- Odpocznij sobie - rzekła na to Sage. - Potrzymam ją w drodze do domu, to znaczy, jeśli zgodzicie się mnie podwieźć.

Nie uśmiechała się jej dalsza drog[^] z Harlanem, zwłaszcza że na małym pasie startowym w Milton Point czekała na nich furgonetka-wywrotka w stanie podobnym co samolot, którym Sage przyleciała z Houston.

Nie była snobką, jeżeli chodzi o marki i modele samochodów. Jej bracia jeździli firmowymi ciężarówkami, które wyglądały jakby przedzierano się nimi przez front. Travis drażnił się z nią na temat jej samochodu, który rzekomo bardzo głośno terkotał. Rzeczywiście, od początku studiów używała tego samego auta. Uważała jednak, że każdy przeciętny samochód wyposażony jest przynajmniej w podstawowe luksusy w rodzaju okien i stacyjki. Harlan zaś uruchomił wywrotkę, zetknąwszy dwa gołe kable. Sage zaczęła przypuszczać, że furgonetka pochodzi z kradzieży. Po stronie pasażera brakowało szyby; otwór zatkała tekturą, która w naj-

mniejszym stopniu nie chroniła przed zimnym, wilgotnym wiatrem.

Harlan nie obraził się, gdy Sage postanowiła wracać do domu z rodziną.

- Czołem wszystkim - oświadczył i ruszył w kierunku wind.

Sage zauważyła nie bez irytacji, że gdy mijał pokój pielegniarek, kilka par damskich oczu oderwało się od rutynowych zajęć. Kobiety obserwowały, jak Harlan niedbałym krokiem oddala się korytarzem. Dopiero teraz przyjrzała się jego ciemnoblondu włosom z jaśniejszymi pasmami i bardzo zwyczajnym lewisom, które na siedzeniu przestały być zwyczajne. Nienawidziła się za te spostrzeżenia.

- Zabiorę Laurie do domu - zaproponował Pat.

- Mamy mnóstwo miejsca w samochodzie - wtrącił Lucky. - Naprawdę, Pat, zaoszczędź sobie drogi.

- Ależ nie ma problemu.

Ze szpitala wyszli całą grupą. Gdy Lucky wyjeżdżał z parkingu, Sage dyskretnie zerknęła za siebie. Harlan wsiadał właśnie do szoferki.

- Mam nadzieję, że nie zapomni o moich walizkach - powiedziała.

Na pasie startowym wrzucił je na tył ciężarówki i przykrył brezentem. Nie przestawało padać, miała więc nadzieję, że wiatr nie zwał brezentowego przykrycia.

- Kto? Harlan? Można na niego liczyć.

- Tak, z pewnością.

Lucky patrzył na nią w lusterku.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie nutę ironii?

Dał jej tym samym niepowtarzalną okazję do wyrażenia opinii o nowym pracowniku i nie zamierzała okazji tej zmarnować.

- Albo z nie wyjaśnionych powodów szanujesz tego człowieka, albo nie szanujesz w ogóle swojej małej siostrzyczki. Inne wytłumaczenia nie ma.

- Owszem, považam Harlana, ale przecież i ty jesteś bez zarzutu - kpił sobie.

W lusterku dostrzegła łobuzerski błysk w najbłękitniejszych na świecie oczach. Tak przynajmniej uważała, dopóki nie poznała Harlana. Tym razem jednak urok osobisty Lucky'ego przygasł w jej oczach. Tego wieczoru zresztą Sage miała dość wszystkiego.

- Kim on jest, Lucky? - zapytała ostro. - Pojawił się nie wiadomo skąd, nigdy o nim nie słyzałam, dałeś mu robotę w firmie i na dodatek powierzyłeś życie jedynej siostry. Co to wszystko znaczy?

- Przede wszystkim... - Lucky starał się opanować swój powszechnie znany temperament - wcale nie pojawił się znikąd. Chase poznał go w zeszłym roku w Houston.

- Szkoda, że od razu nie powiedziałaś - oznajmiła z sarkazmem. Posłała mu za pomocą lusterka piorunujące spojrzenie. - W Houston aż roi się od kryminalistów i rzezi-mieszków. Nie czytujesz gazet? Trudno obdarzyć zaufaniem kogoś, kogo poznało się w Houston.

- Chase mu zaufał.

- Czemu?

- Pewnie to było przecucie.

- To chyba przestanę ufać Chase'owi. A więc pewnego dnia Harlan zjawił się tu tak po prostu, nie zapowiedziany?

- Mniej więcej sześć tygodni temu.

Sage, pochłonięta studiami, nie przyjechała do domu na Święto Dziękczynienia, dlatego też nie poznała Harlana wcześniej. Ostatnie tygodnie poświęciła niemal wyłącznie pisaniu pracy magisterskiej. Odbывała z rodziną jedynie krótkie i treściwe rozmowy telefoniczne, ale w żadnej z nich nie było mowy o nowo przyjętym pracowniku.

- Podejrzewam, że naciąga Chase'a - rzekła.

- Nie. Szukał roboty, bo właśnie skończyła mu się poprzednia fucha.

- No, jasne. Wygląda na włóczęgę. Spryciarz, który pewnego dnia nawieje z kasą firmy.

- Nie ma żadnej kasy - odrzekł ponuro Lucky.

Devon, która przezornie nie mieszała się do wymiany zdań rodzeństwa, położyła teraz uspokajająco dłoń na ramieniu męża.

- Sage, oni mają nadzieję, że pewne pomysły Harlana uratują firmę - wyjaśniła.

Dziewczyna popatrzyła na nich oboje z niedowierzaniem.

- Co? Żartujecie chyba! On? Jego pomysły? Musiałam coś przeoczyć. Czyżby on spadł z nieba? Albo wykluł się ze złotego jajka?

- Dość tego, Sage - warknął Lucky. - Wiadomo, o co chodzi. Najprawdopodobniej Harlan nie zrobił po prostu na tobie dobrego wrażenia.

- Delikatnie to ująłeś.

- A co on właściwie takiego zrobił? Naniósł błota do marmurowego hallu u Belcherów?

- Coś znacznie gorszego. On... - Zawiesiła głos.

...Podsłuchał pewną rozmowę. A ona za wszelką cenę nie chciała dopuścić, aby bracia kiedykolwiek poznali jej treść. Naopowiadał jej poza tym przeróżnych głupot. Gdyby powtórzyła je braciom, cała sprawa zakończyłaby się mordobiciem. Pocałował ją tak, że zabrakło jej tchu. Wołała udawać, że ten pocałunek i jej zaskakująca reakcja nigdy się nie wydarzyły.

- No! - ponaglił Lucky. - On co...?

Przemilczała wszystko, co chciała wykrzyczeć.

- Jest niegrzeczny i nieprzyjemny - oświadczyła.

- Harlan? - zdziwiła się Devon. - Zwykle jest taki uprzejmy...

Sage miała nadzieję, że przynajmniej Devon podzieli jej zdanie. Poczuła się nagle opuszczona.

- Nie podoba mi się - rzekła stanowczo.

- To trzymaj się od niego z daleka - poradził Lucky. -

Nie masz przecież do czynienia z firmą, więc nie powinno cię obchodzić, kto dla niej pracuje. A poza tym i tak niedługo

wyjdiesz za mąż i wyniesiesz się stąd na dobre. A właśnie... Jak się czuje nasz doktorek?

Sage przemilczała pytanie o Trávisa, jej uwagę przykuło natomiast to, co Lucky powiedział o oderwaniu siostry od rodzinnego biznesu. Jego nie przemyślana, ale boleśnie trafna uwaga dotknęła ją bardziej, niż mogłaby się tego spodziewać.

Oczywiście, że nic jej nie łączyło ze Spółką Wiertniczą Tylera. Była przecież dziewczyną, zbiorem niedociągnięć, może nawet wypadkiem przy pracy, późnym dzieckiem. Przyszła na świat w osiem lat po swym drugim bracie, silnym, zdrowym i udanym dziecku. Chłopcy stanowili nierozłączną parę, zwaną w mieście „chłopakami Tylerów”. A ona zawsze była tylko siostrzyczką „chłopaków”.

Bracia Sage nie szaleli z radości na wieść o jej przyjeździe na świat. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze drażnili się z nią i starali się dokuczyć. Wiedziała jednak, że ją kochają i zawsze gotowi są stanąć w jej obronie, jak również dać wszystko, o co tylko poprosi.

Ale naprawdę bliscy byli jedynie sobie nawzajem: najlepsi przyjaciele i powiernicy. Sage nigdy nie należała do tego męskiego duetu i w skrytości ducha, z pewną goryczą, zażdrościła im zażyłości.

Tłumiąc urazę, układnie odpowiedziała w końcu na pytanie Lucky'ego:

- Travis ma się dobrze.

- Czy przyjedzie w drugi dzień świąt?

- Wątpię. Wiesz... jest strasznie zawałony nauką. Nie wybierał się do nas, a jeszcze teraz, po urodzeniu się Jamiego, kiedy święta będą pełne lataniny...

Zamiast wcisnąć się w kąć i milczeć, bądź opowiadać wietrutne bzdury, wołała podać to mgliste wyjaśnienie. Z pewnością Travis nie przybędzie w drugi dzień świąt. A rodzina nie musi wiedzieć nic więcej.

Gdy już pogodzi się z Travisem, wspomni może, jak strasznie zatrął jej Boże Narodzenie. Obawiała się jednak, że

rozstanie z Travisem jeszcze długo nie stanie się jednym z tych epizodów w życiu, na które w miarę upływu czasu patrzy się z przymrużeniem oka.

- Cholernie szkoda, że go tu nie będzie - skwitował wiadomość Lucky z udawaną szczerością.

Devon szturchnęła go znacząco.

W każdej innej sytuacji dziewczyna napadłaby na brata za wyśmiewanie się z Trávisa, ale teraz... Sage dokuczało sumienie i starała się uwierzyć w prawdziwość własnych słów.

Przecież Lucky nie zapytał jej wprost, czy nadal jest zaręczona z Travisem, czy też może chłopak zerwał właśnie zaręczyny - rozumowała. A zatem po prostu ograniczyła się do odpowiedzi na pytanie.

Czemu więc nieustannie prześladował ją uśmiezek Harlana i echo jego słów: „Chyba nie zamierzasz im tego opowiedzieć tak po prostu”?

Przez całe życie udawało się jej ukrywać zranione uczucia i maskować rozczarowanie nadmierną wesołością. Zdenerwowało ją, że nagle jakiś przybłąda, taki jak Harlan, przejrzał ją na wylot.

Laurie Tyler czuła się najszcześniejsza, gdy krzątała się po kuchni domu, w którym nie brakowało nikogo z rodziny. Zajmowała się domem od chwili, gdy mając osiemnaście lat poślubiła Buda Tylera. Nigdy nie żałowała, że nie poświęciła się karierze zawodowej. Nie przyszłoby jej do głowy rozczulać się nad sobą, bo uważała, że zawsze szczęśliwie dokonywała wyboru.

Chętnie brała udział w pracy społecznej i kościelnej, sprawdzając się dobrze zarówno w sytuacjach wymagających podejmowania decyzji, jak i przy wykonywaniu najprostszych i najniewdzięczniejszych zadań. W ogóle czuła się swobodnie, niezależnie od sytuacji.

Naprawdę jednak była w swym żywiole dopiero teraz, gdy jej hałaśliwa rodzina okupowała wielki stół kuchenny. W dzi-

siejszy wieczór czuła się wyjątkowo szczęśliwa: po raz kolejny została babcią, a Sage wróciła do domu.

Sage została poczęta późno, kiedy Bud i Laurie od dawna uważali, że rodzina jest pełna. Mała dziewczynka stała się jakby premią, nieoczekiwanym darem losu. Uroda złotowłosego dziecka przyozdobiła rodzinę, a osobowość przydała jej pikanterii.

Laurie nie była matką zaślepioną miłością do dzieci. Wiedziała, że córka, podobnie zresztą jak i synowie, ma wiele zalet, ale i wad. Była niesłuchanie uparta, lecz nie ulegała nastrojom tak jak Chase. Podobnie jak Lucky, odziedziczyła temperament po Tylerach. Nie potrafiła postępować roztropnie ani układnie, czego na ogół oczekuje się od córek. Laurie cieszyło jednak, że Sage jest impulsywna. Wolała żywiołość od uległości.

Laurie kochała córkę w specyficzny sposób, choć czasami dziewczyna utrudniała tę miłość, sama bowiem nie potrafiła łatwo okazywać uczucia. Jakby w obawie przed odrzuceniem pozostawiała sobie zawsze pewien margines bezpieczeństwa. Przypominała w tym Chase'a, ale już nie Lucky'ego, który zbyt często dawał upust emocjom.

- Zjesz coś, kochanie? - zagadnęła córkę. Nie mogła się przy tym powstrzymać, aby nie pogładzić delikatnie jej bujnej czupryny.

- Tak, mam, jeśli nie sprawi ci to kłopotu. - Przytuliła policzek do dłoni matki, by po chwili odsunąć się w zakłopotaniu z powodu tak dzieciennego gestu. - O! Świąteczne ciasteczka.

- Owszem - odparła ze śmiechem Laurie, przypatrując się pobjowisku na blacie kuchennym. - Marcie zaczęła rodzić, gdy byłam w trakcie lukrowania. Jak widać, rzuciłam wszystko i wybiegłam. No nic, skończymy to jutro.

- Pomogę ci - rzekła Sage, obejmując matkę. Potem siadła na krześle.

- Tak mi przykro, że zburzyliśmy ci plany związane z Travisem. - Laurie zaczęła przygotowywać kanapkę z serem.

- Nie martw się.
- W głębi duszy cieszę się jednak, że święta spędzisz w domu.
- Ja też.
- Święta nie byłyby świętami bez twojego buszowania wśród prezentów.
- Nigdy nie buszowałam!
- I to jak diabli! - Do pomieszczenia wtargnął Lucky i opadł na krzesło. - A pamiętasz tę gwiazdkę, kiedy zapakowaliśmy z Chase'em twoje prezenty i zawinęliśmy w ozdobne opakowania zdechłe świerszcze? Wtedy naprawdę gorzko żałowałaś, że buszujesz w paczkach.
- Świntuchy! - Sage cisnęła w brata waflem. Złapał go i zaczął chrupać.
- Ja też to pamiętam! - odezwał się Pat. Stał oparty o kuchenny blat, podjadając surowe ciasto i popijając kawę, której nalała mu Laurie. - Bud musiał was obu sprać, a był chory na samą myśl o tym. A ty, Laurie, próbowałaś go przekonać, żeby im darował.
- Choć Bóg mi świadkiem, że za ten numer należała im się kara. Lucky, gdzie jest Devon?
- Prosiła, żeby powiedzieć wam dobranoc. Jest wykończona.
- Biorąc pod uwagę to wszystko, co mi zrobiliście, powinnam być psychicznie chora - zawyrokowała Sage.
- I chyba jesteś.
Dziewczyna cisnęła w brata kolejnym waflem. Tym razem odbił go, ale Sage nie dała za wygraną. Wkrótce nad stołem zaczęły latać kukurydziane chrupki.
- Jak dzieci! Przysięgam, że jesteście gorsi od przedszkolaków! - krzyknęła matka.
Wybuchnęli śmiechem. Wtedy tylnymi drzwiami wszedł Harlan, który przyniósł walizki Sage. Laurie za każdym razem, gdy widziała młodego Boyda, czuła się oszołomiona jego prezencją.

Uważała dotychczas, że jej synowie są najprzystojniejszymi

mężczyznami w okolicy. To przekonanie potwierdzone zostało przez liczne damy, z którymi obaj się spotykali, zanim zakochali się naprawdę i założyli rodziny. Jak na swój wiek Pat również był pociągający. Wiele kobiet z Milton Point i najbliższego sąsiedztwa zazdrościło Laurie przywiązania szeryfa. Jednak Harlan miał urodę gwiazdora filmowego. Bohaterowie popularnych romansów z pewnością nie powstydziliby się jego pociągłej twarzy i kształtnych ust, nie mówiąc już o oczach... Jedno spojrzenie w te oczy sprawiało, że nawet kobieta niemłoda, jak ona sama, czuje się niepewnie, pomyślała Laurie.

- Dziękuję, Harlan - rzekła. - Zostaw te walizki, potem zaniesiemy je na górę. Chcesz coś zjeść?

- Nie, dziękuję. - Zdjął wilgotny kapelusz i przygładził gęste włosy. - Może trochę kawy...

Laurie nalała kawy do filiżanki i podając mu ją dostrzegła pełne głębokiej pogardy spojrzenie, jakim obdarzyła Harlana Sage. Dziewczyna patrzyła na niego, jakby był jednym z tych martwych świerszczy, które bracia wepchnęli do jej prezentów gwiazdkowych.

Nawet jeśli Harlan był istotnie trochę nieokrzesany, Laurie ubolewała, iż Sage nie potrafi okazać mu choćby odrobiny serdeczności.

Boyd uśmiechnął się do Sage i mrugnął porozumiewawczo. Nic dziwnego, że dziewczynę ogarniał szal. Laurie z trudem powstrzymywała śmiech. Jeśli ten biedak chce flirtować, to obrał niewłaściwy obiekt zainteresowania. Jej obdarzoną silną wolą córkę zajmowali jedynie mężczyźni, których - jak Trava - dało się wodzić za nos.

Wyglądało jednak na to, że Harlan nie poczuł się dotknięty jawnie okazywaną pogardą. Ku rozbawieniu Laurie nie odrywał oczu od Sage, która metodycznie konsumowała grzanki z serem, popijając je kolejną już szklanką mleka. Gdy skończyła jeść, Lucky podniósł się zza stołu.

- Chyba pójdę sprawdzić, czy Devon zapakowała już Lau-

ren do łóżka. - Pożegnał się ze wszystkimi i udał się na górę.

- Ja też jestem skonana. - Sage wstała. - Miałam ciężką podróż - dodała, wpatrując się w Harlana, który ani na chwilę nie oderwał wzroku od swojej kawy, choć na jego ustach igrał ironiczny uśmiezek. - Dobranoc, mamó. A do tych ciasteczek zabierzemy się z samego rana. - Pocałowała Laurie w policzek. - Dobranoc, Pat.

Gdy podeszła do walizek, Harlan poderwał się. Powstrzymała go stanowczym ruchem ręki.

- Poradzę sobie.

- Ależ to żaden problem - rzekł, podnosząc walizki.

Sage wyrwała mu je z rąk i bez słowa wymaszerowała z kuchni.

Pat popatrzył z ciekawością na Laurie, która wzruszyła jedynie ramionami, zaskoczona zachowaniem córki. Harlan wrócił do stołu, żeby dopić kawę.

- Już późno, muszę wracać do miasta - oznajmił Pat.

- Odprowadzę cię. - Laurie sięgnęła po kurtkę wiszącą na wieszaku i zarzuciła ją na ramiona.

Gdy byli już daleko od uszu i oczu rodziny, Pat przytulił ją i pocałował. Miał ciepłe i ruchliwe usta. Pocałunek odzwierciedlał miłość i pożądanie. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, a ona przez chwilę pozwoliła mu trzymać ręce na swych biodrach. Później odsunęła się jednak. Miała rozpalone policzki.

- Wiesz, że wcale nie całujesz jak babcia? - spytał Pat.

- To przez ciebie zachowuję się tak skandalicznie - wymamrotała, tuląc się do jego szyi.

Ocierali się o siebie, a potem znów zwarli w namiętym pocałunku. Pat wsunął ręce pod jej kurtkę, tuż pod piersi. Przyłgnęła do niego, dając mu do zrozumienia, że ona również tęskni za jego dotykiem. Zaczął lekko uciskać przez ubranie jej biust.

Po chwili puścił Laurie i westchnął głośno.

- Laurie, zastanawiałaś się nad tym?

Nie musiała pytać, co ma na myśli. Większość wspólnych wieczorów kończyła się zwykle tym tematem.

- Pat, ja nic innego nie robię.

- Więc nie chcesz?

- Przecież wiesz, że chcę.

- Prosiłaś, żebym dał ci czas do świąt. I właśnie są święta.

- Nie wiedziałam, że Jamie urodzi się tak szybko.

- A cóż to ma za znaczenie? Posłuchaj, mam już dość tego skradania się, kradzionych pocałunków i obłapiania w ciemności. Zupełnie, jakbyśmy byli parą dzieciaków. Jestem na to za stary.

- Mnie też to nie odpowiada.

- Więc zmierzmy to. Nikt się nie zdziwi. Chase już i tak wie o nas. A pozostali również muszą coś podejrzywać.

- Sama nie wiem, Pat - rzekła niepewnie.

- Laurie, ja się wykańczam - jęknął. - Do cholery, chcę z tobą iść do łóżka. O niczym innym nie marzę od czterdziestu lat. Czemu wciąż odkładasz decyzję?

- Przede wszystkim z powodu Sage.

- Sage? - Zaskoczyło go to.

- Ona wkrótce wychodzi za mąż. Nie chcę, aby mój romans postawił ją w złym świetle. To byłoby egoistyczne z mojej strony.

- Czas już, żebyś pomyślała o sobie. Strasznie rozpuściłaś te dzieciaki.

- A ty mi w tym pomogłeś - wypaliła.

- Sage jest nowoczesną, zdrowo myślącą kobietą i doskonale cię zrozumie.

Laurie przygryzła dolną wargę, nadal nie wydawała się przekonana.

- Nie wiem, jak przyjmie nasze postanowienie. Była ukochaną córeczką Buda.

- Była z nim związana podobnie jak my oboje. - Zmarłotniał. - Laurie, chcę usłyszeć ostateczną odpowiedź. I to wkrótce. Nie będę tak żył w zawieszaniu.

Nie speszył jej ten szorstki ton. Otoczyła Pata ramionami.

- Stawia mi pan ultimatum, szeryfie?

- Myśl sobie, co chcesz.

Przysunęła się bliżej.

- Nie próbuj się nawet zastanawiać, czy mógłbyś mnie zostawić. Jeśli to kiedykolwiek zrobisz, odnajdę cię i zastrzelę.

- Cholera, chyba ci wierzę.

- I słusznie.

Uśmiechnął się.

- Do diabła, nie opuszczę cię i ty doskonale o tym wiesz. - Pocałował ją namiętnie.

W końcu niechętnie się rozstali i Pat ruszył bez pośpiechu do służbowego auta.

- Wpadnę jutro wieczorem i zabiorę cię do kościoła.

Laurie pomachała mu dłonią i rozmarzona poszła w kierunku domu. Zdażyła właśnie wejść do kuchni, gdy z góry dobiegł przerażający łomot.

- Boże jedyny! - wykrzyknęła. W pierwszej chwili pomyślała o Lauren w kołysce, choć na podstawie odgłosów można by sądzić, że dom rozpada się na kawałki...

Harlan zerwał się od stołu i pognął ku schodom w korytarzu. Tuż za nim znalazła się Laurie. Zaczęli razem wspinać się na górę. Lucky i Devon wynurzyli się zaspani z sypialni. Lucky miał na sobie slipki, a jego żona wciągała na koszulę nocną szlafrok. Z pokoju dziecinnego po przeciwnej stronie korytarza rozległ się głośny płacz Lauren. Devon weszła do środka uspokoić małą i utulić ją do snu. Lucky podrapał się po piersi i ponuro spytał:

- Co to było?

- To! - wyszczała Sage. - To tylko twoja mała siostrzyczka, która weszła do swego pokoju i zobaczyła, że mieszka tam teraz ktoś inny. - Dziewczyna stała w końcu korytarza z rękami na biodrach, tupiąc wściekle nogą.

- O Boże - westchnęła Laurie. - Na śmierć zapomniałam.

- Kiepsko to wyszło... - zauważył Harlan.

- Zaraz jej powiem.

- Nie zgłaszam sprzeciwu - dodał cicho.

- Sage, kochanie...

- Mamo, co robią rzeczy tego pana w moim pokoju? - Palcem wskazywała Harlana.

- Zapomniałam ci to wyjaśnić - zaczęła spokojnie Laurie. - Zaprosiliśmy Harlana do nas i właśnie tutaj mieszka.

- Mieszka tutaj? On tu mieszka? W moim pokoju? Przygarnęliście przybłądę i daliście mu mój pokój?

- Sage, jak się uspokoisz...

- Nie do wiary! - wykrzyknęła dziewczyna, przerywając matce w pół zdania. - Czy wyście wszyscy pogłupieli?

Devon wysunęła się cichutko z pokoju dziecinnego i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

- Lauren usnęła.

- W porządku - odrzekł Lucky. - Sage, zamknij się łaskawie. Te wrzaski obudziłyby nawet nieboszczyka. - Swymi gibkimi palcami schwycił jak w kajdanki nadgarstki Devon i wciągnął ją do sypialni, klepiąc poządlawie w pupę. - Ale jestem ci bardzo wdzięczny za obudzenie Devon. - Lubieżnie wzniosł oczy do nieba i zamknął za sobą drzwi.

- Zwierzę! - podsumowała Sage. Potem znowu skierowała wzrok na matkę i człowieka, który nie tylko wtargnął w jej życie, ale najwidoczniej opanował również dom rodzinny. Aż do tego dnia nawet o nim nie słyszała, a teraz nagle stał się zmorą jej egzystencji. Co więcej, chyba go to bawiło.

- Co jego graty robią w moim pokoju?! - Zniżyła głos tylko o parę decybeli, robiąc ustępstwo na rzecz śpiącego dziecka. - I gdzie są moje rzeczy, mamo? Nie wierzę, że tak po prostu wprowadziłaś go na moje miejsce, bez porozumienia ze mną.

- Sage, dość tego! Uspokój się w tej chwili.

Gdy matka przemawiała w ten sposób, oznaczało to, że należy zamilknąć i słuchać. Sage z trudem poskromiła wściekłość. Jeśli nie zdoła się ugryźć w język, gotowa znaleźć

się na bruku, podczas gdy Harlan Boyd będzie się pławił w miłości i ciepłe jej domowego ogniska.

- Pytałam cię, czy mogę przemeblować pokoje - oznajmiła Laurie. - Nie pamiętasz, że parę tygodni temu zadzwoniłam i zapytałam, czy będę mogła przenieść trochę twoich rzeczy do sypialni gościnnej?

- Hmm... - Sage przypomniała sobie tę rozmowę, więc jej oskarżycielskie spojrzenie nieco złagodniało. - Niewiele pamiętam. Ślęczałam akurat nad pracą magisterską; byłam rozproszona i nie bardzo wiedziałam, o co ci chodzi. Wiem jednak na pewno, że nie mówiłaś nic na temat lokatora, który ma zająć mój pokój.

- Wyczułam cię - wyjaśniła Laurie. - Skończyłam szybko rozmowę, bo wiedziałam, że myślisz o czym innym. Nie sądziłam, że to dobry moment, by informować cię o Harlanie.

- Naprawdę nie sądziłaś, że zainteresuje mnie wiadomość o obcym człowieku rezydującym w moim pokoju?

- Sage, nie mieszkasz w nim od kilku lat, odkąd wyjechałaś na uniwersytet! - Laurie zabrakło matczynej cierpliwości. - Masz mieszkanie w Austin, a wkrótce wyjdiesz za mąż. Będziecie mieli z Travisem własny dom.

Harlan głośno chrząknął. Stał oparty nonszalancko o ścianę, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Sage widziała, jak usilnie stara się zachować poważną minę i czuła, że bez drgnienia dłoni mogłaby go zamordować.

- Zameżna czy nie, myślałam, że zawsze będę miała kąt w domu, w którym się wychowałam. - Pomimo najszerszych chęci ukrycia swych uczuć usłyszała, że z jej tonu przebija żal i uraza. Bo właściwie czemu nie? Przecież zaczęto kopać pod nią dołki!

Laurie zmiękła i objęła córkę.

- Oczywiście, że masz pokój w domu - tłumaczyła delikatnie. - I zawsze będziesz miała. Nawet po ślubie, jeśli zjedziesz tu z całą rodziną, znajdę miejsce, żeby was wszystkim ulokować. Ale już niebawem dom będzie dla ciebie jedynie przystankiem. Przeniosłam twoje rzeczy do pokoju

gościnnego, żeby zrobić Harlanowi więcej miejsca. Inaczej cała ta przestrzeń pozostałaby nie wykorzystana. Czy to nie brzmi rozsądnie?

Owszem, brzmiało, ale nadal było trudne do przyjęcia. Z powodu Harlana. Gdyby ktokolwiek inny sypiał w jej łóżku, nie obeszłoby jej to. Ponieważ jednak chodziło właśnie o niego, czuła, że za chwilę zacznie obgryzać paznokcie.

- Zastanawia mnie, gdzie Harlan planował się podziać, zanim zaczął wykorzystywać waszą gościnność - wysyczała ze złością.

- Przede wszystkim: nigdy nas nie wykorzystywał. Sama zaproponowałam mu pokój. Nie chciałam, żeby tkwił w tej przyczepie.

- W jakiej znowu przyczepie?

- Moja wywrotka ciągnie zwykle przyczepę. Streamline - odezwał się wreszcie Harlan.

- Bez urazy, Harlan - wtrąciła Laurie, kładąc mu rękę na ramieniu. - Ale ten sprzęt ma już za sobą okres świetności. Poza tym z pewnością nie chroni od wiatru. - Zwróciła się do Sage: - Tutaj jest mu dużo wygodniej.

- Och, nie wątpię! - wybuchnęła dziewczyna głosem pełnym słodyczy, która mogłaby przyprawić o ból zębów. - Nie wątpię, że jest szczęśliwy niczym prosię wylegujące się na słońcu. Ten pokój to bardzo wygodne miejsce, a przynajmniej ja uważałam je za takie.

Laurie skarciła ją wzrokiem.

- Posłuchaj... - Harlan oderwał się od ściany. - Nie chcę być przyczyną kłótni rodzinnej. Zabiorę zaraz rzeczy do przyczepy, a ty wrócisz do siebie.

- Bez łaski! - wycodziła przez zęby. - Jak słusznie powiedziała mama, ten dom to już dla mnie tylko przystanek.

- Naprawdę? - Mówił rozwlekle, z powątpiewaniem.

- Naprawdę - odparowała. - A teraz, jeśli mi oboje wybaczycie, wezmę prysznic i pójdę spać. - Ruszyła przed siebie, niezdarnie ciągnąc walizki. Czuła, że za chwilę urwą się jej ręce. Zatrzymała się w połowie drogi do sypialni dla

gości i dodała: - Chyba zachowałam prawo do korzystania z łazienki. Czy też może nie?

- To nie jest zabawne, Sage - zauważyła matka.

- Cholera, chyba masz rację. - Zniknęła w sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

Harlan gwizdnął.

- Przykro mi, że stałem się powodem tej awantury. Przepraszam, Laurie.

- Nie martw się. Załatwię to z nią jutro.

- Jeśli to coś zmieni w waszych stosunkach, z chęcią przeniosę się do przyczepy. Pewnie rzeczywiście powinienem być tam po prostu zostać.

- Ależ skąd! - zapewniła go i poklepała po ramieniu. - Naprawdę cieszę się, że jesteś z nami. W tobie cała nadzieja na uratowanie firmy. W zamian mogę ci chociaż zaoferować pokój. To naprawdę niewiele. - Obejrzała się w kierunku sypialni dla gości. - Przepraszam za Sage... Jest dosyć... przewrażliwiona.

- Tak, to dało się zauważyć. - W jego uśmiechu nie dostrzegła goryczy.

- Dobranoc, Harlan.

- ...branoc.

Harlan wszedł do sypialni, która przedtem należała do Sage Tyler. Czuł się fatalnie. Bawiło go droczenie się z tą dziewczyną, ale przecież nie chciał jej zranić! A zwłaszcza nie po tym, co przydarzyło się tego wieczora. To dziwne... Sage bardziej zdenerwowała sprawa pokoju niż zerwanie z Belcherem.

- Tępy skurwysyn - powiedział pod nosem.

Zrzucił z nóg ciężkie kowbojskie buty.

Sage nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, pomyślał, ale będzie jej lepiej bez Belchera. Pewnie minie jakiś czas, zanim to sobie uświadomi, ale w końcu odetchnie z ulgą, że uniknęła w życiu prawdziwego nieszczęścia.

Bez wątpienia tego wieczoru ucierpiała jej duma i dobre samopoczucie, ale w głębi duszy ulżyła jej. Taka bystra ko-

bieta musi zdać sobie przecież sprawę, że oto pojawiła się szansa na uniknięcie poważnego błędu.

Życie z takim facetem wykończyłoby ją, rozumował Harlan. Ma więcej ikry i polotu w najmniejszym palcu u nogi niż Belcher w całym swym bladym cielsku. Z całej jej postaci emanuje życie. Ten maminsynek nie zdołałby jej uszczęśliwić przez najbliższy milion lat.

A już na pewno nie w łóżku.

Gdyby Belcher ją zadowalał, gdyby pożądała go naprawdę, protestowałaby żywiej, kiedy z nią zerwał. Rozpaczałaby, wrzeszczała, tupała nogami. Nie zrobiła tego. Nic z tych rzeczy. Kobiety potrafią uronić więcej łez nad złamanym paznokciem niż Sage nad odejściem Belchera.

Może po prostu Travis często miewał takie humory i dziewczyna przypuszczała, że nastrój, jaki zaprezentował świątecznego wieczoru, szybko mu minie? Może wydawało się jej, że ma niezawodny sposób na odzyskanie młodego człowieka...? Albo czuła, że w gruncie rzeczy nie traci wiele...

Jeśli tak właśnie było, jej pożycie z Gorącoustym pozostawiało wiele do życzenia. Zbyt łagodnie przyjęła zerwanie. Kobieta nie składa przecież tak ochoczo na ołtarzu ofiarnym związku w pełni zadowolającego pod względem seksu.

Sage Tyler i seks połączyły się w myślach Harlana w malowniczą, intrygującą wizję. Uśmiechnął się. Cholera. Ta dziewczyna w łóżku musi być nieposkromiona jak lwica - giętkie, dzikie, opalone ciało...

Nagle spłynęło na niego otrzeźwienie.

Nie powinien w ten sposób jej sobie wyobrazać! Wyciągniętej na łóżku, z gładką niczym aksamit skórą, z rozrzuconymi na poduszce włosami, spletanymi jak jej psychika.

Ale cóż on właściwie wie o niej?

Bardzo wiele. Instynktownie wyczuwał, że zmysłowość dziewczyny nie została jeszcze nigdy zaspokojona, ale nie chciał rozmyślać na ten temat. Wiedział, że to może okazać się niebezpieczne.

Tylerowie byli dla niego bardzo dobrzy, wzięli go pod

swe opiekuńcze skrzydła. Zdobył ich zaufanie. Jeśli zacznie teraz uganiać się za Sage, przekreśli to wszystko. Tak, z pewnością rodzina nie będzie tolerować jego umizgów.

Harlan, wbrew swemu postanowieniu, nie potrafił jednak przestać myśleć o Sage.

Ujęła go, gdy ukryta za filarem opłakiwała tego nadzianego bubka. Widział wiele jej fotografii w domu, a mimo to bezpośrednie spotkanie zupełnie go obezwładniło. Gdy podeszła do niego, zobaczył jej wysmukłe uda w opiętych skórzanych spodniach, i stracił głowę. Od tej chwili starał się już tylko powściągnąć pożądanie.

Rozpiął spodnie, ściągnął kurtkę i powiesił ją w przestronnej szafie, zdarł z siebie koszulę, zwinął ją i wepchnął do wiklinowego pojemnika, który przyniosła mu Laurie. Włożył tam również skarpetki.

Odrzucił kapę z łóżka i położył się z rękoma pod głową. Utkwił wzrok w suficie. W takiej pozycji najlepiej mu się myślało.

Dzisiejszej nocy wszystkie jego myśli biegły ku siostrze Chase'a i Lucky'ego. Nie dziwiła go jej uroda. Obaj bracia byli również, każdy na swój sposób, bardzo atrakcyjni. Laurie Tyler w ogóle nie wyglądała na swój wiek i z łatwością mogła przyciągać spojrzenia nawet dużo młodszych mężczyzn. A już na pewno ruszała do żywego szeryfa. Harlan uśmiechnął się na myśl o spojrzeniach, jakie wymieniali, przekonani, że nikt tego nie dostrzeże.

Spodziewał się więc, że i Sage musi być urodziwa. Nie przewidział jednak, że wywrze na nim aż tak silne wrażenie. Na ogół łatwo zdobywał kobiety i tak samo łatwo je porzucał, gdy przychodził na to czas.

Z Sage byłoby inaczej. Niechętnie rezygnuje się z kobiety, z którą życie musi być pełne niespodzianek. Huragan myśli na temat Sage ogarnął go bez reszty.

Gdy złapała go na nie zamierzonym podsłuchiwanie, poczuł się tak urzeczony, że zapragnął podokuczać jej nieco, a potem całować te błyskotliwe usteczka, aż zamilkną. Po

pocałunku, piekielnie udanym, chciał porwać ją prosto do łóżka i pojąć.

Na wspomnienie pocałunku poczuł się nieswojo. Rozpiął kolejny guzik rozporka. Fala pożądania bardziej go zawstydziła niż ucieszyła. Tylerowie zaufali mu i nie zamierzał ich zawieść.

Z drugiej jednak strony nie czytali przecież w jego myślach. Nie potępia się zaś człowieka za myśli. Wystarczająco dużo czasu spędził w pobliżu Lucky'ego i Chase'a, by zorientować się, że obydwaj szaleńczo wprost kochają swe żony. Ci tak żywotni mężczyźni z pewnością rozumieją siłę pożądania.

A jednak nie byłoby rozsądnie...

Rozważania Harlana przerwane zostały przez nagłe otwarcie drzwi. W świetle wpadającym z holu ujrzał sylwetkę Sage w szlafroku. Mokre włosy szczesane do tyłu odsłaniały dziewczęcą twarz pozbawioną makijażu. Wojownicza mina Sage wydawała się nieporozumieniem.

- Przyszłam po koc.

- Słucham?

Nie mógł się podnieść ani wstać - niemożliwość fizyczna - a jedyna czynność, do której jego ciało byłoby teraz zdolne, nie wchodziła w grę. Z twarzy Sage wynikało jasno, że nie przyszła szukać romantycznych przygód. Leżał więc nieruchomo.

Dziewczyna wmaszerowała bez ceregieli do pokoju i zatrzymała się u stóp łóżka.

- Mój koc elektryczny - oświadczyła. - Należy do mnie, odkąd sięgnę pamięcią. Zawsze pod nim sypiam zimą. Chcę go zabrać.

- Czy nie zdarza ci się pukać, zanim wtargniesz do męskiej sypialni?

- Wychowałam się z dwoma braćmi. Przyzwyczaiałam się do widoku męskich ślpek.

- Kochasiowych też? - Nie mógł się powstrzymać od tego pytania. Przede wszystkim naprawdę ciekawiło go pożycie

Sage z Belcherem, a poza tym chciał ją sprowokować. - Bo ja go sobie zupełnie nie mogę wyobrazić bez garnitur. Założę się, że ma wystające kolana.

Obrzuciła go spojrzeniem, które w mgnieniu oka unicestwiłoby klomb pełen róż.

- Czy dostanę ten koc?

Harlan zerknął przelotnie na swe gołe stopy i wrócił wzrokiem do Sage.

- Wszystko, co pani widzi, jest do pani dyspozycji...

Nie spodobała się jej ta deklaracja. Ściągnęła usta. Zrzuciła kołdrę na podłogę i zaczęła wyszarpywać z posłania koc elektryczny, wcisnięty pomiędzy materace. Potem odwróciła się na gołej pięcie i pomknęła ku otwartym drzwiom. Zatrzymała ją jednak kabel koca, którego wtyczka tkwiła wciąż w gniazdku. Dziewczynie z trudem udało się zachować równowagę i nie wylądować na podłodze.

- Lepiej go wyłączyć, chyba że masz taki kilometrowy przedłużacz - zauważył dowcipnie.

Nie ruszając się z miejsca szarpnięciem wyrwała wtyczkę z gniazdka, złapała koc i groźnie spojrzała na Harlana.

- Udało ci się ogłupić całą moją rodzinę, ale mnie nie. Przejrzałam cię, mój panie. Nie ufam ci za grosz!

- Całkiem interesujące...

Zignorowała go i mówiła dalej:

- To zadziwiające, że moi bracia, dość inteligentni i nie pozbawieni intuicji, tak ci zaufali i potraktowali cię jak członka rodziny. Nie daj się zwieść uprzejmości mojej matki. Ona współczułaby nawet wściekłemu psu, a zresztą ty jesteś groźniejszy. Mama kocha wszystkich ludzi, którzy nie są kompletnymi degeneratami. A ty dobrze grasz, to ci trzeba przyznać. Nawet Pat dał się nabrać, a on zwykle wyczuwa oszustów na milę. Ale nie ja - zaakcentowała, uderzając się małą piastką w klatkę piersiową. - Mnie nie oszukasz, poznałam cię z najgorszej strony. Widziałam, jak się zachowujesz, gdy nie przybierasz tonu mdłego, fałszywego, czarującego old boya. Mam moralny obowiązek unaocznić mojej

łatwowiej rodzinie, że jesteś kanciarzem i zamierzam to zrobić przy najbliższej okazji.

- Chciałabyś się mnie pozbyć - stwierdził gładko Harlan. - To by dopiero było wygodne, co? Bo tylko ja wiem, co ukrywasz. I tak naprawdę, to tylko dlatego chcesz się mnie pozbyć. Bo cię denerwuję. Boisz się, że cię wydam?

Sage zatrzęsała się ze złości i ruszyła zdecydowanie do drzwi. Tym razem udało się jej dotrzeć do nich bez przeszkód. Gdy je zatrzasnęła, zadrżała futryna.

Harlan wybuchnął śmiechem. Kiedy Sage się wściekała, ujawniał się w pełni jej temperament. Doświadczenie nauczyło go, że kobiety o tak gorącej naturze były gorące we wszystkich dziedzinach życia.

Ta myśl sprawiła, że westchnął boleśnie.

- Ach, do diabła z nią.

Ściągnął dzinsy i bieliznę. Rozłożył pościel, podniósł kołdrę z podłogi i wrócił do łóżka. Nakrył się po szyję, na wypadek gdyby panna Sage zdecydowała się na jeszcze jedno wtargnięcie. Nie zdołał jednak niczego ukryć, co zauważył z goryczą, spoglądając na swe ciało.

Mylila się, rzecz jasna. Wcale go nie przejrzała. Nikomu się jeszcze to nie udało. W każdym razie nie przez ostatnich czternaście lat, które przeżył samotnie. Parę osób mogłoby rozumieć powody, dla których żył tak właśnie, nikogo jednak nie wtajemniczył w swe sprawy. Z nikim nie rozmawiał o wcześniejszym etapie życia, wiedząc, że otoczenie mogłoby zmienić wówczas opinię na jego temat.

Pragnął, by widziano go takim, jaki jest teraz, ceniono za jego bystry umysł, nowatorskie pomysły i miły sposób bycia. Chciał być osądzany tylko na podstawie chwili obecnej.

Pogodził się z decyzją, którą podjął czternaście lat temu, choć niewiele kobiet podzielałoby jego zdanie. Kłóciło się to z ich wrodzonym instynktem „wicia gniazda”. Zwłaszcza osoba taka jak Sage - głęboko zakorzeniona w tradycji, osoba, dla której rodzina oznaczała wszystko, co najważniejsze - nigdy nie pojęłaby jego przemożnej potrzeby włóczęgi.

A swoją drogą dlacegóż miałby pragnąć, aby ta dziewczyna zrozumiała jego styl życia? Na Boga, tylko nie to!

Im wcześniej zniknie mu z oczu i z pamięci, tym lepiej. W obecności Sage koncentracja na pracy okazałaby się trudna, jeśli nie niemożliwa. Na szczęście nic nie wskazuje na to, by dziewczyna miała przedłużyć ferie świąteczne. Zniknie więc zapewne równie szybko jak świąteczna pieczeń.

Ale dopóki tu jest, Harlana czeka prawdziwe piekło. Ma nie myśleć o Sage, nie oglądać się za nią i postępować tak, żeby nie było mu za ciasno w spodniach.

Sage zbudził przyjemny zapach gotowanego mięsa. Uśmiechnęła się do siebie. Było jej ciepło i przytulnie. Czuła się zadowolona, gdy pomyślała, że matka przygotowuje na dole ciasteczka i sos.

Travis nazywał jej ulubione śniadanie „wiejskim żarciem” i natrząsał się z tych upodobań.

Wspomnienie Trávisa przywiodło na myśl wszystkie nieprzyjemne wydarzenia z poprzedniego wieczora. Zadowolone przysło.

Otworzyła oczy. Na ścianie na wprost łóżka wisiały te same co zawsze fotografie w ramach: Sage jako kapitan drużyny w liceum w Milton Point, Sage w birecie i todzie odbiera dyplom ukończenia gimnazjum, Sage w podobnym stroju przyjmująca z rąk dziekana wydziału ekonomicznego na Uniwersytecie Teksaskim dyplom magisterski, siedmioletnia Sage w towarzystwie braci i tatusia w Parku Narodowym Yellowstone - zdjęcie zrobione podczas rodzinnych wakacji. Ukochane fotografie.

Ale to przecież nie ta tapeta. Nie ten pokój.

A więc to wszystko nie było tylko złym snem? To wcale nie jest jej pokój. W pokoju Sage urzęduje on, używa jej mebli, śpi w jej łóżku, tarza się w jej pościeli. Ta świadomość rozjuszyła ją na nowo.

Z niecierpliwością wyczekiwała gwiazdki, pozbywszy się w końcu balastu nauki. Potem Travis zaczął się upierać, że

powinni podzielić swój czas pomiędzy obie rodziny i Sage musiała zrezygnować ze spędzenia całych ferii w domu. Travis miał nie lada tupet, żeby zrywać zaręczyny tuż po tym, gdy postawił na swoim w sprawie spędzenia świąt.

Travis w ogóle okazał tupet, zrywając zaręczyny! I na tym koniec, kropka.

Będzie musiał zapracować na przebaczenie. Zobacz, że Sage wcale nie śpieszy się z okazywaniem łaski. Gdy przyczołga się, ona bezlitośnie pozwoli mu odczuć, że okazał się prostakiem, wywołując taką aferę w same święta i psując uroczyste chwile.

W minionym roku często rozmawiali o małżeństwie; snuli plany. Oboje byli zdania, że związek dwojga ludzi powinien być planowany i oparty na wspólnych celach, a nie tylko na uczuciu. Pożądanie - jak zgodnie uznali - stanowiło kiepskie podwaliny pod przyszłe życie.

Sage już dawno postanowiła, że jej szczęście nigdy nie będzie zależało od mężczyzny. Travis rozumiał to. Ze swej strony pragnął żony oddanej jego karierze medycznej. Sage kochała Travisa. A czy i on nie przyznał ubiegłej nocy, że odwzajemnia to uczucie? Może tylko byli w miłości odrobinę bardziej przyziemni niż inne pary.

Travisa, jak każdego mężczyznę, ogarniała przecież namiętność. Przeżywali razem gorące momenty. Ale najwidoczniej nie była to dziedzina życia najważniejsza dla niego. Nie odznaczał się szczególną popędliwością, jak na przykład jej bracia, jak... Przez głowę przemknęła jej zdradliwa myśl. Nie, nie pozwoli, by ten mężczyzna zepsuł jej choć minutę świątecznego odpoczynku. Wybije go sobie z głowy.

Niestety, myśli biegły własnym torem. Zdominował je obraz Harlana Boyda, wyciągniętego na jej własnym postaniu, które było dla niego nieco za krótkie; szopa bujnych włosów opierała się o zagłówek, a długie nogi sięgały do końca tapczanu.

Nie próbował nawet zachować się przyzwoicie! Leżał swobodnie, odchyliwszy w bok podgięte kolano. Ale wiele fo-

tografii nagich mężczyzn w „Playgirl” nie dorównywało nawet w połowie ubranemu Harlanowi. Miał rozpięty pasek i dwa guziki w rozporku, co czyniło go dużo bardziej pociągającym, niż gdyby był nagi.

Poruszyło ją, że zapamiętała to tak dokładnie. Dwa odpięte guziki. Widziała też gumkę jego slipka.

Miała wyraźnie przed oczami szeroki, muskularny tors Harlana, porośnięty jasnymi, kręconymi włosami, dobrze umięśniony, twardy brzuch, o który można by chyba odbijać piłkę. Nie pofatygował się nawet, żeby wyjąć ręce spod głowy, przez co widoczne były kępki miękkiego owłosienia pod pachami.

W szpitalu wiedział, że oglądają się za nim wszystkie pielęgniarki. Cholernik doskonale zdawał sobie sprawę, że dobrze się prezentuje. I rzeczywiście wyglądał dobrze, jeśli komuś odpowiada typ łajdaka. Zarozumiały ekshibicjonista! Gdy weszła do pokoju, czy poczuł się zażenowany, że przyłapano go bez koszuli? Skądże. Czy rzucił się, by się przykryć? Ani myślał.

Leżał po prostu z tym swoim błogim uśmiechem i wyglądało, że myśli tylko o łóżku. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie się z kimś kochał lub wyobrażał sobie, że kogoś ma tuż obok siebie, o czym świadczył ogień pałający w jego oczach.

Może i miał brudne myśli, ale sam sprawiał wrażenie czystego. Sypialnia była sprzątnięta, tak jak za czasów Sage, a może nawet jeszcze porządniej. Gdy jadła w kuchni kanapkę, a on przeszywał ją wzrokiem, dostrzegła, że ma czyste i zadbane paznokcie. Pachniał przyjemnie. Już w kabinie samolotu poczuła delikatną woń swej ulubionej męskiej wody. Nie nosił modnych ubrań, ale za to pasował idealnie do Milton Point. Mówił z nosowym teksaskim akcentem, ale posługiwał się cywilizowanym językiem. Nie popełniał rażących błędów gramatycznych.

Jednak te nieliczne zalety nie mogły przesłonić licznych negatywów. Jak śmiał ją na przykład w ten sposób całować?

W sposób typowy dla filmów „tylko dla dorosłych”. Zresztą Harlan nie oglądał pewnie innych filmów. Z drugiej strony nikt nigdy jej tak nie pocałował. Nawet Travis...

Przezornie nie kontynuowała porównywania Harlana i Trava. Uczciwie bowiem musiała przyznać, że porównanie takie nie wypadłoby korzystnie dla byłego narzeczonego. Powstrzymała się jednak przed dociekaniem - z jakiego powodu.

Utwierdziła się tylko w przekonaniu, że pan Harlan Boyd to najbardziej nieznośny i arogancki człowiek, jakiego miała nieszczęście poznać. W dodatku był on świadkiem najbardziej upokarzającego momentu w jej życiu.

W żaden sposób nie potrafi się z tym pogodzić! Wykluczone. Ale ponieważ nabrał rodzinę i wyrobił sobie markę niezastąpionego dla Spółki Wiertniczej Tylera, mogła porzucić nadzieję na jego rychłe zniknięcie z horyzontu.

Jedynie dorzeczne wyjście z tej sytuacji to szybkie odzyskanie Trava.

A wtedy zobaczymy, panie Boyd. Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni - pomyślała buńczucznie.

Tylerowie przemaszzerowali główną nawą kościoła. Chodzenie na pasterkę należało od dziesięcioleci do niezachwianej tradycji wigilijnej. Zjawiała się wówczas rodzina w komplecie. W tym roku, ze względów oczywistych, Chase i Marcie zostali zwolnieni z tego obowiązku.

- Ale za to mamy Harlana - rzekła uszczęśliwiona Laurie, wkładając płaszcz podany przez Pata.

Gdy rodzina zbierała się w holu przed wyjazdem do miasta, Sage okazywała Harlanowi ostentacyjną obojętność. Nie widziała go od poprzedniego wieczoru, bo cały dzień nie było go w domu.

Rankiem odwiedziła Marcie w szpitalu i jeszcze raz przyjrzała się Jamiemu. Resztę dnia spędziła na pieczeniu ciasteczek. W ostatniej chwili robiła jeszcze zakupy. Wszechogarniająca atmosfera świąt przyćmiła ponure myśli o Travisie.

Pogodny nastrój Sage prysł jednak, gdy wszyscy przygotowywali się do wyjścia i na schodach pojawił się Harlan. Jak gdyby nigdy nic, nie przyjmując do wiadomości miny Sage, przysunął się do niej.

- Rzecz jasna, nie masz nic przeciwko temu, że pójde z wami do kościoła, prawda, panno Sage?

- Oczywiście, że mam. Nie należysz do rodziny. - Spojrzała na niego niechętnie. Na pewno nie ubrał się szykownie, ale pod skórzaną brązową kurtkę noszącą ślady przebytych kolei losu założył białą koszulę i czarne spodnie. - Ale powinnam się przynajmniej cieszyć, że nie przyniesiesz nam wstydu.

Uśmiechnął się, co sprawiło, że miała ochotę zgrzytać zębami, i skoczył do przodu, by otworzyć przed nią drzwiczki

samochodu. Zanim zdążył usadowić się koło niej, dziewczyna zatrzasnęła je gwałtownie.

W kongregacji wiedzano, że wedle niepisanej umowy trzecia od ołtarza ława należy do Tylerów. Siadywali tam, odkąd tylko Sage sięgała pamięcią. Pojawienie się rodziny wywołało w świątyni spore ożywienie. Nieśli świece, wręczone im przy drzwiach, śpiewniki, płaszcze, małą Lauren i jej rzeczy.

Przy ławce Pat Bush przepuścił Laurie, która przeszła jednak tylko parę kroków i zawróciła.

- Chcę usiąść koło Sage. Idź pierwszy - wyszeptwała.

Pat przeszedł na koniec ławy. Obok zajęły miejsca Laurie i Sage, która zerknęła przez ramię i z ulgą zobaczyła, że tuż za nią znalazła się Devon z Luckym, a dopiero potem Harlan. Dzięki Bogu. W ten sposób uniknęła jego sąsiedztwa.

Popatrzyła przed siebie i zaczęła chłonać atmosferę kościoła. Ołtarz i chór zdobiły jaskrawoczerwone kwiaty. Organista i pianista grali kolędy, po czym zapanowała nabożna cisza.

- ...a jak zacznie płakać, będziemy musieli wyjść. - Szept Devon wyrwał Sage z zadumy.

- Racja. Zamieńmy się miejscami z Harlanem.

Lucky nie potrafił mówić cicho. Jego głos rozległ się w całej świątyni. Pastor zgromił go wzrokiem, dokładnie tak samo, jak to czynił co niedzielę.

Harlan podniósł się, a Lucky i Devon przesunęli się na skraj ławki. Obok Sage zostało wolne miejsce, na które wcisnął się Harlan, starając się nie nadepnąć nikogo po drodze.

Sage jęknęła cicho.

Chłopak pochylił się ku niej i zapytał szeptem:

- Nadepnąłem ci na palec?

- Nie.

- Kopnąłem cię?

- Bynajmniej.

- To znaczy, że jęknęłaś, bo tego nie zrobiłem...

Odrzuciła się ku niemu oburzona, ale zobaczyła, że Harlan

wpatruje się już ze świątobliwą miną w ambonę. Sage zakipiała ze złości. Przyłgnęła do matki, aby nie dotknąć intruza nawet skrajem płaszcza.

W kościele rozległo się crescendo. Potem pastor wstał. Nabożeństwo rozpoczynał zawsze dokładnie o jedenastej trzydzieści, tak aby można je było skończyć punktualnie o północy.

- Witajcie. - Z bocznej nawy niespodziewanie dobiegł cichy głos. To Chase wychylał się zza Pata i uśmiechał do rodziny.

- Och, wiedziałam, że przyjdiesz! - przemówiła scenicznym szeptem Laurie.

- Marcie uparła się, żebym nie tracił nabożeństwa z jej powodu.

- Jak Jamie?

- Cudownie. - Tak mógł się uśmiechnąć tylko świeżo upieczony ojciec.

Pastor zdawał się czekać z rozpoczęciem nabożeństwa, aż Tylerowie w końcu się uspokoją. Chase posłał mu pełne skruchy spojrzenie i wyszeptał:

- Ja sobie tu usiądę. - Ruszył do ławki stojącej przed rodziną.

- Wykluczone, zmieścimy się - zaprotestowała Laurie. - Chcę, żebyśmy siedzieli razem. Przysuń się, Pat.

Usadowili się wreszcie, a pastor zaintonował modlitwę.

Sage straciła nastrój do modlitwy. Przetasowanie w ławce zmusiło ją do przywarcia udem do Harlana, a ramiona obojga z trudem mieściły się obok siebie. Wreszcie Laurie trąciła Sage łokciem, nakazując spokój. Dziewczyna nie miała wyboru. Musiała ustąpić i umieścić rękę za plecami swego sąsiada.

Harlan patrzył ze skupieniem przed siebie, sprawiając wrażenie pochłoniętego bez reszty treścią Pisma. Ale Sage wiedziała swoje. W łagodnym świetle dostrzegła w jego błękitnych oczach oznaki radości. Silniej niż potrzeba opierał się

o jej rękę; gdy sięgał do modlitewnika, całkiem nieprzypadkowo ocierał się o piersi sąsiadki.

Półgodzinne nabożeństwo zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie zgaszono światła i służba kościelna ruszyła nawami, niosąc świece służące do zapalania świeczek wierznych siedzących w ławkach.

Lucky zwrócił się do Devon, gdy zapalono jego świecę. Przytknął płomień do świeczki żony. Devon pozwoliła się czule ucałować i uważając na dziecko wyciągnęła zapaloną świecę do Harlana.

Gdy odwrócił się on do Sage, przysunęła do jego świecy swoją. Chłopak nie patrzył jednak na łączące się płomienie, lecz na sąsiadkę, która udając obojętność, podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. W jej sercu nagle coś zadygotało. Na chwilę uległa urokowi Harlana. Potem, roztrzęsiona, odwróciła się, by zapalić świecę matki.

Do końca ceremonii zapalania świec nie spojrzała już ani razu na Harlana. Siedziała z pochyloną głową, zapatrzona w płomień świecy, którą trzymała w spoconych, drżących dłoniach.

Starła się zachowywać jak wcielenie pobożności, co jej się udało. Nikt nie dostrzegł, że miotają nią sprzeczne uczucia. Zasychało jej w gardle lub nagle czuła nadmierny przypływ śliny. Skupiła się tylko na tym, by nie patrzeć na Harlana. Do bólu niemal przesywała ją świadomość bliskiego sąsiedztwa. Zaczęła odczuwać zawroty głowy.

Nigdy przedtem jej się to nie zdarzało. Bała się. Może to początek grypy? Krępowało ją, że emanuje z niej gorąco i obawiała się, że jej niewytłumaczalne podniecenie jest widoczne dla wszystkich.

Gdy pastor nakazał wiernym powstać, ugięły się pod nią kolana. Przed zgaszeniem świec i wyjściem z kościoła, przy dźwiękach dzwonów obwieszczających nastanie Bożego Narodzenia, zaśpiewali jeszcze „Cichą noc”.

Zawsze w tym momencie Sage czuła przypływ otuchy, wrażenie nowego życia. Tego jednak wieczoru, gdy szła

w kierunku wyjścia, przyspieszone bicie serca nie miało nic wspólnego z podniosłą chwilą. Prześladowała ją świadomość, że te odczucia wynikają z całkiem przyziemnych przyczyn.

- Mamo, obawiam się, że tym razem ominie mnie twój jabłecznik i ciasteczka - oznajmił Chase, gdy rodzina znalazła się na parkingu. - To nasze pierwsze wspólne święta. Chcę jak najwięcej czasu powiecie Marcie.

- Rozumiem - odparła Laurie, przytulając go. - Będzie nam ciebie brak. Uściskaj Marcie.

- Do jutra.

- A więc zjawisz się na obiedzie?

- Tego bym za nic nie opuścił! - krzyknął, biegnąc do samochodu.

Sage pojechała do domu z Patem i Laurie, Harlan zaś wracał z rodziną Lucky'ego. Podczas jazdy rozmawiali o mszy, o Jamiem i planach świątecznych. Sage nie włączała się do dyskusji, martwiąc się, że obecność Boyda tak silnie na nią oddziałuje. Nigdy w życiu nie reagowała tak na żadnego mężczyznę. Nawet Travis nie wywoływał w niej podobnych odczuć. Obawiała się też, że Harlan musi być równie wrażliwy na jej obecność.

Nonsens! To tylko te święta. Wigilia czyni z ludźmi różne cuda, sprawia, że wierzą w świętego Mikołaja i tym podobne bajki.

Na wszelki wypadek jednak unikała Harlana, pomagając matce nakrywać do stołu. Wcześniej już przygotowały kanapki i napoje, podgrzały też piwo. Na szczególne okazje rodzina używała pokoju jadalnego, a dziś był właśnie taki dzień.

- Miałaś jakieś wieści od Trávisa?

Niespodziewane pytanie matki sprawiło, że Sage zakrztusiła się ciastkiem.

- No... właściwie to nie... Ale jego rodzina ma zajęty cały dzień i wieczór. Nie spodziewam się więc telefonu. Pat, chcesz jeszcze kanapkę? Zjadłeś dopiero dwie.

Sage zaczęła nadszkakiwać szeryfowi w nadziei, że odwróci

tym sposobem uwagę zebranych od własnej osoby. Tylko jeden biesiadnik nie dał się nabrać na jej ożywienie. Gdy w końcu zaryzykowała i spojrzała na Harlana, ten mrugnął do niej porozumiewawczo.

Później, gdy niosła do kuchni tacę z brudnymi naczyniami, zobaczyła, że Harlan, obładowany naręczem podarków gwiazdkowych, wchodzi tylnym wejściem. Udała jednak, że go nie widzi.

Gdy ją mijają, pochylił się nagle i wyszeptał jej prosto do ucha:

- Dobrze pani kłamie, panno Sage. Niczego się nie domyślają.

Dotyk jego warg zaszokował ją. O mały włos nie upuściła tacy. Cisnęła nią za to wściekle na blat, aż zabrzęczały naczynia.

- Wcale nie kłamałam! Nie spodziewam się dziś jego telefonu! A przy okazji, ponieważ jesteśmy sami, chcę ci powiedzieć, że wcale nie byłam zachwycona tym, co robiłeś w kościele!

- Pewnie nie. Ale podobało ci się.

Zanim zdążyła zaprotestować, zniknął za drzwiami.

Następnego ranka Laurie, Devon i Sage już od siódmej rano przygotowywały świąteczny obiad. Laurie trzęsła się nad indykiem, w obawie, że okaże się niedostatecznie kruchy lub przepieczony.

Harlan usiadł przy stole w kuchni i zjadł lekkie śniadanie. Potem zgłosił się na ochotnika do przyniesienia drew i rozpalenia w salonowym kominku. Laurie podziękowała mu jednym ze swych specjalnych uśmiechów. Sage natomiast potraktowała go jak powietrze.

- Lauren nakarmiona, wykapaną i ułożoną do snu! - oznajmił Lucky wchodząc do kuchni.

Sage upuściła kawałek selera, który właśnie kroić i odwróciła się od blatu. Ze zdumienia otworzyła buzię.

- Żartujesz chyba!

- Co? - mruknął Lucky znad kubka świeżo zaparzonej kawy i codziennej gazety Dallas.

- Legendarny uwodziciel z Milton Point, największy lekoduch w okolicy kąpie dziecko?!

- Owszem, i mam nadzieję, że długo będę jedynym mężczyzną, który kąpie Lauren.

- Czemuż to, Lucky? Jak to dziwnie brzmi w twoich ustach - zagruchała Devon, niewinnie zdziwiona.

Mąż odburknął coś i pogрузzył się w lekturze. Po kilku minutach wykrzyknął:

- Hej, Devon! To najlepszy z twoich dotychczasowych artykułów. Nic dziwnego, że publikują cię w całym stanie. Czytałyście? Mamo? Sage?

Obie przytaknęły. Znały już świąteczny tekst Devon o bezdomnych w Ameryce. Napisała bardzo wnikliwy, a zarazem chwytający za serce artykuł.

Nieco później zjawił się Pat, obładowany podarunkami, które Lucky umieścił pod drzewkiem w salonie.

- Kiedy otworzymy prezenty? - zainteresowała się Sage.

- Po obiedzie.

- Och, mamo! Dopiero po obiedzie?

- Zgadza się. Po obiedzie.

Plany zmieniły się jednak, gdy nieoczekiwanie przybył Chase z rodziną. Laurie na widok wnuka zalała się łzami. Natychmiast zapomniała o indyku i zaszyła się w salonie z noworodkiem w ramionach, w bujanym fotelu. Chase troskliwie pomógł Marcie usadowić się wygodnie, choć zdaniem Sage spokojnie mogła się poruszać o własnych siłach.

- Mam nadzieję, że wystarczy dla nas miejsca przy stole - zaśmiała się Marcie. - Wiem, że nie spodziewaliście się mnie zobaczyć, ale kiedy doktor wypuścił nas dziś rano, postanowiliśmy z Chase'em odwiedzić was.

- Zostaniemy, dopóki Marcie nie poczuje się zmęczona. - Otoczył ją ramieniem. - Czyż ona nie jest wspaniała?

Nie przesadzał. Wyglądała świetnie z rozpuszczonymi rudymi włosami, opadającymi na ramiona. Miała piękną cerę,

która podczas ciąży jeszcze wyładniała. Figura Marcie nabrała pełniejszych kształtów.

- Teraz dopiero mam prawdziwe święta! - rozczuliła się Laurie, gładząc pachnącą szyjkę Jamiego.

Gdy wszyscy zebrali się, by podziwiać noworodka, Sage zaproponowała odpakowanie prezentów. Zgromadzeni przyklasnęli temu pomysłowi.

Pat zabawił się w świętego Mikołaja i wyjął prezenty spod drzewka, które - zdaniem Sage - zostało udekorowane wzorowo. Oprócz rożków ze słodyczami i świecidełek znalazły się na nim ozdoby zrobione przez Sage i jej braci jeszcze za czasów szkolnych. Nie wyrzucono nawet najbardziej amatorskich okazów. Wprost przeciwnie, co roku te wszystkie ozdoby z dumą zawieszano na choince.

Sage zachwyciła się prezentami, a najbardziej szpicrutą od Chase'a i Marcie.

• - Wiem, że nigdy nie tkniesz nią konia - wyjaśnił brat, czule muskając pukiel włosów siostry. - Ale strasznie mi się podobała.

- Sage, jeszcze jeden dla ciebie - oznajmił Pat, wręczając jej ozdobne zawiniątko. - Od... Harlana - dodał, sprawdzwszy napis na załączonym karneciku.

- Harlan! - Jej głos zabrzmiał, jakby Boyd był co najmniej potomkiem Hunów. Zerknęła na niego i wymamrotała nieco łagodniej: - Dopiero co się poznaliśmy. Naprawdę nie musiałeś.

- Ale chciałem.

Żarliwość odpowiedzi sprawiła, że poczuła się nieswojo.

- Co to takiego, Sage? - spytała Laurie.

Dziewczyna rozwinęła paczuszkę.

- Zakładka do książki.

- Jest na niej cytat... - wtrącił Harlan znacząco, tak że wszyscy się zainteresowali.

Sage przebiegła wzrokiem zamasyżście skreślone zdanie i rzuciła Boydowi groźne spojrzenie.

- Sage, co tam jest napisane? - dopominał się Chase. - Przeczytaj nam.

- To tylko taki cytat z H. L. Menckena - wyjaśniła dziewczyna w nadziei, że to zadowoli rodzinę. Tak jednak się nie stało. Zebrani patrzyli na nią w oczekiwaniu. Znalazła się w centrum zainteresowania, dokładnie tak, jak chciał Harlan. Najobojętniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć, przeczytała: - „Sumienie to wewnętrzny głos, który ostrzega, że ktoś może nas widzieć”.

Lucky wybuchnął śmiechem.

- Powinieneś być dać to mnie!

- Czyżby stało się coś, po czym masz nieczyste sumienie? - zapytała Devon zmrzywszy oczy.

Wszyscy skupili uwagę na Sage i Harlanie. Dziewczyna, nie odrywając wzroku od ofiarodawcy, wepchnęła zakładkę z powrotem do płytkiego pudełeczka i poderwała się z miejsca.

- Idę zajrzeć do indyka. - Wysła, czując na plecach wzrok Harlana.

Pomimo że pozostał on na świątecznym obiedzie, Sage bawiła się znakomicie. Czuła się doskonale w rodzinnym gronie, w otoczeniu ludzi, których kochała. W trakcie posiłku uświadomiła sobie, że już od dawna nie była tak zrelaksowana, a to dlatego, iż przy stole zabrakło Trvisa, który niezmiennie irytował jej braci. Jego z kolei drażniły ich dowcipy. Sage tkwiła między młotem a kowadłem, starając się pacyfikować obie strony i przekonując Trvisa, że przycinki stanowią u Tylerów niemal tradycję rodzinną. Tego dnia odczuła ulgę, że nie musi łamać sobie głowy nad przewrażliwieniem Belchera.

Gdy zaczęli sprzątać ze stołu, zadzwonił telefon. Laurie podniosła słuchawkę i oznajmiła:

- Sage, to do ciebie, Travis.

Wychodząc z jadalni dziewczyna posłała Harlanowi łobuzerskie spojrzenie. Wzięta od matki słuchawkę i bardzo głośno, tak, aby słyszano w pokoju, rzekła:

- Wesołych Świąt, kochanie.

- ...Wesołych Świąt. - Zdziwił się. Rzecz jasna. Nie spodziewał się usłyszeć tak radosnego powitania. - Dzwonię, żeby się upewnić, czy dotarłaś bezpiecznie do domu.

- Niepotrzebnie się martwiłaś. Wszystko w porządku.
- No... to dobrze. Cieszę się.

Nie zapytał jednak, jak dotarła do domu. Czyżby go to nie obchodziło? Nie był ciekaw? Przecież mogła równie dobrze dojechać autostopem, jak i zostać porwana przez jakiegoś zbrojnego... Co biorąc pod uwagę niektóre wypowiedzi i poczynania Boyda było stosunkowo bliskie prawdy.

- Marcie urodziła chłopca - poinformowała Trvisa. - Nazywamy go Jamie.

- Naprawdę? Wspaniale!
- Poczekaj, aż go zobaczysz, Travis. Jest słodki.
- Sage, ja... To znaczy chcę powiedzieć, że... nic się nie zmieniło. Dzwonię tylko, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. Gdy wyjeżdżałaś, zachowywałaś się niezbyt przytomnie. Służąca znalazła na stoliku w gościnnej sypialni bransoletkę, którą ci podarowałem.

- Zgadza się.
- Chciałem, żebyś ją zatrzymała, Sage.
- Czemu?
- No, wiesz... Fatalnie się czułem, mówiąc o zerwaniu. Widziałem, że bardzo cię dotknęło. A teraz, gdy miałaś już trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli, jak to odbierasz? Nie chcę, żebyś się denerwowała...

A więc nie dzwonił z myślą o pojednaniu. Nie starał się odwołać swych słów, nie wciskał pęków róż, a tylko wyrazy współczucia i złotą bransoletkę, aby uspokoić swe sumienie. Z tonu jego głosu wywnioskowała, że wcale nie zamierzał wracać na klęczkach. Przez ostatnie godziny po prostu sama siebie oszukiwała. A prawda była taka, że wszystko skończone. W jego głosie słyszała jedynie współczucie, lecz nie skruchę.

Jak mógł być tak zarozumiały? Czyżby się obawiał, że Sage rzuci się z mostu? A może, dotarwszy do domu, miała

paść na łóżko z zimnymi kompresami na zapuchniętych od płaczu oczach? Tak to sobie wyobrażał?

A to cholernie mało prawdopodobne, pomyślała ze złością. Prędzej założyłaby kajdany niż bransoletkę, którą podarowała jej w charakterze nagrody pocieszenia. Marzyła, żeby mieć jeszcze kiedyś okazję wepchnięcia mu jej do gardła.

Nie zapominając o słuchaczach w jadalni, rzekła radośnie:

- No dobrze, Travis. Muszę już lecieć. Dzięki za telefon. Wesołych Świąt.

Odkładając słuchawkę, zastanawiała się, co powiedzieć rodzinie. Nadal nie zamierzała zatruć wszystkim świąt, obwieszczając, że nie wyjdzie za Trvisa. Dopóki nie wymyśli, jak subtelnie powiadomić ich o tym, zachowując jednocześnie twarz, będzie nadrabiać tupetem.

Ale teraz potrzebowała odrobiny czasu, żeby się pozbierać. Zamiast wrócić do jadalni, pobiegła więc na górę. Zbliżyła się do drzwi pokoju, który obecnie zajmowała. Ze środka dochodziły ją głosy.

Na łóżku leżała Marcie i karmiła Jamiego, a Chase podziwiał ich oboje.

- Och, przepraszam, Sage - powiedziała Marcie, widząc dziewczynę stojącą w drzwiach. - Pójdziemy gdzieś indziej.

Pokrywając uśmiechem zażenowanie, Sage wbiegła do pokoju.

- Nie wygłupiajcie się. Wpadłam tylko poprawić makijaż.

Podeszła do toaletki, by sprawdzić w lustrze ewentualne oznaki zdenerwowania na twarzy. Niczego nie zauważyła. Nałożyła sobie kilogram pudru i szminki, podeszła do łóżka i usiadła naprzeciw Chase'a, który nie mógł oderwać wzroku od żony i dziecka.

We trójkę uosabiali wzorzec rodzinnego szczęścia. Znowu Sage zebrało się na płacz, ale tym razem mogła to łatwo wytłumaczyć. Wszyscy czują wzruszenie na widok noworodka.

- Jamie jest prześlizchny. Hej, wy tam, wiecie? - oznajmiła podejrzanie niskim głosem. - Naprawdę prześlizchny.

- Dziękuję, chyba masz rację.

Kiedy Marcie i Chase spojrzeli sobie w oczy, widać było, że łączy ich taka miłość i oddanie, iż Sage poczuła się jak intruz.

Po chwili odezwał się Chase:

- Właściwie nie miałem czasu, żeby się z tobą przywitać, siostrzyczko. A musisz wiedzieć, że jesteśmy cholernie dumni z twojego dyplomu.

- Dziękuję.

- Jaka szkoda, że Travis nie mógł z nami spędzić świąt - dodała Marcie ze współczuciem. - Chyba popsuliśmy wam plany.

- Nieważne. My...

Jeśli miałaby komuś powiedzieć o zerwanych zaręczynach, to właśnie tym dwojgu. Marcie była szczególnie wrażliwa na przeżycia bliźnich, a Chase miał poważniejszy stosunek do życia niż Lucky, który koniecznie chciałby zaraz wiedzieć, „dlaczego ten skurwysyn śmiał rzucić jego siostrę”, albo zająłby jej dokuczając.

Ale Sage nie potrafiła się jeszcze przyznać do porażki. Przecież oni również przekażą jej wyrazy ubolewania i żalu, które będą tak samo trudne do zniesienia jak słowa Trávisa. By oszczędzić wszystkim niezręcznej sytuacji, postanowiła podtrzymać mit o narzeczeństwie.

- Tyle razy zmienialiśmy już plany; co za różnica - jedna zmiana więcej...

- Hej, Chase! - Do drzwi zapukał Lucky. - Czy zdołasz się oderwać od swojej żony i dziecka, żeby obejrzeć, jak Kowboje dają w tyłek Czerwonym?

Chase spojrział pytająco na Marcie, która wybuchnęła śmiechem.

- Przecież nie powiem ci, żebyś został.

- Ale mógłbym to obejrzeć z tobą.

- Nie. Rozerwij się. Czuję się świetnie, gdy skończę karmić, zostanę tu i trochę odpocznę.

- Wszystko w porządku?

- Jasne.

Przykucnął i pocałował ją w usta. Marcie odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi, potem spojrzała na synka. Mały przestał właśnie ssać. Matka wysunęła pierś z jego usteczek.

Sage wyciągnęła ręce.

- Czy pozwolisz mi go potrzymać?

- Jasne.

Sage nauczyła się obchodzić z niemowłkiem, gdy przyszła na świat Lauren, więc podniosła chłopczyka bardzo ostrożnie.

Marcie przyglądając się jej rzekła:

- Przynajmniej będziesz miała jakieś doświadczenie, zanim urodzisz własne. A to pewnie nastąpi niedługo.

Sage pokręciła gwałtownie głową.

- Oj, chyba nie.

- Nie rozmawialiście z Travisem o dzieciach?

- Pewnie, że tak, ale odłożymy to przynajmniej na pięć lat.

- Wiesz tak dokładnie?

Sage przytaknęła. Marcie zaśmiała się cichutko, poprawiając się na poduszkach.

- Czasem bywa inaczej.

- Chase mówił, że zaszłaś w ciążę w noc poślubną.

- To prawda, choć myśleliśmy, że jesteśmy bezpieczni. Dzięki Bogu, stało się, jak się stało - rzekła, patrząc ze wzruszeniem na synka.

Sage pochyliła głowę nad śpiącym w jej ramionach noworodkiem i przytuliła policzek do małej ciepłej główki.

- Dzięki Bogu. To prawdziwy aniołek.

Po chwili zwróciła dziecko matce. Marcie zdawał zadowolony fakt, że po prostu leży i może obserwować Jamiego we śnie. Była absolutnie spokojna i szczęśliwa. Karierę zawodową zastąpiła świadomością, że kocha i jest kochana.

- Co z twoją pracą? - zagadnęła Sage.

- Będę korzystać ze zwolnienia, przynajmniej do czasu, kiedy odstawię Jamiego od piersi i przejdę na karmienie butelką. Mam dwóch agentów, którzy handlują teraz za mnie. Esma sprawnie prowadzi biuro. Czyli wszystko gra.

Sage poczuła ukłucie zazdrości. Wcześniej to samo przeżyła w związku z Devon.

Nie była wiele młodsza od swych bratowych, a tak mało osiągnęła. Nie zrobiła kariery ani też gorliwie do tego nie dążyła. Los nie powierzył jej także opieki nad dzieckiem. Nie miała również mężczyzny, który by ją czcił, adorował i widział w niej partnerkę na całe życie.

Nagle poczuła, że pokój staje się za ciasny. Zaczęła się w nim dusić jak we własnym poczuciu bezsensu.

- Chyba wypróbuję moją nową szpicrutę. - Nie siląc się na dokładniejsze wyjaśnienia, wybiegła z pokoju.

Nie musiała się przebierać, bo już rano założyła skórzane spodnie. Wyszła z domu tylnymi drzwiami i po paru minutach siedząc w siodle galopowała po pastwisku.

Dzień był przepiękny, a błękit nieba tak przejrzysty, że oczy bolały od patrzenia. Słońce grzało, ale zimny wiatr rozwiewał włosy i wyciskał łzy z oczu. Przynajmniej tak sobie tłumaczyła obecność słonych kropli na twarzy.

Do czego sprowadzało się jej życie? Do niczego. Dokąd zmierzała? Donikąd.

Gdy zaczęła spotykać się z Travisem, małżeństwo z nim wydawało się wspaniałym pomysłem na życie. Teraz musiała przyznać, że to on miał rację: wmówiła sobie tę miłość. W związku tym nie ryzykowała niczego: była bezpieczna, bo nie kochała go na tyle, by mógł ją zranić. Nie czuła się więc zraniona; bolało samo odrzucenie, chociaż nie czuła się emocjonalnie związana z Travisem.

No, właśnie. Wreszcie to przyznała. Bardziej kochała ideał, jaki sobie stworzyła w myśli, niż tego nieszczęsnego Belchera. A więc utrata tego człowieka znaczyła niewiele. Co jednak dalej? Co ją czeka zamiast małżeństwa z Travisem? To właśnie boli. Nad tym płacze. Co począć z całą resztą życia?

Gdyby powiedziała rodzinie, czego naprawdę pragnie - zdumieliby się. Popukaliby się w czoło i orzekli, że to śmie-

zne. Nikt nie potraktowałby słów „smarkatej” poważnie. Jak zawsze.

Koń dawno się zmęczył, a ona nadal nie wiedziała, co robić. Zdecydowała jedynie, że na razie jej najskrytsze ambicje pozostaną tajemnicą. Nie zniosłaby kolejnego bolesnego rozczarowania.

Odprowadziła wałacha do stajni, wyszczotkowała go i podała kubeł owsa. Gdy wychodziła z boksu, kątem oka dostrzegła przy drzwiach Harlana.

- Czego chcesz? - zapytała ze złością. Miała nadzieję, że tusz nie rozmazał się jej po policzkach.

- Wyszedłem na świeże powietrze, rozprostować trochę nogi.

- Myślałam, że oglądasz mecz.

- Jest przerwa.

- Kto wygrywa?

- Czerwoni.

- Zuchy.

- Nie jesteś w specjalnie dobrym nastroju. A już myślałem, że telefon od Gorącoustego postawi cię na nogi.

- Postawił.

- Czy ten gość błagał o twoją rękę?

- Czynił pewne zabiegi w tym kierunku - rzekła cicho. - Mówiłam ci, że on w końcu oprzytomnieje - kłamała bezczelnie. - Każdy pan młody dostaje przedmałżeńskiej tremy i próbuje dać drapak.

- Chyba nie każdy.

- Byłeś kiedykolwiek w takiej sytuacji? - zapytała czupurnie, opierając ręce na biodrach.

- Nie.

- To skąd, do diabła, wiesz, jak można się wtedy zachowywać?

Gwizdnął przeciągle.

- Przeklinamy, co? Trzeba wreszcie coś zrobić, żebyś miała pogodne święta...

- Nastrój świąteczny minął bezpowrotnie, gdy otworzyłam twój głupi prezent.

Uśmiechnął się.

- Nie podobał ci się? Kiedy go zobaczyłem, miałem wrażenie, że woła do mnie: „Kup mnie dla Sage! Kup mnie dla Sage!”

- Lepiej było zaoszczędzić te pieniądze na coś rozsądniejszego.

- Wiesz, naprawdę czuję się odpowiedzialny za twój zły nastrój. - Popatrzył w górę. - Czy to może ci jakoś pomóc?

Dziewczyna powędrowała oczami za jego wzrokiem. Nad drzwiami zwisała gałązka jemioły.

- Kto to powiesił? Nie było tego wcześniej. - Popatrzyła na Harlana. - Sprytne.

- Nazwijmy to objawem dobrego serca. Pomyślałem, że będziesz tęsknić za Travisem. A ponieważ go tu nie ma i nie ma cię kto pocałować na gwiazdkę... - Wzniósł ramiona, jakby mówiąc: Jestem do usług".

- Mówisz poważnie?! - wykrzyknęła.

- Jak najbardziej.

- I myślisz, że będę się z tobą całować?

Wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów i spojrzął z ukosa.

- A czemu by nie? Przecież to nie byłoby pierwszy raz.

- Nie całowałam się z tobą!

- A ja pamiętam co innego...

- To ty mnie pocałowałeś.

- Ale było fajnie, co?

- Niezbyt.

Roześmiał się. Podszedł bliżej.

- No, chodź. Co ty na to?

- Nie!

- Jak to? - Przynął się tak blisko, że prawie się dotykali.

Patrzył na nią przeciągle spod zmrużonych powiek. - Boisz się, że ci się to spodoba jeszcze bardziej niż za pierwszym razem?

Prowokował ją w sposób oczywisty. Żadne z Tylerów,

a już zwłaszcza Sage, nie cofnęłyby się przed wyzwaniem. Dziewczyna zawsze stawiała do boju na równi ze swymi braćmi, bo inaczej nazwaliby ją płaksą albo kurczakiem. Harlan odgadł to i starał się wykorzystać tę świadomość.

Mimo wszystko Sage musiała przyjąć to skandaliczne wyzwanie. „I co z tego, do diabła?! Jeden pocałunek pod jemiołą? Wielka mi rzecz”.

Rzecz była istotnie wielka, bo... Harlan Boyd potrafił całować;

...bo gdyby zorganizowano w telewizji komisję ekspertów od pocałunków, to przewodniczyć jej powinien właśnie Harlan Boyd;

...bo Sage poczuła ten pocałunek w całym ciele, przeszył ją aż po czubki palców.

Mogła nadal blefować i pozwolić się całować, lecz tylko przelotnie. Pokazać, że nie onieśmiela jej jego tupet. Nie protestowała nawet, gdy ujął jej twarz w dłonie i unióś lekko. Nie czynił nic przypadkowo, ale ona sobie z nim poradzi! To przecież tylko mężczyzna. I tylko zwykły pocałunek.

Zanim się jednak zorientowała, uległa i rozchyliła wargi, by wpuścić jego język. „Wpuścić” było właściwym określeniem. Nie wciskał się przecież brutalnie ani nie rozsuwał na siłę ust, jak to nieraz czynili mniej utalentowani adoratorzy, którzy na próżno starali się ją rozgrzać.

Wsunął się w jej usta delikatnie. Leniwie pieszcząc ją, dokładnie smakował nowo poznawane rejony. To tylko reakcja Sage była gwałtowna. Harlan miał twarde, zdecydowane usta. Całował ją tak mocno jak potrzeba i ssał delikatnie. Zaskoczył ją wirtuozerią pocałunków, nie śmiała ich przerwać. Miałyby wrażenie, że ucina dłonie zręcznemu magikowi.

Harlan rzucał na nią jakiś czar. Jej brzuch jakby się unosił, podczas gdy inne partie ciała stały się ociężałe. Kręciło się jej w głowie, w skroniach pulsowało. Czuła mrowienie w piersiach, zwłaszcza w okolicach brodawek, i tępy, gorący ból między udami.

Nie odrywając się od jej ust, przesunął ręce na ramiona dziewczyny, potem na plecy i pośladki. Przycisnął ją mocniej.

Westchnęła, czując jego twardość. Tak jak wieczorem w kościele, osłabły jej kolana. Czuła, jakby miękły jej wszystkie kości. Oparła się o niego i przywarła ustami. Przesuwała dłońmi po jego koszuli i zaczęła gładzić włosy na torsie.

- Cholera, Sage - wyszeptał, oderwawszy od niej usta i zagładając głęboko w oczy.

Powieki ciążyły jej jak i reszta ciała. Z trudnością unosiła głowę. Wiedziała, że później będzie żałować, ale na razie czuła, że umrze, jeśli Harlan przestanie ją całować.

Najwidoczniej odczuwał coś podobnego, bo zaprowadził ją w głąb stajni, z dala od wejścia, gdzie mógłby ich ktoś zauważyć przez okno. Zatrzymali się dopiero przy najdalszym boksie.

Otoczył ją zapach stajni, zwierząt, siana, skórzanej uprząży i... Harlana - zdrowa, pociągająca mieszanka świeżego powietrza, słońca i dobrej męskiej wody kolońskiej.

Gdy ponownie się nad nią pochylił, nadstawiła twarz. Wsunął język w jej słodkie, zmysłowe usta, westchnął pożądliwie i wyprężył się ku jej miękkiemu ciału. Sage zanurzyła dłonie w jego włosach.

Gdy odsunęli się od siebie dla złapania tchu, byli rozognieni i zdyszani. Rozpierało ich pożądanie.

- Cholera - wymamrotał znowu Harlan i wtulił twarz w szyję dziewczyny.

Zaczął ją łapczywie całować, skubiąc delikatnie zębami skórę. A przecież niejednokrotnie odgrażała się, że zabije mężczyznę, który pozostawi na jej ciele jakieś ślady. Teraz przebiegała rękami po muskularnych plecach Harlana, odchylwszy głowę głęboko w tył, by miał łatwiejszy dostęp do szyi.

Początkowo zabawiał się jedynie w okolicy kołnierzyka. Potem odpiął górny guzik bluzki i pocałował dziewczynę. Westchnęła głośno, wygięła się ku niemu i przysunęła jak

najbliżej. Odpinał kolejne guziki, poządliwie całując nowo pojawiające się obszary ciała.

W końcu unióśł głowę i spojrzął na gwałtownie falujące piersi, które niemalże wypadły z koronkowych misek głębokoko wyciętego stanika. Pobudzone brodawki prześwitywały przez pajęczynową koronkę.

- Cholera, Sage - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Położył ręce na jej piersiach.

Zamknęła oczy i westchnęła.

- Tak...

Potarł stwardniałe sutki.

- Och tak - jęknęła, zatoczywszy się lekko.

Chłopak opuścił nagle ręce i znieruchomiał. Sage niechętnie otworzyła oczy i spojrzała na niego. Stał w odległości kilku kroków. Ręce, które przed chwilą ją pieściły, wsunął głęboko w kieszenie spodni, jakby im nie ufał. Przygryzł wargę i patrzył prosto na dziewczęcy biust. Tłamsił w zębach jakieś przekleństwo.

Sage jakby nagle zbudziła się z hipnotycznego transu.

Równie wściekła byłaby chyba tylko na hipnotyzera, gdyby odkryła, że skłonił ją do tańca nago przed dużą widownią. Dwoma wielkimi krokami przyskoczyła do Harlana i uderzyła go w twarz, najmocniej jak potrafiła.

Z konsternacją musiała przyznać w skrytości ducha, że bierze odwet nie za to, co zrobił, ale za to, czego nie zrobił.

Potarł policzek.

- No, prawie mi się udało... - orzekł.

- Wprost przeciwnie: nie miałaś nawet cienia szansy - odparła cicho drżącym z wściekłości głosem. - Naprawdę nie masz się czym chwalić. - Zaczęła niezdarnie zapinać bluzkę, ale po chwili zrezygnowała i owinęła się kurtką.

- Nie mówiłem o sobie, tylko o tobie - spokojnie zauważył Harlan.

Ta rozmowa nie miała sensu. Wściekłość nie pozwalała Sage sklecić spójnego zdania. Przygładziła wzburzone włosy.

- O czym ty właściwie mówisz? Nie obchodzi mnie to, ale...

- O twoich nieudanych próbach pozbycia się mnie.

Sage patrzyła na niego, idiotycznie mrugając oczami. Zde nerwowała go jej niepojętność. Zagryzł ze złością wargi.

- Sage, przecież to jasne...

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie urodziłem się wczoraj - warknął. Pochylił się ku niej. - Kobieta nie zamienia się z soplą lodu w uosobienie seksu w ciągu tak krótkiej chwili, jeśli nie ma powodu...

- Sople lodu? Uosobienie seksu? Powód? - Sage nie bardzo wiedziała, z którą obelgą rozprawić się najpierw.

- Ze zrozumiałych względów chcesz mnie usunąć ze swego życia. Wymyśliłaś więc, że mnie podpuścisz, a potem uciekniesz z krzykiem do swoich braci.

- Co takiego? - wydyszała.

- To, co słyszałaś. Myślałaś, że jak będę z tobą kręcił, a ty się poskarżysz, to mnie stąd wykopią. I chyba miałaś rację. Tylko że nic się nie stało. - Spojrzął na jej piersi. - Niewiele wprawdzie brakowało, ale w ostatniej chwili odzyskałem zdrowy rozsądek.

Odwrócił się i wolno ruszył w kierunku wyjścia.

Sage przez parę sekund wpatrywała się w jego plecy. Potem rzuciła się za nim, szarpnęła go za rękaw i odwróciła ku sobie.

- Nigdy w życiu nie oskarżono mnie o nic równie podłego i poniżającego... Za kogo ty mnie masz?

- Za kłamczuchę.

- Co to, to nie!

- Daruj sobie. Dlaczego nie powiedziałaś w domu o rozstaniu z twoim Casanovą?

- Bo nikt nie pytał.

- Przecież on cię porzucił. I dzwonił wcale nie po to, by się kajać i prosić o wybaczenie!

Sage poczuła się, jakby przed sądem uznano ją winną i skazano.

Harlan roześmiał się.

- No, dobrze, ukryłam to przed rodziną! - krzyknęła. - Ale nie kłamałam!

- Ale też nie powiedziałaś im prawdy, gdy padło imię Trvisa.

- A co cię to w ogóle obchodzi?!

- Chyba nic. A może inaczej: nie próbuj mną manipulować, jak wszystkimi dookoła, to nie będziesz mnie obchodziła.

- Wcale nie próbowałam!

Uniósł pytająco brwi.

- Naprawdę?

- Naprawdę! - oznajmiła buntowniczo.

- To czemu się ze mną całowałaś?

Otworzyła usta, by wygłosić ostrą ripostę, gdy wtem zrozumiała, że nie wie, co powiedzieć. Umilkła i odwróciła wzrok.

Harlan zbliżył się do niej i wycedził:

- Nie chcesz chyba dać mi do zrozumienia, że straciłaś dla mnie głowę? Myślałem, że udajesz całe to wzdychanie i podniecenie. A więc to było szczere? Te prośby, namietność, to twoje „tak... tak”? Mówiłaś serio?

- Zamknij się. Jesteś wstrętny!

- Wstrętny? - Roześmiał się. Zaczął powtarzać to słowo z lubością. Za każdym razem wyglądał na bardziej rozba-wionego. - No cóż... I dlatego przysssałaś się do mojego języka jak niemowlę do smoczka?

Jego pewność siebie była niezachwiana. A Sage po prostu na chwilę zabrakło rozsądku. To wszystko. Można to złożyć na konto ostatnich niepowodzeń, świątecznej atmosfery czy jakichś niewytłumaczalnych zaburzeń hormonalnych. W każdym razie uważała teraz, że przez chwilę nie była sobą.

Nie dość, że pozwoliła mu na tak wiele, to jeszcze - co gorsza - sama uwierzyła, że dobrze się bawi i prosiła o więcej. Jeżeli on to przejrzy, nie da jej żyć. Lepiej więc, by uważał ją za cyniczną intrygantkę.

Odgarnęła włosy i popatrzyła na niego spode łba.

- Warto było spróbować. Gdybyś posunął się nieco dalej, donosiłabym braciom. Właściwie i tak mogę to zrobić.

- Pewnie by ci nawet uwierzyli - przytaknęła, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. - Wyglądasz, jakby cię ktoś nieźle wytar mosił. Buzia nadęta, usta spierzchnięte, włosy w nieładzie, oczy nieprzytomne. Gdybyś teraz oświadczyła braciom, że cię nagabywałem, bez wątpienia spróbowałiby mnie zastrzelić...

Uśmiechnął się przebiegle i mrugnął kpiąco.

- Ale przecież nic nie powiesz. Bo wtedy musiałbym wyznać, że nie pozostałaś mi dłużna, całowałaś mnie i okazywałaś wzajemność. A ponieważ twoi bracia to prawi mężczyźni, rozumiejący przy tym siłę pożądania, z pewnością chcieliby wiedzieć, jak to możliwe, skoro jesteś zaręczona z kimś innym. No i wtedy wyszłaby na jaw sprawa z Go-racoustym...

Pokiwał głową i przyjrzał się uważnie dziewczynie.

- A to by im tylko popsuło święta. Nie obejrzeliby do końca meczu, Laurie popłakałaby się na myśl, z jakim to facetem zadaje się jej mała córeczka. Marcie ze zdenerwowania straciłaby pokarm, a Jamie pochorowałaby się...

- Jesteś kanalia! - wycedziła z pogardą, wkładając w to całą duszę i serce. Odepchnęła go i ruszyła do wyjścia.

- Hej! Sage?

Odwróciła się na pięcie.

- Co?

- Całowałaś się tak kiedyś ze swym maminsynkiem?

- Mowa! - prychnęła, przyjmując pozę cyniczki. - Dużo lepiej!

- No, to on jest po prostu przeklętym durniem. I dobrze, że się go pozbyłaś!

- O co ci chodzi, Marcie? Nie możesz spać?

Chase zapalił lampkę na szafce nocnej. Jego żona leżała wpatrzona w sufit. Masowała sobie brzuch. Chase prze-rzcił się.

- Coś jest nie tak?
- Nie. - Uśmiechnęła się, widząc jego zafrasowanie.
- Za dużo dziś chodziłaś. Powinniśmy byli wrócić ze szpitala prosto do domu. A w ogóle to lekarz chyba za wcześniej uznał, że możesz wyjść ze szpitala. Pewnie chciał mieć w święta spokój...
- Przestań już. Wszystko w porządku. Po prostu jeszcze nie przywykłam, że mam taki płaski brzuch. I dobrze mi z tym. Cieszę się, że mały jest tam, gdzie jest, a nie we mnie... - Zerknęła w kierunku stojącej po przeciwnej stronie pokoju plecionej kołyski, w której spał synek.
- Ale przecież to nie powód, żeby marnować noc. - Chase przypatrywał się żonie, wsparty na łokciu.
- Zaraz pora karmienia. Matki już mają taki szósty zmysł.
- Aha. - Przez chwilę rozważał zagadkowy uśmiech Marcie. - Ale tobie chodzi o coś innego. - Wziął ją za rękę i całował w końce palców. - No?
- Sage...
- Zdziwił się.
- Co'Sage?
- A bo ja wiem... Właśnie dlatego się zastanawiam. Widziałam dzisiaj, że coś nie gra, ale nie potrafię odgadnąć, o co chodzi.
- Jest rozgoryczona, bo Travis nie spędza z nią świąt.
- Może - przyznała bez przekonania.
- Myślisz, że to coś więcej?
- Chyba ma jakieś kłopoty. Jest taka niespokojna.
- Zawsze jest taka.
- Ale dziś bardziej. Ani razu nie uśmiechnęła się naprawdę wesoło.
- Zamyślił się.
- Może jest jeszcze ciągle zestresowana po egzaminach?
- Może, ale ciągle mam wrażenie, że to coś poważniejszego.
- Nie domyślasz się, o co to może chodzić?
- Hmm... Pamiętam, jak się czułam tuż po skończeniu

studiów. Nagle dotarło do mnie, że jestem całkiem dorosła. Przeraziłam się. To było tak, jakbym musiała za chwilę skoczyć w głęboką wodę.

Zaśmiał się.

- Trudno porównywać cię z Sage. Ta dziewczyna to lekko kochuch.

- Tak? - odparła cierpko, puszczając jego dłoń. - A czy kiedykolwiek rozmawiałeś z nią poważnie, zwróciłeś uwagę, co mówi, wysłuchałeś jej zdania na zasadzie partnerskiej?

- Marcie... ja...

- Nie, po prostu nigdy tego nie zrobiłeś. - Marcie sama odpowiedziała na swe pytanie. - Traktujecie ją z Luckym, jakby ciągle była małą siostrzyczką. A przecież to dorosła, wykształcona kobieta.

- Mam nadzieję, bo jej edukacja sporo kosztowała.

- No właśnie. - Marcie podniosła się. - Za każdym razem, gdy się o tym mówi, wypływa kwestia pieniędzy. A czy powiedzieliście jej na przykład, że jesteście z niej dumni?

- No pewnie! Choćby dzisiaj. Przecież byłaś przy tym.

- Widać było, że zmuszasz się do tych słów. Wasze wykształcenie kosztowało tyle samo. Obawiasz się, że skoro ona jest kobietą, to się wam te pieniądze nie zwrócą?

- No, raczej nie ma na co liczyć. Zwłaszcza jeśli wyjdzie za tego głupka Belchera.

- A więc uważasz, że Sage nie jest nawet w stanie wybrać sobie odpowiedniego partnera?

- Tego nie powiedziałem.

- Wystarczy, że dałeś to do zrozumienia. Co gorsza, pozwoliliście jej odczuć, co myślicie o tym chłopaku. Czy naprawdę nie rozumiesz, że ją to rani?

- Nic nie jest w stanie zranić Sage.

- Ależ to bzdura!

Chase przecesał nerwowo włosy i westchnął.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że w środku nocy kłócimy się o moją siostrę.

- Wcale się nie kłócimy. Po prostu staram się uświadomić

ci parę spraw, które umknęły twojej uwagi. - Przerwała. Ruchem głowy Chase ponaglił ją do kontynuowania wypowiedzi. Podjęła więc temat: - Ona już nie jest dzieckiem. To dorosły człowiek, pod każdym względem dorównujący Lucky'emu i tobie.

- Marcie, nie jestem przecież jaskiniowcem; popieram równouprawnienie.

Mówiła dalej, nie zwracając uwagi na jego słowa.

- Jest wyjątkowo inteligentna i wrażliwa. - Mąż uniósł sceptycznie brwi. - Tak, Chase. Nie okazuje jednak tego w obawie, że braciszkiwie ją wyśmieją. I ma rację.

- Och, drażnimy się z nią, ale już dawno przyjęliśmy do wiadomości, że dorosła.

- Ale nadal nie bierzecie pod uwagę jej słów tak samo jak wtedy, gdy była dzieckiem i chodziła za wami jak cień. - Chase w duchu musiał przyznać Marcie rację. - I ona czuje się pomijana. Lucky, Devon i Lauren to jedność, tak samo jak ty, Jamie i ja. Laurie z kolei zajmuje się Patem i wnuczętami. Czy rozumiesz już, że Sage może czuć się odrzucona?

- Chyba tak.

Marcie pogładziła Chase'a po policzku.

- Traktuj ją z większym zrozumieniem i poważniej.

Skinął głową.

- Obiecuję.

- Dziękuję, kochanie. Sage z pewnością to doceni.

- Wracając do mamy i Pata, jak myślisz, kiedy przestaną się wygłupiać? - Chase opowiedział Marcie, jak Pat całował matkę w dniu, kiedy urodziła się Lauren. Wiedział, że może powierzyć żonie ten sekret.

- Nie wiem, ale powinni szybko na coś się zdecydować. - Marcie objęła go za szyję. - Chcę, żeby wszyscy na świecie się kochali i rozumieli, jak bardzo jestem szczęśliwa, gdy na ciebie patrzę.

Przytulił ją i całował z zapamiętaniem.

- Jak długo?... - szepnął.

- Osiem tygodni. Co najmniej - odparła.

- Dwa długie, straszliwe miesiące.

Marcie sięgnęła pod kołdrę i zaczęła go pieścić.

- Wcale nie, a już na pewno nie dla ciebie.

Gdy go dotknęła, westchnął z rozkoszą.

- Gdyby każda świeżo upieczona mama była taka seksy, to mężczyźni bez przerwy zapładnialiby żony.

Właśnie ten moment wybrał Jamie, żeby się obudzić. Chase wyszedł jednak ochoczo z łóżka, narzucił szlafrok i zmienił synkowi pieluszkę. Potem wyjął go z kołyski i zaniósł do Marcie, która czekała już z rozpiętą koszulą.

Chase przypatrywał się czule płaczącemu maleństwu. Jamie schwycił pierś matki i zaczął ssać.

- Mały, żarłoczny diabeł - zaśmiał się Chase.

- Podobny do tatusia. - Marcie z uśmiechem zerkała na męża.

- Jeżeli się kocha, to rzeczywiście... - Na widok syna karmionego piersią wzruszenie Ścisnęło go za gardło. - Nigdy bym nie pomyślał, że można kochać tak, jak ja kocham ciebie, Marcie. Tylko ty mogłaś sprawić, że byłem zdolny do miłości po śmierci Tani.

Oczy Marcie się zamgliły.

- Połóż się koło mnie - wyszeptwała.

Zrzucił szlafrok i wsunął się z powrotem pod kołdrę. Marcie przytuliła jego głowę do swej drugiej piersi.

Jak co roku Sage ogarnęły poświęteczne smutki. Tym razem jednak naszyły ją wyjątkowo czarne myśli. Przez pierwsze dni po Bożym Narodzeniu wynajdywała sobie przeróżne zajęcia. Pomagała Laurie zdejmować i pakować ozdoby poświęteczne. Umieszczała je na strychu, gdzie miały czekać do następnego roku.

Razem z matką przygotowywała też posiłki dla Chase'a i Marcie, a także odbywała w jej towarzystwie liczne wyprawy do ich domu przy Woodpine Lane. Sage zaofiarowała się nawet, że może tam nocować, by pomagać przy Jamiem, ale z Houston przyjechali akurat rodzice Marcie. Mieli zostać

przez parę dni, więc bratowa taktownie podziękowała Sage za chęć niesienia pomocy.

Dziewczyna odwiedziła również nielicznych przyjaciół, którzy nadal mieszkali w Milton Point. Wizyty te okazały się jednak przynębiające. Dawnych znajomych pochłaniało życie zawodowe bądź rodzinne i Sage nie znajdowała już z nimi wspólnego języka.

Choć usilnie starała się unikać Harlana, zasiadał przecież co wieczór przy wspólnym stole. Poczwała ulgę, gdy zauważyła, że on również nie poświęca jej wiele uwagi. Większość czasu spędzał na dyskusjach zawodowych z Luckym. Laurie przychyliła się wreszcie do jego propozycji zwolnienia pokoju, lecz Sage odmówiła przeprowadzenia się tam. Stało się. Jej ukochane gniazdko było splugawione. Nie chciała już w nim mieszkać. Przeszto więc o tym mówić.

Sage zręcznie wymigiwała się od rozmów na temat Trávisa i planów małżeńskich. Pewnego wieczoru, gdy przyszedł Pat, dziewczyna usłyszała, jak szeryf i matka zastanawiają się, czy Sage posprzeczała się z Travisem.

- Z tego, co wiem, dzwonił do niej dopiero drugiego dnia świąt, a i wtedy rozmawiali krótko - mówiła Laurie. - Musieli się pokłócić. Bo jakże inaczej można o tym myśleć?

Sage wyobrażała sobie, że Pat gryzie w zadumie zapałkę.

- Nie mam pojęcia. Czasem trudno trafić za chłopcami, a co dopiero za dziewczyną...

Ponieważ Sage nie rozmawiała z rodziną na temat swych planów, ciekawość najbliższych rosła z dnia na dzień. Nikt wprawdzie nie pytał o nic wprost, ale czuła na sobie zaniepokojone spojrzenia.

Czas mijał. Należało wreszcie powiadomić rodzinę, że nie wyjdzie za Trávisa. Ale jak miała to uczynić, zachowując twarz? Na razie mogła jedynie uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż stanie się coś, co rozwiąże ten problem bez jej udziału.

I rzeczywiście tak się stało, choć nie przewidziała takiego obrotu sprawy.

Pewnego ranka, gdy się ubierała, ktoś delikatnie zapukał do drzwi sypialni. Okryła się szlafrokiem i uchyliła drzwi.

- Czego chcesz?

Harlana nie zniechęciło jej niegrzeczne odezwanie. Podsunął jej wycinek z gazety.

- Znalazłem to w kolumnie towarzyskiej porannego wydania gazety z Houston. Wyciąłem, zanim ktokolwiek z rodziny mógł zobaczyć.

Zaskoczona, przebiegła wzrokiem nagłówek: NOWORO-CZNA GALA DLA UCZCZENIA ZARĘCZYN. Podtytuł wyjaśniał: „Zakochani w sobie od najmłodszych lat, zamierzają się pobrać”.

Poniżej zamieszczono fotografię doktora Belchera z małżonką, w towarzystwie Trávisa i jego nowej narzeczonej.

- ...i kiedy wszedłem do pokoju, żeby sprawdzić, co się dzieje, z podniesioną głową przyglądał się tym wszystkim zabawkom porozkładanym na kocu.

Lucky spojrział sceptycznie na Harlana, który wzruszył tylko niepewnie ramionami.

- Przysięgam, że nie zmyślam - dodał Chase, podchwytnijąc te spojrzenia. - On naprawdę miał podniesioną główkę. Ale to jeszcze nic. Posłuchajcie...

- Ile to potrwa? - spytał Lucky. Siedział z nogami opartymi o blat biurka, na krześle odchylonym do tyłu.

- Czemu pytasz?

- Bo od piętnastu minut bez przerwy opowiadasz o Jamie. To wspaniały dzieciak, ale daj nam chwilę wytchnienia. OK?

- A pamiętasz, jak się urodziła Lauren? Musiałem siedzieć i wysłuchiwać opowieści o każdym jej ruchu. Po jakimś czasie to się staje nudne.

Lucky wyprostował się na krześle.

- Wyjąłeś mi to z ust - oznajmił.

Chase uspokoił go ruchem dłoni.

- Ale przecież słuchałem.

- Taaak... - jęknął Lucky, ponownie szukając ratunku u Harlana. Ten również odchylił się na krześle, które oparł jednak przezornie o ścianę.

Atmosfera w biurze firmy Spółka Wiertnicza Tylera zwykle była swobodna, co odpowiadało Harlanowi. Bawiły go też nieustanne utarczki słowne braci, którzy bez wątpienia skoczyliby jeden za drugiego w ogień.

Harlan starał się nie dopuścić do sprzeczki.

- Lucky, on ma kompletnego bzika na punkcie tego dzieciaka...

Chase, jakby zachęcony tym stwierdzeniem, mówił dalej:

- Jamie jest bardzo... męski.

- To przecież tylko niemowlę! - wykrzyknął z niedowierzaniem Lucky.

- Wiem, ale już teraz można przewidzieć, że w przyszłości uszczęśliwi niejedną kobietę. - Chase uśmiechnął się przebiegle. - Po prostu przypomina swego staruszka.

- Chyba masz na myśli wujka Lucky'ego? - Młodszy z Tylerów mrugnął do Harlana, który zachichotał.

- A idź do diabła! - skwitował słowa brata Chase. - Dzieciak jest sprytny i tyle. Mówiłem wam, jak...

- Tak! - wrzasnął Lucky.

Chase zgromił go spojrzeniem, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, do biura spółki weszła Sage. Harlan wstrzymał oddech. Jak zwykle na jej widok poczuł ucisk w żołądku.

Od paru dni starał się trzymać od niej z daleka. Od czasu spotkania w stajni miał zamiar unikać kłopotów.

Oczywiście tego ranka złamał postanowienie i zapukał do jej sypialni. Otworzyła okryta szlafrokiem. Widział tylko nagie ramiona i satynowe ramiączka stanika. Wyobraźnia podsunęła mu resztę. Sage nie dokończyła makijażu i miała mokre włosy, wyglądała jednak fantastycznie.

Gdy weszła teraz do biura, prezentowała się jeszcze lepiej. Uśmiechała się w nieco wymuszony sposób, ale biorąc pod uwagę to, czego dowiedziała się rano, Harlan musiał przyznać, że wspaniale się trzyma. Właściwie nie zaskoczyło go to. Widział przecież, jak szybko odzyskała zimną krew po pierwszym ciosie. Podziwiał ją za to.

Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Potem ona odwróciła wzrok. Nie miał jej tego za złe. Czuła się zmieszana, wiedząc, że Harlan zna prawdę. Zresztą zupełnie nie-

potrzebnie. To przecież nie ona, lecz Travis Belcher okazał się idiotą.

- Hej, Sage! - ucieszył się na jej widok Chase. - Czy zdążyłem ci już powiedzieć, że Jamie...

- Owszem - przerwała stanowczo. - Nawet dwa razy.

- Skąd wiesz, co chciałem powiedzieć?

- I tak to już słyszałam. Może zacząłbyś od „dzień dobry”?

- Jasne. Cześć. Może kawy?

- Nie, dziękuję. Właśnie skończyłam śniadanie.

- Co cię sprowadza, mała? - zagadnął Lucky, ale pytanie było czysto retoryczne, bo zanim dziewczyna zdołała odpowiedzieć, brat zatopił nos w porannej prasie.

Sage podeszła bliżej i wyrwała mu gazetę z rąk. Sprytna dziewczyna, pomyślał Harlan. Lucky nie przejrzał jeszcze rubryki towarzyskiej. Choć pewnie i tak by jej nie czytał. Harlan natknął się na artykuł o Belcherze przez zupełny przypadek.

- Chcę porozmawiać.

- Ze mną? - zdziwił się Lucky.

- Z wami obydwoma.

Wbiła wzrok w Harlana. Władczym spojrzeniem pokrywała swą niepewność.

Krzesło Boyda stuknęło o podłogę, a on sam podniósł się.

- Mam jeszcze coś do zrobienia w garażu. Zajrzę później - oświadczył.

Narzucił kurtkę i sunął głęboko na oczy swój kowbojski kapelusz. Napotkawszy wzrok Sage, zasalutował, otworzył drzwi i wyszedł. Zaczął się zastanawiać, o czym chciała rozmawiać z braćmi. Cokolwiek to miało być, czuł, że napawa ją to lękiem.

Harlan opuścił biuro, nie dając po sobie znać, że widział się już z Sage tego ranka. Wręczywszy jej wycinek z gazety, wycofał się taktownie z sypialni.

Ostatnią rzeczą, jakiej dziewczyna oczekiwała od niego,

była litość. Wolała już prześmiewki i naigravanje niż pełne współczucia milczenie. A on zachował się, jakby ktoś umarł. Ale na szczęście Sage miała teraz większe zmartwienie i nie musiała rozważać, co myśli o niej Harlan.

Przez godzinę intensywnie zastanawiała się, co zrobi. Czy wrócić do Austin i tam szukać pracy? Zostać w Milton Point i czekać na zbawienie? Czy może wybrać najtrudniejsze rozwiązanie: opanować sytuację i starać się ją polepszyć?

Gdy tylko zebrała myśli, ubrała się pospiesznie i wyszła z domu. Kiedy wszyscy dowiedzą się o zaręczynach Trávisa z inną kobietą, Sage Tyler nie będzie siedziała w ciemnym kącie liżąc rany. Będzie już zajęta czymś innym.

Gdy tylko za Harlanem zamknęły się drzwi, Lucky zapytał:

- O co chodzi?

Sage uznała za stosowne nie owijać niczego w bawełnę.

- Chcę zrobić karierę.

Bracia ze zdumieniem popatrzyli na siebie, a potem na siostrę.

- Karierę? - powtórzył Chase.

- Chyba mówię wyraźnie?

- Robisz przecież karierę - odparł Lucky. - Wkrótce wyjdiesz za męża.

- Małżeństwo to nie kariera!

- Bycie żoną Trávisa Belchera to najbardziej odpowiedzialne zajęcie, jakie można sobie wyobrazić!

- Lucky... - Chase westchnął z rezygnacją.

Sage przytrzymała się oparcia najbliższej stojącego krzesła. Starła się pohamować gniew. Sprzeczka z Luckym nie miała sensu. Zamierzała przecież bronić swej sprawy w sposób przekonujący. Jeśli da się sprowokować, zachowa się nie-dojrzałe i nic nie osiągnie.

- Nie wiem, kiedy wyjdę za męża - odrzekła, unikając bezczelnego kłamstwa, a jednocześnie nie mijając się z prawdą. - A na razie potrzebuję pracy. Chcę się zająć czymś interesującym i zarobić na swe utrzymanie.

- W Houston na pewno znajdzie się mnóstwo roboty. -

Twarz Lucky'ego opromienił czarujący uśmiech, który zdobył mu ogromną popularność wśród kobiet. - A może zamierzasz pozostać w Austin do czasu, gdy zwiąiesz się z Travisem?

- Postanowiłam przez jakiś czas zostać w Milton Point. To znaczy, jeśli nie uznacie tego z Devon za natręstwo...

- Na Boga, nie! Przecież to jest również twój dom, Sage. Jak możesz uważać, że ktoś uznałby cię za natręta?

- Lucky! - wtrącił Chase. - Wysłuchajmy jej do końca, dobra? A potem diskutujmy.

- Właśnie to robimy.

Chase, ignorując brata, przyjrzał się Sage swymi przenikliwymi, szarymi oczami.

- Czy chcesz, żebyśmy w czymś pośredniczyli? Przetarli ci szlaki? Pogadali z ewentualnym pracodawcą? Napisali referencje? Sage, z przyjemnością! No nie, Lucky? Podaj nam adres, zrobimy, co się da. Gdzie zamierzasz pracować?

Nadal nic nie rozumieli! Była wciąż małą siostrzyczką nie nadającą się do niczego, chyba że do żartów. Przytłaczała ją świadomość, że braciom nigdy nie przyszłoby do głowy to, co zamierza zaproponować.

Nie mogła jednak teraz rozpatrywać swych żalów. Zwłaszcza że chodziło o znacznie więcej niż zranione uczucie.

Wyprostowała się i dumnie oświadczyła:

- Tutaj. Chcę pracować dla spółki Tylera.

Wprawiła ich w kompletne osłupienie. Chase pierwszy odzyskał rezon.

- Tutaj? Hej, Sage, to... to cudownie się składa.

- Coś ty!... - Lucky umilkł zgromiony ostrzegawczym spojrzeniem Chase'a. - No... właściwie... to wspomniały pomysły.

Oddechnęła z ulgą i uśmiechnęła się serdecznie.

- Naprawdę? Tak uważacie?

- Jasne - wycedził Lucky. - Czemu nie? Zawsze jest coś do roboty. Nie nadążamy na przykład z księgowaniem. Nawet

w tych ciężkich czasach to dla nas najgorsza zaraza. A poza tym, jak sama widzisz, kiepskie z nas sprzątaczkii...

Sage wszystko zawirowało przed oczami. Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w kierunku drzwi. Chase zerwał się i złapał ją za rękę.

- Puść mnie! - Zaczęła się wrywać.

- Nie puszczę, a jak mnie ugryziesz tak, jak miałaś to w zwyczaju, kiedy byłaś mała, uduszę cię bez litości. No już, uspokój się. - Odwrócił się do Lucky'ego. - A ty, jak następnym razem poczujesz chęć otwarcia jadaczki, zrób mi tę przysługę i zaciśnij zęby.

Lucky rozłożył ręce w geście bezradności.

- A co ja?... Co ja powiedziałem?

Sage zdołała się wyswobodzić z ramion Chase'a. Już nie zamierzała wychodzić. Zapomniała też, że ma się kontrolować, i skoczyła w kierunku braci jak rozjuszona lwica. Już ona pokaże im pazury! Była usprawiedliwiona - szło tu o jej życie.

- Nie chodzi mi o posadę urzędniczki ani panienki do parzenia kawy! - wykrzyknęła. - Jeśli już o tym mowa, mam takie same kwalifikacje do prowadzenia biznesu jak każdy z was. Może brak mi praktyki, ale wykształceniem was przewyższam. Od dzieciństwa słucham dyskusji o przemyśle naftowym. Przyswoiłam sobie ogrom wiadomości. Wiem, że ta firma się rozpada. Nie winię żadnego z was, ale z pewnością nie zaszkodzi tu nowy pracownik. To znaczy członek rodziny - dodała, by bracia nie pomyśleli, że chodzi o Harlana. - Nikomu nie przyszło do głowy, że mogę wnieść jakieś pomysły. A jeśli nawet nie, to przysługuje mi takie same prawo do firmy jak i wam! Jedyne, co nas różni, to to, że zamiast jaj mam jajniki. Gdybym urodziła się chłopakiem, oczekiwalibyście, że zaraz po studiach zajmę się na równi z wami firmą.

A zanim uznacie mnie za agresywną feministkę - mówią dalej - pozwólcie, że coś wyjaśnię. Uwielbiam być kobietą. Za żadne skarby nie chciałabym zmienić płci. Ale jeśli chodzi

o karierę zawodową, pragnę być traktowana sprawiedliwie. Tak jak wasze żony w ich dziedzinach. A chyba żaden z was nie kwestionuje kobiecości swej małżonki?

Chcę, żebyście zaczęli uważać mnie za inteligentnego, dorosłego człowieka, a nie dzieciaka raczkującego w kojcu, którego możecie w wolnych chwilach dręczyć. Jestem dość bystra. Dojrzałam jakiś czas temu, czego jednak w porę nie dostrzeżliście. Zróbcie to teraz. Nie życzę sobie, żeby klepano mnie po ramieniu, usuwano na bok i traktowano jak przygłupa. Nie dam się dłużej pomijać! - zakończyła.

Zaległa cisza. Piersi Sage falowały oburzeniem, a złotopiwne oczy błyszczały złością.

W końcu odezwał się Lucky:

- Fiu! Masz gadane, Sage.
- Dziękuję.
- Czy Devon udzielała ci korepetycji?
- Nie, sama na to wpadłam.

Włączył się i Chase:

- Sage, nie wykluczyliśmy cię z rodzinnego biznesu. Gdy tylko podrosłaś, wysłano cię do szkoły. Przypuszczaliśmy, że po wyjściu za mąż nie będziesz pracować, a już z pewnością nie tu, w Milton Point. - Zmarszczył brwi. - Zakładam, że przedyskutowałaś ten pomysł z Travisem. Co on o tym sądzi?

- To bez znaczenia. Nigdy nie byłam ani nie będę jego własnością. - Rzadko zdarzało się jej mówić z taką szczerością. - Do czasu wyjścia za mąż chcę firmie dać coś z siebie.

- A co właściwie chciałaś robić?

Popatrzyła na braci z napięciem, a potem spuściła wzrok. To był słaby punkt jej propozycji.

- Sama nie wiem. Wiem jednak, że od dawna próbujecie lokować pieniądze w rozmaitych przedsiębiorstwach. Może przydałoby się tu nowe spojrzenie? Może potrzeba nowej klienteli? Stali odbiorcy wypadli z obiegu. Myślę, że gdybym

miała dostęp do danych, udałoby mi się stworzyć coś, co przyciągnęłoby nowych klientów.

- Nie moglibyśmy ci dużo płacić - rzekł ponuro Lucky.

- W ogóle nie musicie mi płacić. - Popatrzyli na nią zdziwieni. Dodała więc pospiesznie: - Dacie mi prowizję. Jak coś załatwię, dostanę uzgodniony procent od zysku.

- Z czego będziesz żyła?

- Oszczędziłam trochę pieniędzy z tego, co daliście mi na ostatni semestr. Poza tym, jeśli będę mieszkała w domu, nie będę wiele potrzebować. Tylko na benzynę. Przyzwyczaiłam się radzić sobie z tymi ubraniami, które mam.

Chase był wyraźnie strapiiony.

- Tak mi przykro, Sage. Istotnie, nie rozpieszczaliśmy cię w ciągu ostatnich lat pod względem finansowym, a ty byłaś bardzo wyrozumiała.

- Nigdy o wiele nie prosiłaś. Doceniamy to - dodał Lucky.

Ogarnęło ją wzruszenie. Podeszła do braci i przytuliła ich czule.

- Przecież ten kryzys dotyczy nas wszystkich. I odtąd chcę robić to, co potrafię, by wam pomóc. To co, załatwione?

- Jeśli o mnie chodzi, tak - odparł Lucky.

Chase spojrział uważnie.

- OK. Załatwione. Ale nie dziękuj nam jeszcze. Może się okazać, że utoniemy wszyscy.

Rzuciła mu się na szyję. Potem przytuliła się do Lucky'ego.

- Nie zawiodę was, przysięgam. Dziękuję, że daliście mi szansę.

- Nie musisz nam niczego udowadniać, Sage - zastrzegł Chase.

- Może i nie. Ale muszę to i owo udowodnić sobie.

- Wiesz, Chase - oznajmił nagle Lucky. - Ona potrafiłaby chyba lepiej niż my sprzedać pomysł Harlana.

- Harlana?... - wyszeptła Sage. Jej zapał zgasł na dźwięk tego imienia. W podnieceniu zupełnie zapomniała o Harlanie. - A jaki on ma pomysł?

Chase wziął ją pod rękę i poprowadził do drzwi.

- Pokażemy ci.

Nie opodal biura znajdował się garaż: wielki, przestronny budynek. Przed paroma laty spłonął doszczętnie, a o podłożenie ognia oskarżono Lucky'ego. Dopiero Devon Haines, z którą młodszy Tyler spędził krytyczną noc, dostarczyła mu alibi. W więzieniu wyładowali Alvin Cagney i Jack Ed Patterson, którzy ciągle jeszcze odsiadywali wyrok.

Garaż odbudowano w pierwotnym miejscu, a sprzęt zniszczony wskutek pożaru zastąpiono nowym. Miejsce wyglądało teraz zupełnie inaczej, niż Sage zapamiętała z dzieciństwa i czasów świetności przedsiębiorstwa. W jej pamięci tkwił brud, błoto, huk maszyn, zapach ropy, robotnicy i ich pieprzny język.

Nie było to z pewnością najodpowiedniejsze miejsce dla młodej damy i dlatego, gdy dorastała, nie miała tu praktycznie wstępu. Zazdrościła braciom swobody i możliwości przychodzenia do garażu, znajomości z ludźmi, którzy pracowali dla ojca. Wielokrotnie pragnęła zobaczyć tereny wiertnicze i choć raz uczestniczyć w uroczystym otwarciu szybu.

Gdy Chase wjechał teraz furgonetką do pomieszczenia, dziewczyna ze smutkiem zauważyła zmiany w garażu. Wokół było czysto, a maszyny stały ciche i przykurzone. Nie kręcili się już robotnicy ocierający twarze kolorowymi chustami, siarczyście klnący pogodę, wiecznego pecha i ciężką robotę. Nie rozbrzmiewały opowieści o dawnych czasach i polach naftowych wschodniego Teksasu.

Dziś pracował tu tylko jeden człowiek, pochylony nad deską kreślarską. Na dźwięk zbliżającej się furgonetki wyprostował się i wsunął za ucho żółty szkolny ołówek. Popatrzył pytająco na Sage, która szła ku niemu w towarzystwie braci.

- Ruszyłeś coś, Harlan?

- Niewiele. W żaden sposób nie da się obniżyć ceny.

- Na co? - zapytała dziewczyna.

Harlan odsunął się i wskazał ręką szkic. Patrzyła chwilę na projekt, ale nie mogła nic zrozumieć. Nie zwykła zdradzać braku wiedzy, ale teraz nie miała wyboru.

- Nie jest to zapewne surrealistyczna martwa natura przedstawiająca na przykład miskę z owocami?

Mężczyźni zaśmiali się.

- Wyjaśnij jej - poprosił Chase. - To przecież twój pomysł.

- No, więc tak - zaczął Boyd. - Odkryłem, że po wprowadzeniu pewnych przeróbek pompa tłocząca ropę mogłaby zostać przerobiona na pompę studzienną, na przykład wodną.

- Czasami do szybu wpompowuje się wodę...

- Bardzo dobrze. - Lucky klepnął siostrę po głowie, a potem, jakby przypomniawszy sobie wcześniejszą rozmowę, cofnął rękę. - Nie chciałem cię urazić.

- Nie ma sprawy - odrzekła odruchowo. Jej uwagę zaprzętną teraz Harlan. Jego pełne życia błękitne oczy potrafiły być nie tylko zuchwałe, ale zdradzały szerokie horyzonty umysłu. - Jakie zastosowanie miałeś na myśli?

Boyd zawahał się, ale Chase wyjaśnił:

- Sage należy teraz do pracowników firmy; możesz jej powiedzieć, nad czym pracujemy...

- Och, z pewnością potrafi dochować tajemnicy - zauważył Harlan. Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu. - Myślałem o nawadnianiu, Sage. Przy odrobinie pomysłowości i pewnej sumie pieniędzy... - Uśmiechnął się znacząco do braci. - ...Moglibyśmy przerobić sprzęt wiertniczy na system nawadniający.

Dziewczyna przetrawiała tę wiadomość przez chwilę.

- Ale dla kogo?

- No właśnie! Tu mogłabyś się włączyć, Sage - oznajmił Lucky. - Gdy zbudujemy prototyp, trzeba się będzie zająć marketingiem.

- Na przykład wśród farmerów... - Zamyśliła się.

- To byłby niezły początek.

- I hodowców cytrusów z doliny... - Jej umysł zaczął

pracować na szybkich obrotach, ale zanim popuściła wodze fantazji, uświadomiła sobie niecierpiący zwłoki problem. - Mówiliście coś o pieniądzach...

Chase westchnął.

- Harlan już prawie kończy prototyp, ale musimy go przystopować, bo nie mamy gotówki.

- Ale to przecież nonsens! - wykrzyknęła. - Zanim cokolwiek zdiagnozujemy, potrzebny jest prototyp!

- Mów do mnie jeszcze... - wymamrotał Lucky.

- Z pewnością udałoby się pożyczyć...

- Daj spokój. Żaden bank w Teksasie nie udzieli pożyczki firmie naftowej.

- A w innym stanie? - zapytała.

- Jak tylko usłyszysz teksaski akcent, od razu cię wyrzucą. Każdego Teksasńczyka poszukującego funduszy z góry traktują jak trędowatego - wyjaśnił.

- Przepadliśmy z kretelem - podsumował Chase.

- I nie ma w tym cienia przesady - dodał Harlan.

- Mamy za tym budynkiem całe kilometry rur gotowych do podłączenia - mówił dalej Chase. - I na razie tak musi zostać.

- Czego ci potrzeba? - zapytała Harlana.

- Komputera.

- Po co?

- Automatyczny pomiar czasu.

- Rozumiem. Bez tego nie da rady?

- Da, ale nie będzie to dzieło sztuki.

- A my chcemy stworzyć arcydzieło?...

- Zgadza się.

Przez chwilę w milczeniu rozważali swe przygnębiające położenie, po czym Lucky zerknął na zegarek.

- Muszę wracać do biura, Chase. Wiem, że to świąteczny tydzień, ale niektórzy uparcie pracują i muszę odebrać parę telefonów.

- Sage, zostań tu z Harlanem do kolacji - zaproponował Chase. - Wróćcie razem do domu. Niech ci wyjaśni, jak

to ma działać. Skoro masz się zajmować sprzedażą, musisz być zorientowana, jak ten wynalazek funkcjonuje, by odpowiadać na wszystkie pytania.

- No dobrze... - odparła niepewnie.

Wolałaby chyba, by łamano ją kołem, niż skazywano na długotrwałe towarzystwo Harlana. Nie mogła jednak kwestionować pierwszego polecenia służbowego, które dostała jako pracownica Spółki Wiertniczej Tylera.

Po odejściu braci Sage rozejrzała się po pomieszczeniu. Objęła się rękami, bo zaczęło jej się robić chłodno.

- Zimno ci? - zapytał Harlan.
- Trochę.
- Przysuń się bliżej grzejnika.

Na podłodze koło Boyda stał mały piecyk elektryczny. Sage wyciągnęła ku niemu zmarznięte ręce. Miała na sobie ciepły sweter, ale w budynku było chłodniej, niż przypuszczała.

- Chyba powinnam ci być wdzięczna, że nie powiedziałeś im o zaręczynach Trávisa.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Harlan sprawniał wrażenie, że czuje się nieco zawiedziony reakcją Sage.

- Nie masz za co być wdzięczna. Podaj mi linijkę.

Sięgnęła za siebie do kuwety z narzędziami kreślarskimi i wzięła wąską metalową linijkę. Harlan dorysował jeszcze jedną linię do swego wykresu.

Sage pochyliła się, by zobaczyć szkic z bliska, ale nadal widziała jedynie płataninę linii i łuków.

- Jakim cudem się w tym orientujesz?
- Mam dyplom inżyniera Politechniki Teksaskiej A&M. Napisano tam, że...

- Masz dyplom szkoły wyższej?!

Jej niedowierzanie wcale go nie obraziło. Roześmiał się i spojrział przekornie.

- Jeśli się płaci chesne i zdaje wymagane egzaminy, dają dyplom każdemu.
- Przepraszam, jeśli to zabrzmiało niegrzecznie... Po pro-

stu się zdziwiłam, to wszystko. Gdzie kończyłeś szkołę średnią?

- Nigdzie. - Wymazał fragment linii i narysował go jeszcze raz po dokładnym wymierzeniu. - Ukończyłem kurs korespondencyjny.

- Ale czemu, na litość boską?

- Pracowałem w rafinerii. Tylko w ten sposób mogłem jednocześnie uczyć się i zarabiać na życie.

- Pracowałeś w pełnym wymiarze godzin już w liceum?
- Zgadza się.
- Sam się utrzymywałeś?

- Mhm... Żadnych meczów, dyskotek, koncertów... Pracowałem na nocną zmianę, a uczyłem się w ciągu dnia, oczywiście, jeśli nie zasnęłem.

Sage zrobiło się smutno. Z trudem pohamowała się, by nie położyć mu ręki na ramieniu.

- A co z twoimi rodzicami?

Odłożył ołówek i spojrział z powagą.

- Zadajesz strasznie dużo pytań.

- Jeśli mamy razem pracować, powinniśmy więcej o sobie wiedzieć.

- To chyba nie jest konieczne.

- Jest.

Na jej twarzy dostrzegł zaciętość. Postanowił ustąpić.

- Co chcesz wiedzieć?

- Co się stało z twoją rodziną? Czemu pracowałeś, żeby zarobić na utrzymanie, zamiast chodzić normalnie do szkoły?

- Opuściłem dom, gdy miałem piętnaście lat.

- Dlaczego?

- Po prostu oszedłem. Jasne? I odtąd zawsze byłem na swoim. Jak tylko zdobyłem świadectwo ukończenia szkoły średniej, zapisałem się na A&M i studiowałem przez trzy lata. Mając dwadzieścia lat, skończyłem naukę i uniezależniłem się od wszystkich.

- Nie wyobrażam sobie takiego życia...

Wzruszył ramionami.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Chcesz to w końcu zobaczyć?

Czy jej się to podobało, czy nie, zakończył zwierzenia. Żałowała, że nie dowiedziała się niczego więcej. To, co powiedział, bynajmniej jej nie usatysfakcjonowało, a wręcz przeciwnie - zaintrygowało tylko. Na razie jednak reszta musiała pozostać tajemnicą.

Harlan zaprowadził Sage do miejsca, gdzie stał wielki przedmiot okryty plandeką. Gdy ściągnął brezent, ujrzała coś, co przypominało pompę.

- I tyle nam się udało zrobić - oznajmił. - Potrzeba jeszcze...

- Uciekałeś przed czymś? - Sage nie mogła pozbyć się myśli o przeszłości Harlana.

Opuścił głowę i w milczeniu wpatrywał się w betonową posadzkę. W końcu rzekł z rezygnacją:

- Chyba można tak to określić.

- Piętnaście lat... - wyszeptła.

Gdy miała piętnaście lat, najgorszym nieszczęściem było przebudzenie się rano z nową krostą na nosie. W okresie dojrzewania bracia dogryzali jej nieustannie na temat obfitych kształtów i każdego potencjalnego amanta. W domu nie zawsze układało się pomyślnie, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby odejść, porzucając wszystko, co bliskie i drogie. Powiedziała o tym Harlanowi.

- Widzisz, Sage, chyba możesz uważać się za szczęściarę... Nie każde dziecko jest w stanie powiedzieć to o sobie.

- Czy twój dom był aż tak okropny, że musiałeś uciec?

- A już myślałem, że naprawdę interesuje cię system nawadniający.

- Nie chcesz mi opowiedzieć o swojej przeszłości?

- Nie.

Sage westchnęła z rezygnacją. Spotkała godnego siebie uparciucha. Jego stanowczy ton wskazywał, że następne pytania pozostaną bez odpowiedzi. Odwróciła się i krytycznie spojrzała na pompę.

- Maszyna jak maszyna. Dla mnie każda wygląda podobnie.

- Jeśli masz się zająć sprzedażą, musisz wiedzieć, do czego to służy.

- Chcę znać tylko najpotrzebniejsze dane. Mów do mnie jak najprostszym językiem. Przecież nie wiem nawet, jak działa suszarka do włosów...

Uśmiechnął się lekko.

- Powiedziałbym, że masz tupet. - Uniosła pytająco brwi, więc dodał: - Przekonałaś braci, że podjęli słuszną decyzję zatrudniając cię, a ty nie masz żadnego doświadczenia.

- W tym akurat - poprawiła.

- To nieźle świadczy o twoim charakterze. No, chyba że działałaś w desperacji. - Przypatrywał się jej ciekawie. - Czy sądzisz, że praca w spółce Tylera pomoże ci się pozbierać po zawodzie miłośnym?

- Już się pozbierałam.

- Tak po prostu? - zapytał sceptycznie.

- Nie rozumiesz zasadniczej sprawy - zaczęła dumnie. - Przyjmij więc do wiadomości, że nasz związek z Travisem nie opierał się na namiętności. Nie byliśmy jak Chase i Marcie czy Lucky i Devon. To są uczucia angażujące całe serce, umysł, ciało i duszę. Gdyby jednemu z każdej z tych par coś się stało, dla drugiego byłaby to katastrofa, bo są od siebie całkowicie uzależnieni. Małżeństwa tego rodzaju rzadko się zdarzają.

- Związki twoich braci wydają się trwalsze niż skały.

- To wyjątek. Nigdy bym nie pomyślała, że Lucky potrafi dochować wierności jednej kobiecie, a Chase zakocha się po raz drugi po śmierci żony. Zgodnie z logiką oba te małżeństwa powinny się już rozpaść. Travis i ja od początku znajomości podchodziliśmy do stanu małżeńskiego raczej pragmatycznie.

- I popatrz tylko, do czego was to doprowadziło!

Odwróciła się do niego plecami i umilkła. Przyciągnął ją do siebie za szlufkę od spodni.

- Już dobrze, dobrze. Tylko żartowałem.
- To wcale nie jest śmieszne. - Zrzuciła dłoń Harlana ze swej talii.
- Tak jak życie.
- O co ci chodzi?
- No... życie nie jest usłane różami - odparł. - Zdarzają się też chwasty na trawniku, zatkana kanalizacja, chore dzieci, nie zapłacone rachunki. Jeśli chce się to wszystko z kimś dzielić, namiętność, której znaczenie tak pomniejszasz, może bardzo pomóc. - W kącikach oczu pojawiły mu się zmarszczki. Po chwili dodał: - No i w sumie jest to niezła zabawa.

Sage nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Nie ma co dyskutować, bo nie wychodzę za Trvisa.
- Powiedziałaś już braciom?
- Nie. Nie chciałam, żeby dali mi pracę z litości. Powiedziałam tylko, że nie wiem, kiedy wyjdę za mąż, a to przecież prawda. I użyłam zaimka w liczbie pojedynczej: nie mówiłam „my” ani „Travis i ja”. Zrozumieli, że w „okresie przejściowym” chcę być pożyteczna i pracować dla rodzinnej firmy. Gdy się dowiedzą, że zaręczyny są nieaktualne, będą uważali, że związek rozpadł się z winy obu stron. Mama podejrzewa już, że chyba się pokłóciliśmy. W ten sposób nikt nie będzie zaskoczony.

- Już wszystko sobie przemyślałaś.
- Owszem.

Pokręcił głową.

- Wiesz, że kłamstwo ma krótkie nogi. Założę się, że prędzej czy później wszyscy i tak się dowiedzą, że to Go-rącousty cię zostawił.

Rozzłościła się.

- Czemu za każdym razem...

Roześmiał się i nieoczekiwanie uniósł ją w górę, przyciągając tak blisko, że czuła każdy jego mięsień. Ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Sage obawiała się, a może po cichu miała nawet nadzieję, że Harlan ukoi jej napad szału kolejnym niezrównanym pocałunkiem.

- Z pewnością chłopcy zechcą sprawdzić, czego się dziś nauczyłaś - oświadczył znienacka. - A ty masz zły zwyczaj za dużo mówić. Jeśli chcesz zrobić na nich wrażenie, to siedź cicho, miej oczy szeroko otwarte i pilnie słuchaj.

Okręcił się na pięcie i posadził dziewczynę na wysokim stołku. Podwinął rękawy wyblakłej dżinsowej koszuli i zaczął wyjaśniać zasady działania swego wynalazku.

- A zatem można zaprogramować ją tak, aby nawadniała pewien konkretny obszar o określonych porach wyznaczonych dni? To zupełnie jak domowy system spryskiwania ogródka - orzekła w końcu.

Harlan z uśmiechem obserwował, jak próbuje zrozumieć choćby podstawowe założenia.

- Z tą różnicą, że nasza maszyna mogłaby obsługiwać całe hektary. Wodę pompowałyby się ze zbiornika lub naturalnego ujęcia wody - mówił dalej.

- Na to potrzeba mnóstwo rur.

- Rury to pestka. Chodzi o coś innego - odparł i poklepał maszynę. - Cały system kontrolowałyby ta jedna skomputeryzowana pompa.

- Żeby zamontować i wypróbować choćby mały fragment rur, od razu musisz mieć komputer?

- Albo na razie jakiegokolwiek urządzenie do pomiaru czasu. A firmowa kasa świeci pustkami.

Po dwóch godzinach intensywnej nauki Sage zdawało się, że orientuje się już w założeniach pomysłu Harlana. Słuchała bardzo uważnie. Nie tylko tego, co mówił, ale i sposobu wyrażania myśli. Używał bardzo bogatego słownictwa; mówił w sposób zrozumiały. Zaczęła wierzyć, że istotnie ma dyplom inżyniera. Z pewnością krył w sobie dużo więcej niż to, co dawało się zauważyć na pierwszy rzut oka. Zachowywał się jak „przeciętny równiacha”, maskując w ten sposób bystrość umysłu. Dlaczego? Czy był to jakiś mechanizm obronny?

Możliwe. Potrafiła to zrozumieć. Ileż razy sama przybierała

pozę rozpieszczonego dziecka w nadziei, że ukryje poczucie niepewności bądź krzywdy?

Ale przed czym on usiłował się bronić?

Boyd popatrzył w stronę szeroko otwartych drzwi. Było pochmurno, wkrótce miał zapaść zmrok.

- Na dzisiaj chyba wystarczy. Masz mnóstwo do przemyślenia. Mama się zmartwi, jeśli niebawem nie wrócisz do domu.

- A twoja mama nie martwiła się o ciebie, gdy odszedłeś?

Popatrzył na nią ostro.

- Nie. - Nie dodał nic więcej.

Sage czekała w zdezelowanej furgonetce, aż Harlan sprawdzi wszystko i zamknie garaż na kłódkę. Jej bracia powierzyli mu bezpieczeństwo budynku i bardzo serio traktował ten obowiązek.

- Pozwolisz, że zatrzymamy się na chwilę przy mojej przyczepie? - zapytał, gdy jechali wąską drogą prowadzącą do szosy.

- Po co? - zareagowała nieufnie, jak zwykle pełna podejrzeń.

- Ponieważ zamierzam cię uwieść. - Roześmiał się, gdy podskoczyła na siedzeniu i spojrzała z przerażeniem. - Nie łudź się, Sage. Muszę zabrać książkę.

- Ma pan wypaczone poczucie humoru, panie Boyd.

- Może i wypaczone, ale lepsze takie niż żadne...

Miał rację, że ją usadził. Czemu nie potrafiła po prostu śmiać się z jego dowcipów? Dokucza jej tylko dlatego, że tak głupio reaguje. Czy matka nie uczyła jej, żeby ignorowała braci, gdy stawali się nie do wytrzymania? Niestety, nie posłuchała jej i nie miała wprawy w lekceważeniu docinków.

- Moje poczucie humoru to jedna z tych rzeczy, które ci się we mnie nie podobają - rzekł Harlan. Zerknął znacząco i dodał: - A już niebawem przekonasz się, że są jeszcze inne. - Mówił cicho. Jego słowa zabrzmiały jak przestroga.

Sage spojrzała w okno.

Przyczepa Harlana stała zaparkowana na leżącym odłogiem skrawku pola w pobliżu biur firmy. Dotarli tam po paru minutach jazdy. Sage nie zdziwił fakt, że przyczepa marki „Streamline” wygląda tak, jakby za chwilę miała się rozpaść w drobny mak. Prądu dostarczał jej rachityczny agregat.

- Zostań albo chodź ze mną. Jak wolisz. - Wysiadł i jednym susem pokonał dwa betonowe klocki, które zastępowały schody. Harlan nigdy nie zamykał przyczepy na klucz, teraz więc nacisnął tylko klamkę i zniknął za drzwiami. W wąskich okienkach wisały zasłonki, przez które przebijało światło.

Ciekawość zwyciężyła. Sage wysiadła z furgonetki i weszła po stopniach. Drzwi zaskrzypiały. Skrzywiła się, ale wsunęła się do środka.

Spodziewała się ujrzeć obraz nędzy i rozpaczy, wewnątrz zasypane pisemkami porno i puszkami po piwie. Jej oczom ukazało się jednak przytulne, schludnie utrzymane pomieszczenie, umeblowane tanio, lecz ładnie. Harlan miał sporo książek, właściwie nawet bardzo dużo, głównie popularne wydania współczesnej prozy, bestsellery i periodyki z różnych dziedzin. Dostrzegła też egzemplarz „Playboya”.

Starła się nie robić tego nachalnie, ale rozglądała się za fotografiami rodzinnymi, kopertami z adresem zwrotnym, jakimikolwiek śladami przeszłości lokatora. Niczego takiego jednak nie dostrzegła. Dręczyło ją, że nie ma pojęcia, co ten facet robił, zanim przybył do Milton Point.

Wyczuła obecność Harlana, nim usłyszała jego kroki. Spojrzała mu w twarz i bez namysłu zapytała:

- Zawsze mieszkałeś sam?

- Tak.

- Byłeś żonaty?

- Już o to pytałaś.

- Pytałam, czy byłeś zaręczony.

- To już dzielenie włosów na czworo. - Dostrzegłszy jej źle skrywaną irytację, wyjaśnił: - Nigdy nie byłem żonaty.

- A dzieci?

- Nie mam. - Z trudem powstrzymał uśmiech.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia dziewięć. Wkrótce skończę trzydzieści.

Wyglądał na więcej. Mógł spokojnie uchodzić za rówieśnika trzydziestokilkuletniego Lucky'ego.

- Gdzie jest twoja rodzina?

- Nie mam rodziny.

- Ale przecież masz matkę. Powiedziałeś, że się o ciebie nie martwiła, gdy odszedłeś.

Odłożył książkę, którą przyniósł z drugiego pomieszczenia, i zbliżył się do Sage. Dziewczynie wydało się nagle, że przyczepa zmałała o połowę.

- Sage, czemu jesteś taka dociekliwa?

- Nie wiem. Po prostu jestem.

- Co jeszcze cię interesuje poza moją sytuacją rodzinną?

- Skąd pochodzisz; co robiłeś, zanim poznałeś Chase'a w Houston; czemu zostawiasz otwartą przyczepę; dlaczego, skoro jesteś inteligentny i masz wyższe wykształcenie, zdecydowałeś się żyć w ten sposób?

Harlan rozejrzał się z namysłem wokół siebie.

- W j a k i sposób?

Zmieszła się. Nie chciała mówić rzeczy oczywistych ani uchodzić za osobę nieuprzejmą.

- Odpowiada mi sposób, w jaki żyję. Nawet bardzo. Nie zamykam przyczepy na klucz, bo nie trzymam tu niczego, co mogłoby zainteresować ewentualnych intruzów. Gdy się nic nie ma, nie można stać się niewolnikiem przedmiotów. Nie trzeba się martwić, że straci się coś cennego. Odpowiada mi, że jestem wolny od tego wszystkiego.

Podszedł jeszcze bliżej. Czubkami butów dotykał stóp dziewczyny. Potem stanął w rozkroku i przytulił się do niej biodrami.

Bliskość Harlana we wnętrzu tej zacisznej przyczepy zupełnie ją obezwładniła. Przestraszyła się przenikliwego spojrzenia błękitnych oczu. A może tego, co czuła, gdy młody człowiek stał tak blisko?

- Sage, zapytaj mnie o coś jeszcze.

- Odpowiedziałeś na wszystkie moje pytania - odparła bez tchu. - Nic więcej nie muszę ani nie chcę wiedzieć.

- Chcesz.

- Co?

- Chcesz wiedzieć, kiedy cię pocałuję.

- Nic podobnego! Skąd ci to przyszło do głowy?

Nie zniechęciła go ta reakcja.

- Jesteś jak drapieżna kocica, wiesz o tym? Gdy tylko ktoś zbliży się do prawdziwej Sage, w obronie własnej drapiesz, fukasz i gniewnie prężysz grzbiet. - Pochylił się. - Ale niedługo zaczniesz mruzczyć z zadowolenia.

Przełknęła głośno ślinę. Chciała odejść lub oderwać od niego wzrok, ale nie potrafiła.

- Nie usłyszysz tego, bo nie pozwolę się już całować.

- Nieprawda... Za bardzo ci się to podobało.

- Wprost przeciwnie!

Ujął jej twarz w dłoń. Kciukami gładził wargi.

- Sage, oboje wiemy, że jesteś kłamczucha. I to nieźła.

A potem pocałował ją, miękko, łagodnie. Przez chwilę uległa mu. Gdy jednak poczuła na swych wargach koniuszek jego języka, odwróciła głowę.

- Harlan...

- Właśnie tak... Powtarzaj moje imię.

Znowu przyłgnął do niej ustami. Protestowała słabo, on nie zwracał na to zresztą uwagi. Gdy wsunął język, powitała ten gest delikatną pieszczotą.

Objął dziewczynę w talii i przyciągnął ku sobie. Przechylił głowę na bok i całował coraz namiętniej. Sage dzwoniło w uszach. Zdała sobie sprawę, że słyszy oszalałe bicie własnego serca i szum krążącej żywej krwi. Ogarniało ją obezwładniające pożądanie. Nie czuła się tak nigdy dotąd. Fala gorąca umiejscowiła się między udami.

Boyd penetrował językiem wewnątrz jej ust i rozsmakowywał się coraz bardziej. Gdy zabrakło im powietrza, wtulił się w szyję Sage i zaczął szaleńczo całować to nowe miejsce.

Zawędownął do ucha. Dziewczyna poczuła ciepły dotyk języka i wydała cichy okrzyk. Ugięły się pod nią kolana i opadła na kanapę, pociągając za sobą Harlana. '

Zagłębiła palce w jego włosach i pociągnęła go na siebie. Potrzebowała tego. Chciała, by przygniótł ją ciężar męskiego ciała, ogarniętego gorącą namiętnością. Pragnęła, by znów zabrakło jej tchu.

Zaczęła całować Harlana. Zgięła kolano i przycisnęła jego biodra. Czuła się dobrze, cudownie... Czuła jego podniecenie. Przywarła doń biodrami. Zapragnęła czegoś więcej...

Harlan wsunął dłoń pod jej sweter i zaczął pieścić kształtne piersi.

- Sage, chcesz, żebym cię tak dotykał?

Urywane westchnienie zastąpiło potwierdzenie. Całowała jego twarz, która - musiała to teraz przyznać - intrygowała ją od pierwszego spotkania.

Uwolnił jej pierś z miseczki stanika i ujął ją w dłoń. Opuškami palców pieścił naprężoną brodawkę. Sage jęczała, wyginając się ku niemu, prosząc o więcej...

- Kochanie, malutka... Sage... - szeptał rozpaczliwie, próbując jednocześnie oderwać dłoń od jędrnej piersi i uwolnić się od rozpalonych ust dziewczyny.

W końcu pojęła, że przestał ją pieścić. Roztrzęsiona, znalazła wytchnienie ukrywając twarz w jego dłoniach. Potem zerknęła na niego swymi wielkimi oczyma, zamglonymi pożądaniem.

- Co się stało?

- Nic, do cholery - odparł opryskliwie. - Jesteś doskonała. Wyglądasz idealnie. Jesteś cudowna w dotyku. Smakujesz wymśnienicie...

- To czemu przestałeś?... - zapytała ochryple.

- Lubię twoich braci, Sage. Oni mnie też, ufają mi. Nie chcę robić niczego, co by im się nie podobało.

Sage wciąż nie mogła się uspokoić. Przesunęła się odrobinę, tak by mógł wygodniej ułożyć się między jej "udami. Przy-

mknął oczy i westchnął cicho. Potem posłał jej rozognione spojrzenie. Miał ściągniętą twarz, płytki, przerywany oddech.

- Nie powinienem był cię całować... Nie pomyślałem, że to... nie sądziłem, że... Och, do diabła! - Skrzywił się, jakby coś go zabolalo. - Sage, uwierz mi: pragnę tylko jednego - całować cię do utraty tchu. Wiesz, gdzie chciałbym się znaleźć. W tobie. Głęboko w tobie. - Znowu zamknął oczy i wciągnął powietrze. - Ale zanim to się stanie, muszę się przekonać, że wiesz, co robisz i chcesz tego tak samo jak ja. Chcę mieć pewność, że pragniesz mnie, a nie po prostu męskiego ciała.

Sage ciągle jeszcze nie wierzyła, że jakieś uczucie mogłoby zdominować szarpiące ją pożądanie. Gdy jednak w pełni dotarło do niej znaczenie słów Harlana, ogarnęła ją wściekłość. W przypływie furii odepchnęła go, prawie przewracając na cętkowane linoleum, którym wyłożono podłogę przyczepy.

Zerwała się z kanapy i odgarnęła z oczu zwichrzone włosy.

- Nie musisz obawiać się moich braci! - krzyknęła. - Ja sama cię zabiję pewnego pięknego dnia.

Wygłosiwszy tę pogrozkę, otworzyła szeroko drzwi, zeskoczyła ze stopni i odmaszerowała w ciemność. Przeszła prawie pół kilometra, gdy dogonił ją furgonetka.

- Wsiadaj! - zawołał przez uchyloną szybę.

- Idź do diabła!

- Będziemy się teraz obrzucać inwektywami? Przestań zachowywać się jak dzieciak i wsiadaj. Zaczyna padać.

Zatrzymała się gwałtownie i spojrzała mu w twarz.

- Pójdę pieszo. Przeszłabym i sto kilometrów środkiem górskiego potoku, byle tylko nie jechać z tobą.

- A co powiesz w domu, spóźniona parę godzin na kolację? - Przystanęła, by się nad tym zastanowić, a Harlan skorzystał z okazji. - Gotowa jesteś im powiedzieć, co nas zatrzymało? - zapytał.

Zapadł zmierzch. Sage patrzyła na Harlana, lecz on utkwiał wzrok gdzieś w oddali. Było jasne, że jest mu przykro. Gdy

spojrzał na swą towarzyszkę, z jego twarzy zniknął typowy dla niej wyraz arogancji.

- Sage, to, co się zdarzyło, to wyłącznie moja wina. Przepraszam, że tak się zachowałem. Po tym, co zaszło w stajni podczas świąt, powinienem był wiedzieć, że... Ale - dodał cicho - musisz wziąć na siebie część winy za to, że tak daleko zaszliśmy i że... pewnie stałoby się jeszcze więcej, gdybym się nie opamiętał....

Sage pamiętała, jak rozpustnie włą się pod nim. Toteż w skrytości ducha przyznała, że Boyd ma rację. Jednak prędzej dałaby sobie obciąć język, aniżeli powiedziała to na głos. Jej zachowanie jasno wskazywało, że żałowała tego, co nie nastąpiło. A to mogło się stać. Poza tym należy pamiętać, że Chase prosił Harlana, żeby przywiózł siostrę do domu. Jeśliby tego nie uczynił, cała rodzina zaczęłaby dociekać, co się zdarzyło.

Sztywnym krokiem Sage okrążyła furgonetkę, otworzyła drzwiczki po stronie pasażera i wdrapała się do szoferki. Harlan wciąż nie wstawił szyby, dziurę nadal zasłaniała tektura. Nie mogąc patrzeć w bok, Sage utkwiała kamienny wzrok w przedniej szybie.

Czując napływające łzy, zmrużyła oczy. Nie chciała, żeby Harlan dostrzegł jej płacz. Wolała, by uważał ją za rozpuszczoną dziewczynkę niż za kobietę, która czuje się upokorzona niezaspokojeniem żądy.

Bo tak właśnie było. Pożądała go.

Przez ostatnie kilkanaście dni nie zdobyła się na szczerość wobec nikogo. Może dlatego chciała pozostać uczciwa w stosunku do samej siebie. Mimo iż Harlan był tak denerwujący, pożądała go.

Nieważne, na czym to polegało. Liczył się jedynie fakt, że nigdy przedtem nie spotkała się z czymś podobnym. Swobodny kowbojski krok, wysmukłe ciało, płonące błękitne oczy, nieujarzmiona jasna czupryna, aura tajemniczości, cała ta nieznośna w gruncie rzeczy arogancja. To wszystko sprawiło, że nigdy nie pragnęła tak bardzo żadnego mężczyzny.

Zachowała się jak naiwna dziewczynka zakochana po raz pierwszy. Przypomniła sobie reakcje koleżanek na widok braci Tylerów i pamiętała, jak denerwowała ją wtedy ich głupota. Czuła się upokorzona swą własną reakcją na obecność Harlana. Gdy tylko na nią spojrzął, robiło się jej gorąco i czuła narastające podniecenie.

Harlan Boyd nie przypominał żadnego ze znanych jej mężczyzn. Emanowała z niego jakaś tajemna moc. Nie całował jej, lecz kochał się z nią ustami. Pocałunki Trvisa nigdy nie przyprawiły jej o utratę świadomości. W jego ramionach nie zapominała o bożym świecie.

Harlan wzbudzał w niej nieoczekiwane reakcje fizyczne i wyzwalał emocje. Jako dziecko musiał przeżyć dramat. Gdy opowiadał, że nie mógł chodzić do liceum, poczuła ogromne współczucie. Zapragnęła nagle wynagrodzić mu wszystkie gorzkie przeżycia.

Chciała, by okazał jej zaufanie i zwierzył się ze swych przeżyć. Pożądała jego ciała i żarliwych pocałunków. Powiedział, że pragnąłby całować ją do utraty tchu. Skandaliczne, lecz na samą myśl o tym jeszcze teraz dostawała rozkosznych dreszczy.

Kątem oka zerknęła na profil Harlana. Postanowiła nie okazywać, jak bardzo go pragnie. Nigdy więc się nie dowie, jak głęboko ją zranił, nieważne, z jakich powodów. Odtrącił ją w chwili, gdy doznawała najgłębszych w całym swym dotychczasowym życiu wrażeń.

Najpierw Travis zranił głęboko jej miłość własną. Teraz Harlan igrał z jej nadwątłym poczuciem wartości.

Najbardziej martwiło ją, że tak mało znany człowiek tak bardzo ją obchodzi. Było to dla niej niepojęte.

Gdy furgonetka zatrzymała się na podjeździe, Sage ujrzała, że Chase i Lucky siedzą na ganku popijając piwo. Co by sobie o niej pomyśleli, gdyby wiedzieli, co robiła z „najemnikiem” już pierwszego dnia nowej pracy?

Spojrzała niepewnie na Harlana.

- To, co zaszło w przyczepie, ma zostać między nami!

- Jasne.
- Nie bądź więc zbyt wylewny.
- Jasne.

- A najlepiej zapomnij o tym wszystkim.
- O nie!

Spojrzała mu w oczy. Patrzył tak wymownie, że wysiadłszy z soferki, z trudem łapała oddech. Chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku domu.

- Cześć.
- Gdzie byliście? - zainteresował się Chase.
- A co to ma za znaczenie?
- Czekaliśmy na was - wyjaśnił Lucky. - Chase uparł się zostać aż do waszego powrotu.

- No przecież jesteśmy! - odrzekła gniewnie Sage.
- Nie musisz się zaraz złościć - zauważył brat. - Mieliliśmy tu prawdziwą burzę mózgow i chcieliśmy z wami pogadać.
- Jaka burzę mózgow?

Sage skryła się pod dachem przed lodowatą mżawką. Kątem oka widziała, że Harlan oparł się o filar. Stał tak jak wtedy, gdy zobaczyła go pierwszy raz koło porośniętego bluszczem muru domostwa Belcherów.

- Jak ona sobie radzi, Harlan? - zagadnął Lucky.

Zapytany chrząknął.

- No... całkiem nieźle. Chyba naprawdę czuje problem.

Sage zaczerwieniła się. Nie śmiała na niego spojrzeć. Ze wszystkich sił starała się zapomnieć o jego zniewalających pocałunkach, i skoncentrować na tym, co mówią bracia.

Lucky perorował z ożywieniem.

- Ostatnie słowo należy oczywiście do ciebie.
- W czym?
- Nie chcemy, żebyś zwracała się do niego, jeśli ma cię to krępować - wtrącił Chase.
- Do kogo?
- Przecież może odmówić - uzupełnił Lucky.
- W każdym razie - dorzucił znowu Chase - tak czy owak, nikt się nie obrazi.

- Ale on ma swoje kanały, zna ludzi z pieniędzmi, którzy mogliby zainwestować w nasze przedsięwzięcie.

- Musisz mu tylko sprzedać ten pomysł, Sage.

Dziewczyna patrzyła na nich zdumiona. Rozłożyła bezradnie ręce i uśmiechnęła się.

- Ale komu?! - wykrzyknęła. - Czy ktoś zdradzi mi wreszcie łaskawie, o kim mowa?

- O doktorze Belcherze - odparł pogodnie Chase. - O ojcu Travaisa, twoim przyszłym teściu.

- Cześć, Lucky. Przepraszam, że tak późno.
- Harlan? Która godzina?
- Po drugiej. Jezu, strasznie cię przepraszam. Straciłem poczucie czasu - rzekł zapytany, gdy zerknął na zegarek.
- Już dobrze. Przecież sam prosiłem, żebyś zadzwonił. No i...?

Harlan zorientował się, że Lucky zdążył się już rozbudzić. Denerwowała go myśl, że w środku nocy ma do przekazania złe nowiny.

- Wiem już, czemu zarząd szkoły tak tanio sprzedał ten komputer...

Od wielu dni przeczesywał miasto w poszukiwaniu używanego komputera, aż w końcu dowiedział się, że miejscowa szkoła podstawowa chce pozbyć się swojego po symbolicznej wręcz cenie.

- Bo nie działa - domyślił się Lucky.
- No właśnie.
- Cholera!

Zamilkli obaj, rozczarowani głęboko.

- Wracaj do domu - odezwał się w końcu Lucky. - Nie trzeba było tak długo siedzieć.

- Nie. Mam jeszcze jeden pomysł. Czy dzwonić do Chase'a?
- Nie... Wiem, że też prosił cię o telefon, ale po co go budzić, skoro masz same złe wiadomości?

- Wyjąłeś mi to z ust.

- Cholera! - zaklął znowu Lucky. - Szkoda, że Sage się nie odezwała, wiedzielibyśmy przynajmniej, co z Belcherem.

Harlan zaczął skubać paznokcie. Starał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie.

- To znaczy, że jak dotąd cisza?

- Ani słowa. Chyba nie chciała rozmawiać o interesach w sylwestra. Pewnie mieli z Travisem ważniejsze zajęcia.

Choć Harlan znał prawdę, nie zaprzeczył domniemaniom Lucky'ego.

- Prawdopodobnie...

- Z pewnością Belcherowie mają gości albo sami zostali zaproszeni na bal, więc Sage nie miała okazji porozmawiać z doktorem. A jednak liczyłem, że zadzwoni i powie nam coś konkretnego.

- Chyba nie udało się jej nic załatwić - orzekł bez przekonania Harlan.

- Kto wie, co kobiecie przyjdzie do głowy... Au! Devon, to boli! - wykrzyknął. Po chwili wyszeptał: - Myślałem, że śpisz. - Później odezwał się znów do słuchawki: - Harlan, wracaj do domu, do łóżka.

- Jeszcze trochę posiedzę.

- No to do zobaczenia rano.

Harlan odłożył słuchawkę. Czuł się samotny i zazdrościł przyjacielowi, że ma się do kogo przytulić w łóżku. On nie miał nikogo. Ba, nie miał nawet łóżka, bo trudno uważać za nie wąską kozetkę w przyczepie.

Łóżko, w którym sypiał, nie należało do niego. Gdy leżał na nim w nocy, nie mógł zasnąć, rozmyślając o kobiecie, która zajmowała je wcześniej.

I co ona teraz porabia? - zastanawiał się. Sięgnął po mały śrubokręt i zaczął od nowa majstrować przy komputerze.

Pracował przy prototypie niemal dwadzieścia godzin na dobę. Nigdy nie przerażała go ciężka praca, ale teraz cieszył się wręcz, że tak pochłonał go ten projekt. Dzięki temu miał się czym zająć i nie myślał bez przerwy o Sage.

A swoją drogą, ta młoda dama ma charakter! Pokazała, na co ją stać, gdy Chase i Lucky podsunęli jej pomysł, że potencjalnym źródłem dochodów może być ojciec Trvisa.

Każda inna kobieta w podobnej sytuacji na pewno by zemdlała albo przynajmniej utonęła w morzu łez; może też, jękając się, próbowałaby wyjaśnić sprawę.

Sage wahała się przez krótką chwilę, po czym natychmiast roześmiała się i rzekła:

- Doskonały pomysł!

Harlan obserwował ją z niedowierzaniem. Była niesamowita! Aby nie zawieść swych braci, postanowiła trwać w kłamstwie.

Należało właściwie podziwiać jej postawę i pozbawione egoizmu zachowanie. Teraz nie kłamała przecież po to, by ratować własną skórę. A nawet - wprost przeciwnie. Wyruszyła na spotkanie z doktorem Belcherem dla dobra firmy, nie dbając o to, że musi ucierpieć jej duma.

Zachowywała pozory w ciągu kolacji, paplając bez przerwy o tym, jak wpływową postacią jest doktor Belcher i zarażając rodzinę przekonaniem, że stanowi on antidotum na zmartwienia Tylerów.

- Z tego, co wiem, inwestuje w wiele przedsięwzięć i jak dotąd wiedzie mu się wspaniale - szczebiotała przy domowych pierożkach. Kiedy podano mus z pomarańczy i wino, oznajmiła: - Wyjeżdżam z samego rana.

Dopiero wtedy popatrzyła Marianowi prosto w oczy. Aż do tej chwili unikała jego wzroku. Spojrzenie to miało go chyba sprowokować do ujawnienia jej sekretu, czego, rzecz jasna, nie miał zamiaru uczynić. To była jej sprawa. Musiała do końca grać swą rolę.

- Wybaczcie mi - rzekła, wstając od stołu. - Pójdę na górę i spakuję rzeczy. - Miała lekko podniesiony głos i nie-naturalnie błyszczące oczy, ale zauważył to chyba tylko Boyd.

Gdy szła po schodach, obserwował ją, siedząc w milczeniu i grzebiąc łyżką w musie pomarańczowym. Wiedział, że wyjazd do Houston i stanięcie twarzą w twarz z ojcem chłopaka, który właśnie ją porzucił, będzie dla niej ciężkim przeżyciem. Wątpił, by jego samego było stać na podobną odwagę.

A ją - tak... To najbardziej diaboliczna kobieta, jaką znał.

Gdy rankiem następnego dnia zjawił się na dole, Laurie poinformowała go, że Sage już wyjechała.

- Nie znoszę wprost, gdy prowadzi sama w świąteczne weekendy, ale nie dała się namówić na przełożenie wyjazdu. Jest taka uparta...

Nie było to zbyt trafne określenie. Sage Tyler to najbardziej zawzięta istota, jaką Harlan kiedykolwiek napotkał na swojej drodze - przesadnie uparta, dumna i odważna. Pożądał jej też zdecydowanie najbardziej ze wszystkich znanych mu kobiet, a było ich niemało...

Sage Tyler fascynowała go. Lubił, gdy miotała się zuchwale i z niecierpliwością tupała nogą. Podobała mu się zadziorność tej dziewczyny, imponowała jej odwaga. A już z pewnością zauroczony był jej pocałunkami.

Sage stanowiła uosobienie kobiecości.

Najsmutniejsze, że najprawdopodobniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Zbyt pochłaniało ją udowadnianie, że jest tak samo ważna w rodzinie jak bracia, w co zresztą nikt poza nią nie wątpił. Sage uważała swą kobiecość za słabość, a nie największą zaletę.

Niełatwo też dawało się ją o czymkolwiek przekonać. Odrzucała na przykład słowa Laurie jako stronnicze wypowiedzi kochającej matki. Wolała sądzić, że bracia z trudem ją tolerują i traktują protekcyjnie.

Tylko odpowiedni mężczyzna mógł ją przekonać o jej prawdziwej wartości.

- A tyś taki nie jest... - wy sylabizował Harlan, akcentując wszystkie błędy gramatyczne w zdaniu mocniejszym uderzeniem śrubokręta. - Więc wybij to sobie z głowy!

Gdy ją pierwszy raz całował, wyczuł, że ona nie zdaje sobie sprawy ze swej zmysłowości. Gdy zdecydowała się już na pocałunek, oddawała się tej czynności bez reszty. Jej usta stawały się centrum wszechświata. Jeśli tak wyglądały jej pocałunki, Bóg tylko wie, co mogłoby nastąpić potem...

Starał się odpędzić myśli błędzące w tych niebezpiecznych rejonach.

Siła jej zmysłowości odstraszyła prawdopodobnie wielu mężczyzn, gdyż stanowiła zagrożenie dla ich męskości. Belcher bez wątpienia należał do nich. Ale w końcu jakiś szczęściarz doceni zalety tej dziewczyny i uda mu się ją pochwycić. Sage zaczaruje takiego sukinsyna, który do końca życia będzie zaspokajał tę wygłodniałą lwicę, którą w niej obudzi.

Ostatnie kilka minut wystarczyło, by Harlan poczuł się nieswojo. Gdy tylko zaczynał myśleć o Sage, jego organizm natychmiast gotował się do skoku... To nie mogło trwać wiecznie. Już dwukrotnie niemal udało mu się pokazać jej, na co ją stać, i cóż tym osiągnął? Prawie go znenawidziła.

Nie mógł sobie na to pozwolić. Zwłaszcza jeśli Sage będzie z nim pracować w rodzinnej spółce. Znał Tylerów. Lubili go i cenili jego pomysły. Ale gdyby musieli wybierać między nim a siostrą, w ciągu sekundy znalazłby się na bruku.

Rzecz jasna, kiedyś sam stąd odejdziesz. Nigdy nie zatrzymywał się na dłużej w jednym miejscu. Ale zanim zniknął, miał zwyczaj kończyć wszystko, co zaczął. Nigdy nie porzucał rozpoczętego przedsięwzięcia. Jeden jedyny raz stało się tak, gdy zorientował się, że jego pracodawca jest gangsterem.

Sage Tyler ze swym ognistym temperamentem, ponętym ciałem i najsłodszymi na świecie ustami stanowiła dla Boyda dużo poważniejsze zagrożenie niż najbardziej nieoczekiwane zetknięcie z nieprzyjaznym tłumem. Dobrze zrobi, jeśli będzie się od niej trzymał z daleka.

Ale im dłużej majstrował przy maszynie, tym częściej wracał myślami do Sage. Zastanawiał się, gdzie jest, co robi i czy - podobnie jak on - czuje się samotna.

- To był doprawdy zwariowany pomysł! - narzekał Pat, przesuając się powoli za Laurie. Stali w kolejce w nowo otwartym McDonalddie w Milton Point, oczekując na złożenie zamówienia. - Czuję się jak kompletny głupek, Laurie.

- A to czemu?

- Bo nigdy dotąd nie jadłem śniadania zawiniętego w papier z firmowym klownem.

- Przecież tłumaczyłam ci już, czemu wyznaczyłam ci spotkanie właśnie tutaj - szepnęła przez ramię. - Przez cały tydzień jesz śniadanie u nas.

- I co z tego?

- Dwa cheeseburgery, dwa soki pomarańczowe i dwie kawy - powiedziała Laurie do uśmiechniętej kasjerki. Później znowu zwróciła się do Pata: - Wkrótce dzieci dojdą do wniosku, że zostajesz u mnie na noc.

- Całkiem niezły pomysł.

Laurie rzuciła mu przez ramię zgorzone spojrzenie, potem usunęła się, by mógł wziąć tacę. Znaleźli wolny stolik blisko okna. Obok szumiała autostrada. Pat wcisnął się między mały stolik a jaskrawopomarańczowy parapet. Klnąc pod nosem, zdjął swój elegancki kapelusz marki „Stetson” i położył go obok na wyściełanym krześle.

- Zachowujesz się jak duże dziecko.

- Dzieci nie tetryczą... - wymamrotał, odgryzając kęs cheeseburgera.

Laurie zaczerwieniła się i próbowała udawać irytację.

- Uważaj, co mówisz w moim towarzystwie, panie Pat Bush! Przysięgam, że nie wiem, co się z tobą ostatnio dzieje. Wyraźnie zepsuł ci się charakter.

- Jestem zmęczony. Zmęczony twoim oporem. Sylwester już minął. Jaki tym razem wyznaczysz mi termin? Wielkanoc? Dzień Poległych?

W czasie tej przemowy przechylał się coraz bardziej przez stół.

- Posłuchaj, Laurie: przecież nie chodzi o to, że się nie znamy. Nie wątpisz też w moją miłość. Kocham cię od prawie czterdziestu lat. Gdyby żył Bud, i tak bym cię kochał na swój sposób, po kryjomu. Nawet po jego śmierci zwlekałem. Nie chciałem cię urazić, nie miałem zamiaru wykorzystywać twojego poczucia osamotnienia. W dniu, w którym przyszło

na świat dziecko Lucky'ego, pocałowałem cię na szpitalnym korytarzu. Wiesz, to był chyba najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Ale ukradkowe pocałunki to nie wszystko - mówił dalej. - Siedzenie koło ciebie w kościele, posiłki w twoim domu, odprowadzanie cię... to też niewiele zmienia. A poza tym żadne z nas nie staje się młodsze... - Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała ją ruchem głowy. - Nie chcę już tracić czasu. Pragnę z tobą zamieszkać, widywać cię rozebraną. Kochać się z tobą!

- Psst, Pat! Jeszcze ktoś usłyszy...

- A niech usłyszą, niech ich diabli porwą! Pragnę cię, Laurie. Całej. Przez całe swe dorosłe życie musiałem się tobą dzielić: z moim najlepszym przyjacielem, waszymi dziećmi, wreszcie z każdym, kogo tylko przygarnęłaś pod swe opiekuńcze skrzydła. I teraz, do diabła, nagle poczułem się straszliwym samolubem: chcę się stać ośrodkiem twojego zainteresowania albo... w ogóle już nic nie chcę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Laurie prze-rwała milczenie:

- No, to było niezłe przemówienie!

Odgryzł kawałek zimnego, zapomnianego cheeseburgera.

- Powiedziałem ci wreszcie, co o tym myślę.

- Więc już wiem.

- Więc już wiesz.

Odłamała kawałeczek bułki i zaczęła bawić się okruszkami.

- Pat?...

- Słucham? - spytał ponuro.

- Tak się zastanawiam...

- Nad czym?

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie spod rzęs.

- Czy w twoim łóżku zmieszczą się dwie osoby?

Sage dojeżdżała do obrzeży Milton Point, nucąc do wtóru melodii płynącej z radia. Był zimny, przejrzysty poranek; wiał ostry wiatr z północy.

Dziewczyna jednak była w pogodnym nastroju.

Minęła nowego McDonalda i zastanowiła się nad możliwością zjedzenia tam śniadania. Postanowiła jednak jechać dalej. Tak bardzo zależało jej na przekazaniu braciom dobrych wieści, że chciała jak najszybciej znaleźć się w biurze. Gdy wysłuchają tego, co ma im do powiedzenia, z pewnością zechcą zaprosić ją na wytworny lunch dla uczczenia nowin.

Na długo przed świtem wymeldowała się z motelu, gdzie spędziła kilka ostatnich dni, łącznie z wieczorem sylwestrowym i Nowym Rokiem, potem wyruszyła na północ. Na szczęście udało jej się uniknąć godzin szczytu w Houston i wszystko trwało stosunkowo krótko. Devon, od której pożyczyla auto, gdyż jej własne nadal znajdowało się w Austin, miała nowszy i zrywniejszy samochód. Dystans dzielący Sage od domu szybko się zmniejszał.

A może to tylko złudzenie, że czas płynie szybciej, gdyż poczuła się niebywale podniesiona na duchu. Spotkanie z Belcherem nie mogło wypaść lepiej. Kiedy w końcu zebrała siły, by do niego zadzwonić, doktor usłyszawszy jej głos był nieco zaskoczony, ale tylko tyle. Zapytała, czy może z nim porozmawiać na tematy zgoła niemedyczne. Miał pewne opory, ale ostatecznie zgodził się na popołudniowe spotkanie. Wszystko poszło wyśmienicie.

Sage zjechała z autostrady na przedmieścia miasta i ruszyła dalej wyboistą drogą, prowadzącą do Spółki Wiertniczej Tylera. Auta obu braci stały zaparkowane przed budynkiem firmy, co oznaczało, że obydwaj są już w biurze. Sprawdziła jeszcze makijaż i fryzurę we wstecznym lusterku, a potem wyskoczyła z auta i pobiegła do drzwi.

W biurze panował iście grobowy nastrój. Lucky leniwie podrzucał piłkę baseballową. Chase wpatrywał się z napięciem w filiżankę z kawą. Na widok roześmianej i zaróżowionej Sage, która weszła do biura kołysząc biodrami, obaj ukazali ponure oblicza.

- Cześć, Sage.

- Czołem, mała.
- Cześć! No, coście tacy ponurzy? Mam wspaniałe no-
winy!

- Już wiemy.
- Wiecie o Belcherze?

Lucky zacisnął usta.

- Taaak...

- Nie rozumiem. - Widoczny brak entuzjazmu braci sprawił, że dobry humor Sage prysnął. - Nie powiedział wam, że zgadza się sfinansować prototyp?

- Powiedział - przyznał Chase.

- No to...

Lucky przerwał jej, ciskając z impetem piłkę o przeciwległą ścianę.

- Powiedzieliśmy temu nadętemu sukinsynowi, żeby wsadził sobie swoje pieniądze tam, gdzie słońce nie dochodzi!

Sage cofnęła się o krok i wyszczała:

- Co?! - A zatem całe to zdenerwowanie, urażona ambicja, o której musiała zapomnieć... To wszystko na nic? - Dlaczego?! - krzyknęła ze złością.

- Nie musisz już dłużej przed nami udawać, Sage. Wiemy, co zaszło między tobą a Travisem. Dowiedzieliśmy się, że cię porzucił, a podczas wielkiej fety noworocznej ogłosił zaręczyny z inną dziewczyną.

- Wy... wy... - Nie potrafiła nawet zebrać myśli, a co dopiero ubrać je w słowa.

- Jeśli nasza siostra okazała się nie dość dobra dla tego chuderlawego gnojka, to my nie chcemy śmierdzących pieniędzy jego ojczulka! - Lucky wstał z rozmachem, przewracając krzesło, na którym siedział. - Jak pomyślę, że przez cały czas zwracał ci głowę, żeby w końcu rzucić cię tuż przed świętami... - zaciśniętą pięścią uderzył w rozłożoną dłoń - to mam ochotę zacisnąć ręce na jego delikatnej szyjce. Harlan powiedział...

- Harlan? - Harlan! - Gdzie on jest?

- Śpi w przyczepie - wyjaśnił Chase. - Dzwonił jakiś czas temu i powiedział, że nie spał całą noc, więc... Hej, Sage, dokąd pędzisz?

Dziewczyna wypadła za drzwi i zbiegła po schodach. Wsiadłszy do samochodu wepchnęła kluczyki do stacyjki, wrzuciła bieg i ruszyła, dociskając gaz do dechy. Gnając przed siebie, zapomniała nawet o dziurach na wyboistej drodze. Wreszcie zahamowała przed przyczepą. Auto zarzuciło na śliskiej ziemi. Spod tylnych kół poszybowały w powietrze drobne kamyki.

I tym razem drzwi przyczepy nie były zamknięte na klucz. Nie trując się pukaniem, dziewczyna wparowała do środka i skręciła w lewo. Przez maleńką kuchenkę i wąski korytarzyk dotarła do sypialni.

Harlan leżał w poprzek łóżka, wyciągnięty na brzuchu, z rozłożonymi ramionami i nogami, przykryty lekką kołdrą. Sage złapała poduszkę i walnęła go w głowę.

- Ty gnojku! Śmieciu! Ty nędzna kreaturo!

Przewrócił się na bok, ramieniem zasłaniając głowę przed kolejnymi razami.

- Co, do...

- Zabiję cię! - Sage niezmordowanie tłukła go poduszką. - Jak mogłeś to zrobić?! Wszystko zepsułeś! Złamałeś mi życie. Jak tylko cię poznałam...

Kiedy chwycił ją za ramię i powalił na łóżko, zabrakło jej tchu. Wyrwał jej z rąk poduszkę i cisnął w kąt. Wylądowała na czerwonej ozdobnej lampie nocnej, która spadła z hukiem na podłogę.

- Co się z tobą, do diabła, dzieje?

- Puść mnie!

Zaczęła wierzcąc, kopać i wymachiwać rękami. Nogą przycisnęła do łóżka jej uda. Sage spróbowała kopnąć go kolaniem w krocz. Tylko cudem nie pozbawiła go męskości.

- Przestań! Do cholery, Sage, uspokój się! Co cię napadło?

- Powiedziałeś im! Jak szybko po moim wyjeździe za-

czależ paplać? Wystarczyło, że tylko na moment odwróciłam się plecami i już zawiodłeś moje zaufanie.

- Nie wiem, o co, do diabła... Au!

Ze zdziwieniem zobaczył, że po piersi spływają mu cztery cienkie strużki krwi. Klnąc siarczyście chwycił mocno rękę dziewczyny i przycisnął je do materaca.

- Jeśli jeszcze raz mnie podrapiesz, przysięgam, że pobcinam ci paznokcie.

- Nic mnie to nie obchodzi, możesz nawet ogolić mnie na łyso. Nieważne, co ze mną zrobisz. Już bardziej i tak mnie nie upokorzysz.

- A co ja takiego zrobiłem? No? Przecież nie widzieliśmy się prawie tydzień. - Położył się na niej w poprzek, żeby ją unieruchomić.

Sage zaczęła się wiercić, próbując się oswobodzić. Zmrużyła oczy i powiedziała:

- Czekałeś tylko, aż wyjadę, żeby im wszystko opowiedzieć. Przebiegły tchórz!

- Powiedzieć komu co?

- Naraziłeś mnie na prośenie tego starego bufona o spotkanie. Potem musiałam siedzieć i wysłuchiwać jego przyjacielskich wyjaśnień na temat nieoczekiwanych zaręczyn Trávisa. „Ona towarzyszyła mu od dziecka, Sage”. „Ty z pewnością rozumiesz to, Sage”. „Zawsze wszyscy wiedzieli, Sage, że on i ta młoda dama pewnego dnia się pobiorą”. I gadał tak w kółko, aż myślałam, że zwymiotuję mu na biurko.

Ale w imię przyszłości Spółki Wiertniczej Tylera - mówiła dalej - siedziałam tam spuściwszy oczy, z buzią na kłódkę i potakiwałam wszystkiemu, co powiedział. Miałam ochotę przyznać mu się, jak bardzo się cieszę, że jestem z dala od jego bezwolnego synka i afektowanej, otyłej, apodyktycznej żonusi. Zamiast tego udawałam rozsądną kobietę o złamanym sercu.

Popatrzyła na pochylonego nad nią Harlana.

- Ale warto było to wszystko wytrzymać, bo odeszłam

z obietnicą sfinansowania prototypu. Wydostałam od starego sknery dokładnie to, co chciałam. A ty musiałeś popsuć wszystko, mówiąc moim braciom o Travisie. Naprawdę nie zdawałeś sobie sprawy, jak zareagują? Czy nie domyślałeś się, że poczucie rodzinnej dumy nie pozwoli im pogodzić się z faktem, iż zostałam porzucona? Mam nadzieję, że nie oszczędziłeś im żadnych pikantnych szczegółów. Czy na pewno powtórzyłeś słowo w słowo, co Travis mówił, rzucając mnie?

- Niczego im nie powiedziałem.

Jego spokojne, ale stanowcze zaprzeczenie doprowadziło ją do furii. Znowu zaczęła się szarpać.

- Ależ tak! Wiem na pewno. Jesteś jedyną osobą, która wiedziała.

- Zapominasz, że i Belcher wiedział...

Znieruchomiała i spojrzała na niego zdumiona.

- Co?

- Belcher. Jeśli ktoś powiedział twoim braciom, to zrobił to doktor Belcher, a nie ja. Przysięgam, Sage.

Nie sądziła, że kłamie. Jego oczy były wciąż zapuchnięte z niewyspania, ale we wzroku widać było zdecydowanie. Zwilżyła językiem górną wargę i ze zdziwieniem odkryła kropelki potu. A może słony smak pochodził od łez?

- Ale przecież Lucky mówił, że... coś powiedziałeś... - Sage przypominała sobie, że brat nie skończył zdania. Czy Harlan mówi prawdę?

- Jedyne, co powiedziałem o Travisie w obecności Lucky'ego to to, że nasze opinie na jego temat są zgodne. Twój brat pytał, czy poznałem młodego Belchera, gdy pojechałem po ciebie do Houston. Odparłem, że ominęła mnie ta przyjemność, ale że widziałem go z daleka i wyglądał mi na faceta, którego bardziej interesuje pozycja kobiety w hierarchii społecznej niż jej ulubiona pozycja w łóżku. Potem wymieniliśmy jeszcze parę uwag, których wolałabyś chyba nie słyszeć. Powiedziałem mu też, że gdy dotarłem do domu Belcherów, odbywaliście z Travisem poważną rozmowę. Za-

pytał, czy słyszałem o czym. Nie znoszę kłamstwa, Sage, ale ze względu na ciebie odpowiedziałem, że nie.

Ta rozmowa odbyła się w święta - wyjaśniał dalej. - A więc dość dawno, kiedy nawet nie myślałaś jeszcze o powrocie do Houston i zwróceniu się do Belchera o pieniądze. Jeśli Lucky i Chase wiedzą o zerwanych zaręczynach, to na pewno nie ode mnie - podsumował.

Sage zagryzła wargi. Bezskutecznie próbowała powstrzymać się od płaczu. W końcu łzy popłynęły jej po skroniach, zwilżając włosy.

- Znowu zrobiłam z siebie idiotkę! Nienawidzę cię - wyszeptała z powagą.

- Tak naprawdę w tej chwili nienawidzisz siebie. - Pokiwał smutno głową. Przykro mu było, że przez swój upór i dumę Sage wciąż cierpi. - Nie bądź taka bezwzględna w stosunku do siebie. Każdy człowiek popełnia błędy.

Jedną ręką nadal przytrzymywał jej nadgarstki. Drugą dotknął włosów.

- Ogolić cię na łyso, tak? - Zaśmiał się cicho. Schylił się i koniuszkiem języka złapał łzę spływającą po twarzy dziewczyny, a potem potarł ustami po jej wilgotnym policzku.

- Przestań, co ty wyrabiasz?

- To, na co cały czas czekasz.

- Znowu nie wiem, o co ci chodzi. Jak zwykle mówisz szyfrem. Ty...

- Sage, bądź już cicho.

- Harlan, mówiłam ci, żebyś przestał. Harlan, wystarczy. Naprawdę... Harlan...

Zaczął ją jednak całować. Gdy rozchylił jej wargi i wsunął język, nie potrafiła się opanować i westchnęła z rozkoszy. Jej gniew rozwiął się jak poranna mgła po wschodzie słońca.

Zaczęła mruzczyć jak kot.

Harlan uwolnił dłonie dziewczyny, ale ona zorientowała się dopiero wtedy, gdy wsunął ręce pod jej sweter, rozpiął

stanik i dotknął piersi. Pieścił je czule, trzymając w swych silnych, lecz zarazem delikatnych dłoniach.

Miała teraz wolne ręce, mogła więc odepchnąć go lub podrapać. Nie uczyniła tego jednak, tylko objęła jedną ręką nagie plecy Harlana, a drugą przyciągnęła jego głowę i zbliżyła swe usta do jego. Wsunęła język między jego wargi, delektując się słodkim ciepłem. Gdy przerwali pocałunek, by zaczerpnąć tchu, cmoknęła go lekko.

Pieszczoty Harlana stawały się coraz śmielsze i natarczywsze. Sage poruszała się pod nim niespokojnie. Bez słów uzgodnili, że ma na sobie zbyt dużo garderoby. Harlan uniósł dziewczynę i zaczął zsuwać z niej sweter.

Wtedy dostrzegła, że jest nagi. Mruknęła zdziwiona, lecz on tylko wzruszył ramionami.

- Zawsze śpiam nago - wyjaśnił.

Miał długie, umięśnione ramiona z widocznymi żyłami i owłosioną, szeroką klatkę piersiową. W pasie był wąski. Na jego brzuchu i poniżej widniały bujne, ciemne, kręcone włosy. Odznaczał się wyjątkowo piękną budową ciała.

Nie zdołała powstrzymać stłumionego okrzyku podniecenia.

Gdy się położyła, poczuła na plecach przyjemny chłód prześcieradła, które pachniało tak samo jak Harlan. Nie zdążyła się jednak przykryć, gdyż chłopak pochylił głowę nad jej piersiami, zaczął drażnić brodawki językiem i chwycić je wargami. Sage poczuła w dole brzucha ogromne pragnienie, a przez całe jej ciało przebiegła fala pożądania.

Gdy pieścił jej pobudzone brodawki, wygięła się i zaczęła bezwstydnie jęczeć. Całowała go w opuszki palców. Nagle przywarł do niej. Odwzajemniła mu się i zanurzyła dłonie w złocistym gąszczu na jego torsie.

- Zanim znowu poleje się krew, lepiej zdejmijmy resztę tych twoich ubrań - rzucił żartem, lecz jego oczy promieniowały blaskiem i powagą.

Jej oczy musiały wyglądać podobnie, pomyślała.

Gdy położyła się koło niego rozebrana, zaczął się w nią wpatrywać. Westchnął cicho.

- Boże... Jest na co popatrzeć, panno Sage.

Znowu zaczął ją całować i zatraciła się w rozkoszy. Otrzeźwił ją dopiero dotyk palców wewnątrz jej wrażliwego ciała.

- Harlan, zrobisz mi krzywdę - wyszeptła bez tchu.

Unióśł głowę i spojrzał pytająco.

- Krzywdę? Za kogo ty mnie masz? Nie ośmieliłbym się ciebie skrzywdzić. - Uśmiechnął się czule i pocałował ją, po czym ulokował się pomiędzy jej udami.

Poczuła aksamitny dotyk męskiego brzucha, a w chwilę później Harlan zagłębił się w niej.

Jęknęła cichutko.

Zesztywniał, uniósł głowę, otoczył dziewczynę ramionami i napierał coraz mocniej. Spojrzał jej w oczy. W jego wzroku wyczytała zdumienie i niepewność.

Potem zacisnął powieki i zaklął.

Przez dłuższą chwilę nie odzywał się ani nie poruszał, co wreszcie zaintrygowało Sage. Wsunęła mu ręce pod pachy i objęła go.

- Nie... nie ruszaj się- szeptał przez zacisnięte zęby. Otworzył oczy. - Bo widzisz, kochanie... ty jesteś taka... mała. - Westchnął. - Och... taka malutka... - Pochylił głowę i spojrzał na jej piersi. - I taka... piękna - dodał ochryple.

Ujął w dłoń jędrną pierś. Kciukiem zaczął pieścić delikatną, zaróżowioną brodawkę. Sage zareagowała natychmiast, przywierając doń jeszcze mocniej swym wnętrzem.

- Sage... - jęknął, znowu się pochylając. Objął ją w talii i uniósł ku sobie. Wtulił twarz w szyję dziewczyny, zębami skubał delikatnie jej skórę.

Sage czuła w sobie drgania jego ciała. Było to niewiarygodne przeżycie. Nie wiedziała tylko, czego oczekuje od niej. Starła się więc leżeć nieruchomo. Jednak ciało sprzeciwiło się tym zamiarom. Oplotła Harlana nogami, rękoma obejmując jego umięśnione plecy.

Po doznanym przeżyciu Harlan znów znieruchomiał. Później powoli wypłatał palce z włosów Sage i odsunął się na skraj łóżka, wsparłszy łokcie na kolanach. Twarz ukrył w dłoniach. Potem ze wzrokiem wbitym w podłogę szeptał obelgi pod własnym adresem.

Gdy wszystko się skończyło, do Sage dotarł pełny sens tego, co zrobiła. Pośpiesznie zgarnęła ubranie i wsunęła się do małej łazienki.

Niewiele mogła poradzić na ślady, które widniały wokół ust i na szyi. To, co miała na piersiach, nie będzie widoczne. Spłukała twarz zimną wodą. Umyła się, ubrała i przeczesowała rękami włosy, próbując doprowadzić je do jakiegoś takiego porządku. Pędząc tu w furii, zostawiła torebkę w aucie i teraz nie mogła już zrobić nic więcej.

Przez dłuższą chwilę ścisnęła w rękę klamkę. Starła się w ten sposób zebrać siły przed powrotem do sypialni, gdzie po każdej stronie łóżka było nie więcej niż trzydzieści centymetrów wolnej przestrzeni, więc niezależnie od tego, gdzie się znajdzie, musi stanąć twarzą w twarz z Harlanem.

Raczej brzuchem w twarz, bo chłopak niezmiennie tkwił na krawędzi łóżka. Zdążył już jednak założyć dzinsy. Sage pomyślała, że musi być chyba najbardziej rozwydrzoną kobietą w historii rodzaju ludzkiego, bo Harlan ze zmierzwiionymi włosami, odsłoniętym torsem i bosymi stopami wydał jej się wyjątkowo pociągający. Poczuła we wnętrzu jakiś dziwny skurcz i choć nie zdołała jeszcze skarcić się za wszystko, co już się stało, zapragnęła ponowienia przeżytego właśnie doświadczenia.

- Sage... - zaczął Harlan, unosząc ręce w rozpaczliwym geście. - Nie wiem, co powiedzieć.

- To dobrze, bo ja wcale nie chcę o tym mówić. Muszę już iść. Do widzenia.

Wymknęła się za drzwi i ruszyła korytarzem. Dogonił ją w kuchence i spojrzał w twarz.

- Musimy porozmawiać.

Uparcie potrząsnęła głową.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że jesteś... że nigdy... że byłem pierwszy?

- To przecież nie twoja sprawa.

- Dotąd nie, ale od dziesięciu minut - tak.

- I tylko przez tę jedną chwilę.

- Dolega ci coś? - Dotknął jej pogryzionej wargi. - O Boże, Sage, mogłem cię przecież zranić.

- Ale tego nie zrobiłeś, więc przestań udawać winnego.

- Czy ty... - przełknął głośno ślinę - krwawisz?

Zakłopotana i rozgniewana, opuściła wzrok.

- To tobie leci krew. - Na piersi miał nadal cztery czerwone pręgi. - Przykro mi, że ci to zrobiłam.

Machnął niedbale ręką, dając do zrozumienia, że lekceważy ślady jej paznokci.

- Muszę wiedzieć, że nic ci nie jest!

- Nic! - wykrzyknęła ochryplym głosem. Zamiast okazać, jak bardzo czuje się poruszona, zaczęła się złościć. - Myślałam, że będziesz teraz piszczał z radości. Bo masz się chyba czym rozkoszować, co?

Wyrwała mu się i wyszła z przyczepy. Miała przemożną ochotę puścić się pędem, ale nie zrobiła tego, zdecydowana zachować choćby odrobinę godności. Nie ociągała się jednak z odejściem. Harlan, stojąc w otwartych drzwiach przyczepy, obserwował, jak się oddala. Miał nie ogoloną twarz i ponure spojrzenie.

Unikając spojrzenia na niego, Sage wsiadła do auta i skierowała się na drogę. Nie ujechała jednak daleko. Na szosie w jednej z firmowych ciężarówek ujrzała Chase'a.

- Sage! - zawołał przez uchyloną szybę. Pomachał do niej ręką. - Co się dzieje? Czemu uciekłaś z biura?

Miała bardzo ograniczony wybór. Mogła jedynie wybuchnąć płaczem albo też wyznać starszemu bratu, iż obawia się, że zakochała się w niewłaściwym człowieku. Mogła również pokryć swe rozterki bezczelnością.

Ponieważ dwa pierwsze rozwiązania nie wchodziły w grę, posłała bratu wymuszony uśmiech.

- Zawiodły mnie nerwy.

- Z powodu Belchera?

- Pośrednio. Widzisz, sądziłam, że to Harlan powiedział wam o mnie i o Travisie.

- Skąd ten pomysł?

- Tamtej nocy, gdy przyjechał po mnie do Houston, podśledła naszą rozmowę. - Nerwowo oblizwała wargi. Poczowała smak ust Harlana. Czy ślady dawały się zauważyć, tak jak mleko pod nosem? - Napadłam więc na niego, ale on twierdzi, że nic wam nie mówił.

- Bo nie od Harlana dowiedzieliśmy się o tym. Dziś rano zadzwonił doktor Belcher i oznajmił, że bardzo cieszy go fakt, iż będziemy współpracować, pomimo twojego zerwania z Travisem. Zupełnie zgłupiałem, a następnie poprosiłem go o bliższe wyjaśnienia.

- Z pewnością przedstawił mnie jako stronę poszkodowaną w trójkacie miłosnym?

- Coś w tym rodzaju.

- Więc się pomylił!

Chase zawahał się. Przypatrywał się siostrze z uwagą, jakby chcąc ocenić szczerść jej słów.

- Czemu nam nic nie powiedziałaś, Sage? Po co udawałaś przez te wszystkie tygodnie, że nic się nie wydarzyło?

- Bo nie chciałam wciągać w moje problemy całej rodziny. To przysłoniłoby ważność przyjscia na świat Jamiego. Popsułam wam święta i nic nie osiągnęła, poza tym, że wszyscy czuliby się nieswojo.

- Powinnaś była nam zaufać - oświadczył miękko brat. - Od tego ma się rodzinę. Jeśli jednemu z nas coś się przydarzy, wszyscy bierzemy to sobie do serca. Wiesz o tym dobrze. - Zaśmiał się. - Od telefonu Belchera Lucky cały czas grozi, że pojedzie do Houston i stłucze Trávisa na kwaśne jabłko.

Dziewczyna wzniosła oczy do nieba.

- To chyba lekka przesada.

- Wystarczy jedno twoje słowo i pojedziemy obaj.

Ogarnęła ją tkliwość. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, lecz pokręciła przecząco głową.

- Nic podobnego nie zrobicie, ale dziękuję, że o mnie myśleliście.

- Mama dostanie ataku apopleksji.

- O Boże! Masz rację, Chase. Drzę na myśl o tym, że muszę jej powiedzieć prawdę. Na pewno zechce poić mnie gorącą herbatą i wypchać dodatkowe posiłki.

- Nie sprzeciwiaj się jej. Lepiej się poczuje, gdy będzie się mogła nad tobą poroztkliwiać. - Wychylił się z okna ciężarówki, a siostra wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Na pewno wszystko gra? - zagadnął.

- Nie martw się o mnie. Nie złamał mi serca, wbrew temu, co można by przypuszczać.

- Cieszę się, że tak mówisz. Travis to niewiele wart facet.

- To prawda. Ale głupio straciliśmy kontakty doktora Belchera w świecie biznesu.

Pokręciła głową z dobrze znanym jej uporem.

- Nie ma o czym mówić. Obejdziemy się bez pomocy Belcherów. Piękne dzięki.

Postawa braci sprawiła jej satysfakcję, choć nie uważała ich decyzji za najmądrzejsze posunięcie. Doceniła jednak ich lojalność i poczuła się jeszcze silniej związana z rodziną.

Uścisnęła dłoń Chase'a.

- Jadę teraz do domu. Wyjechałam z Houston o świcie. Chcę się przespać.

- Rzeczywiście wyglądasz na skonaną. Jeśli chciałybyś porozmawiać z jakąś kobietą, to pamiętaj, że Marcie jest wdzięczną słuchaczką.

- Nie chcę drażnić tego wszystkiego. Wolę to raczej potraktować jako złe doświadczenie, które już należy do przeszłości.

Chase nadal miał wątpliwości. Czuł, że coś gnębi siostrę, ale nie mógł pojąć istoty sprawy.

- Jedź więc i prześpij się trochę.

- Właśnie taki mam zamiar. Trzymaj się.

Podniosła szybę, pomachała dłonią i odjechała. Wróciwszy do domu z zadowoleniem stwierdziła, że nie ma nikogo. Laurie i Devon poszły pewnie na spacer. Sage wspięła się po schodach, jedną ręką przytrzymując się wypolerowanej poręczy, drugą zaś ciągnąc walizkę. Instynktownie skierowała się do swego dawnego pokoju, zapominając, że mieszka tam ktoś inny. Dopiero po chwili wróciła do pokoju gościnnego.

Po kąpieli zaczęła przyglądać się sobie badawczo w wielkim lustrze zawieszonym na drzwiach łazienki. Wyglądała tak samo jak zwykle. Niemożliwe! Przecież czuła się zupełnie odmieniona. Zagadkę stanowiła dla niej niezauważalność tak intensywnych przeżyć.

Najbardziej jednak zdumiewało ją, czemu pozwoliła, by to stało się właśnie z Harlanem Boydem. Wielu młodych mężczyzn usiłowało ją uwieść na różne sposoby, czasami wręcz śmieszne, innym razem romantyczne.

Rzuciła się na łóżko.

Harlan bez większego wysiłku osiągnął to, o co wielu chłopców zabiegało bezskutecznie.

Przedtem nigdy nie wydawało się jej to właściwe. Rzecz jasna, Travis również prosił o to. Zaproponował nawet, by wynajęli mieszkanie. Pragnął „ulepszyć kontakty prywatne”, jak to określił. Sama nie wiedziała, czemu właściwie mu odmawia, więc całymi miesiącami wykręcała się sianem. W końcu przestał nalegać.

A potem przyplątał się ten błękitnooki włóczęga. Straciła głowę, gdy tylko na nią spojrział. To przecież nie miało najmniejszego sensu! Harlan uosabiał wszystko, czego zamierzała uniknąć w związku z mężczyzną. Uważała, że bardzo ważna jest zamożność kandydata na partnera - Boyd nie miał w zasadzie żadnych środków utrzymania. Lubiła wielkomiejski blichtr - Boyd zaś był zdecydowanie prowincjonalny.

W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin poniżyła się przed doktorem Belcherem, zawiła swe pierwsze przed-

sięwzięcie na rzecz firmy i przespała się ze współpracownikiem.

- Całkiem nieźle, Sage - wymamrotała z sarkazmem w poduszkę.

Może Harlan miał rację mówiąc, iż jest wobec siebie zbyt surowa. „Błądzić to rzecz ludzka”. Może w tym sensie jest nawet bardziej ludzka niż otaczający ją ludzie. Wszelkie zło ma swoje dobre strony.

Choć wyprawa do niedosłęgo teścia kosztowała Sage wiele samozaparcia, jej odwaga, by stanąć z nim twarzą w twarz wkrótce po odrzuceniu przez Trávisa, wywarła na doktorze dobre wrażenie. Dziewczyna potrafiła też przekonać go, że system nawadniający, który zachwala, jest opłacalny. Zdołała zaprezentować go w taki sposób, że Belcher przekonał się do pomysłu i z entuzjazmem zgodził się w niego zainwestować. Umowa przepadła z powodu urażonej ambicji braci Sage, nie zaś z braku zdolności dziewczyny do prowadzenia negocjacji.

O tym, co zaszło rankiem, wiedział tylko Harlan i ona sama. Była pewna, że nie wspomni o tym nikomu w obawie przed utratą pracy i przyjaźni braci.

Będzie więc musiała zacisnąć zęby i znosić dobre samopoczucie przypadkowego kochanka, co nie powinno chyba sprawiać jej szczególnych trudności, gdyż - jeśli wszystko dobrze pójdzie - zacznie podróżować w interesach, przez co zyska szansę na unikanie Harlana.

Otuliła się szczerzej kołdrą. Starła się podtrzymać promyk nadziei. Teraz, gdy wszyscy wiedzieli już o zerwanych zaręczynach - bo bracia z pewnością donieśli o tym matce i żonom - mogła się wreszcie odprężyć. Konieczność ukrywania prawdy nie będzie już nad nią wisiała niczym gradowa chmura.

Tak jak powiedziała Chase'owi, pragnęła oderwać się od przeszłości i zacząć życie od nowa. Wyznaczyła sobie cele, które nie tylko pomogą jej zapomnieć o przykrościach, lecz przyniosą także korzyści rodzinnej firmie.

Podczas lat studiów brakowało jej domu rodzinnego, najbliższych. Teraz mogła zająć się rozpieszczaniem nowych członków rodziny. Matka na pewno z radością przyjmie taką przemianę córki. Wszystko będzie jak za dawnych dobrych lat. Mama zawsze zdradzała chęć do rozpieszczania Sage. Pokrzepiona tymi myślami, zapadła w sen.

Zbudził ją smakowity zapach pieczonego mięsa. Poczowała wilczy głód. Przypomniała sobie, że od blisko dwudziestu czterech godzin nie miała niczego w ustach. Ubierając się zauważyła, że słońce zachodzi. Przespała więc prawie cały dzień. Pomimo porannych wydarzeń czuła się świeża i odprężona. Otworzyła drzwi sypialni i ruszyła na dół.

Po drodze spotkała wchodzącego na górę Harlana. Zamarła. On również się zatrzymał. Popatrzyli sobie w oczy. Sage poczuła się raptem zmieszana pod wpływem jego wzroku. Na szczęście po chwili przesunął spojrzenie na inne rejony jej ciała, a w jego oczach dostrzegła błysk pożądania.

Zmusiła się, by pójść dalej. Przecież oboje mieszkają pod jednym dachem. Takie sytuacje mogą zdarzać się często. Obecność Harlana nie może uczynić z niej więźnia własnej sypialni. Czyj to w końcu jest dom - jego czy jej?

Zamierzała minąć go szybko, mamrocząc tylko coś na powitanie. Niestety, stało się inaczej. Gdy znalazła się o stopień wyżej, uniósł ręce i zatrzymał ją. Jego dłonie spoczęły na biodrach dziewczyny, a palce powędrowały po wypukłościach ku plecom.

- Sage? - Popatrzył na nią z pokorą. - Czy wszystko w porządku, kochanie?

Jego miękki, poważny głos wystarczył, by znów znieruchomiała. Harlan nie musiał już używać rąk. Sage przypomniała sobie z całą wyrazistością poranne wydarzenie. Miała ochotę paść mu w ramiona i błagać, by nie rozluźniał objęć. Powstrzymało ją jednak to, co dostrzegła w jego oczach: litość.

- Przepraszam - rzekła chłodno. Odepchnęła go i zbiegła po schodach, nie oglądając się już za siebie.

- Mamo?

- Jestem tutaj! - zawołała Laurie z kuchni.

Rozgrzany piecyk sprawił, że miała zaczerwienione policzki. Na flanelowe spodnie i sweter narzuciła stary fartuszek. Ale właśnie taka wydała się Sage najpiękniejsza.

- Tak się cieszę, że wróciłaś. - Wyciągnęła ręce i Sage znalazła się w matczynych objęciach.

- Dobrze mi tu, mamo.

Nie przestawały się obejmować, gdyż obie czuły potrzebę wzajemnej bliskości. Znajomy zapach perfum Laurie przypominał Sage dziecięce lata. Pragnęła ciepła i odnalazła je właśnie tam, gdzie zawsze mogła na nie liczyć.

Gdy w końcu stanęły obok siebie, powiedziały:

- Wiem, że Chase i Lucky zdążyli ci już powiedzieć o Travisie...

- To prawda.

- Chcę cię zapewnić, że wszystko jest w porządku. Najpierw czułam się trochę zawiedziona, ale szybko mi to przeszło.

- Założę się, że byłaś raczej rozgniewana, a nie rozczarowana. Chyba bardziej niż samo zerwanie zabolął cię fakt, że to on zdecydował się na coś takiego.

- Jak dobrze mnie znasz, mamo...

- Cieszę się, że tak się stało - oznajmiła Laurie, sprawdzając, czy ziemniaki są już miękkie. Przykryła garnek i odwróciła się do córki: - Potrzebujesz kogoś silniejszego niż Travis Belcher.

Sage poczuła skurcz serca. Doskonale wiedziała, że Harlan jest silny, a przy tym delikatny. Przepełniony pożądaniem, lecz dający wiele. Na samo wspomnienie chwili, kiedy czuła go w sobie, zrobiło się jej słabo. Wcześniej myślała głupio, że to musi być miłość, a przecież wytłumaczenie było prostsze: Harlan jest po prostu dobry w łóżku.

Odwróciła się, by matka nie dostrzegła jej zaróżowionych

policzków. Nie mogła wytłumaczyć rumieńca „staniem przy kuchni”.

- Na czyją cześć szykujesz tę ucztę? - zapytała.

- Zaprosiłam na obiad Chase'a i Marcie.

Sage jęknęła.

- Ale nie urządzimy chyba przy okazji stypy w związku z końcem mojego romansu?

- Nic z tych rzeczy!

- Mamo, naprawdę nie potrzebuję niczyjego współczucia!

- Chase już to wszystkim wyjaśnił. A teraz przestań gadać i pomóż mi nakryć do stołu.

Akurat gdy skończyły przygotowania, Devon przyniosła na dół Lauren i posadziła ją na wysokim krzeselku, żeby mała mogła obserwować, jak jedzenie wędruje na półmiski. Z pracy wrócił też Lucky, pocałował na przywitanie żonę i córkę, a potem przeprosił i wymknął się na górę wziąć prysznic. Po drodze zajrzał do kuchni.

- Żyjesz jeszcze, mała? - Sage pokazała mu język, na co Lucky się rozpromienił. - Wygląda na to, że wszystko po staremu!

Pat przybył równocześnie z rodziną Chase'a. W ogólnym zamieszaniu Sage nie zauważyła pojawienia się Harlana. Zorientowała się dopiero, gdy wpadła na niego. Pośladkami otarła się o jego uda.

Pomrukując z zadowolenia, przytulił ją.

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

Sage miała zajęte ręce, niosła salaterkę pełną jedzenia. Pośpiesznie oderwała się od niego i ukryła w jadalni. Dotyk Harlana wytrącił ją z równowagi. Ciągłe jeszcze czuła jego dłonie na ciele, a niski, poufaly ton jego głosu przywoływał na myśl słowa, które szeptał, gdy byli tylko we dwoje.

Wszyscy zebrali się przy stole. Sage z konsternacją zauważyła, że przypadło jej miejsce koło Harlana. Pośród woni

pieczeni, duszonych na maśle jarzyn i domowych bułeczek Laurie poczuła lekki zapach jego wody kolońskiej.

Z trudnością śledziła toczącą się przy stole rozmowę. Nie pozwalała jej na to bliskość Harlana. Wielokrotnie zetknęli się pod stołem kolanami. Otarli się też dłońmi, sięgając jednocześnie po sól.

Dziewczyna dyskretnie obserwowała, jak Harlan trzyma srebrne sztucce. Widok jego rąk sprawiał, że przenikały ją fale gorąca i zimna. Gdy chłopak wycierał serwetką wargi, przypomniała sobie, że podobnie pocierał ustami naprężone do bólu brodawki jej piersi, po czym wsysał je w głąb swych wilgotnych, ciepłych ust.

Wszyscy zachowywali się zwyczajnie. Sage wyczuwała jednak, że rodzina obserwuje ją uważnie, jakby w obawie, iż obojętność dziewczyny po przykrym niewątpliwie przeżyciu to tylko poza, a tak naprawdę w każdej chwili grozi jej psychiczne załamanie.

Nie mylili się w zasadzie, ale nie znali prawdziwej przyczyny jej niepokoju. Nie orientowali się, że jej napięcie, sztuczny uśmiech i nienaturalna, nerwowość nie mają nic wspólnego z Travisem. Rzeczywistym powodem stresu był siedzący obok mężczyzna.

Sage pochłaniała z udawanym apetytem dania, na które w ogóle nie miała ochoty. Czuła narastające podniecenie. Właściwie chciała tylko... Harlana, leżącego na niej ciężkiego, nagiego ciała.

Pat zaskoczył wszystkich, gdy pałaszowali wyśmienity tort czekoladowy, popijając go obficie kawą. Podniósł się nagle i zaczął widelczykiem uderzać o szklanekę. Wszyscy umilkli i popatrzyli na niego z ciekawością.

- A więc... Laurie postanowiła, że to ja... ja mam was o tym powiadomić...

- Jezu, Pat! - wykrzyknął Lucky. - Ostatni raz wyglądałeś tak ponuro, gdy informowałeś nas, że oficjalnie oskarżono mnie o podpalenie.

Przy stole rozległ się chóralny wybuch śmiechu. Pat nie

przyłączył się jednak do ogólnej radości. Wydawało się raczej, że ciężko mu oddychać. Poluźnił kołnierzyk.

- Nie. Tym razem to coś zupełnie innego. To... Bo widzicie... my... to znaczy Laurie i ja...

Laurie podniosła się z krzesła i stanęła obok szeryfa, otaczając go ramieniem.

- Pat usiłuje wam właśnie powiedzieć, lecz czyni to wyjątkowo nieporadnie, że oświadczył mi się, a ja go przyjąłam.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu! - wykrzyknął Pat.

- Człowieku! - Lucky pierwszy poderwał się z krzesła. - Nareszcie mi ulżyło. Bo już się obawiałem, że zanim zdecydujesz się na ślub, przyłgnie do mamy reputacja damy lekkich obyczajów.

- Jamesie Lawrence! - zaprotestowała Laurie.

Uciszył protesty matki, biorąc ją w objęcia. Po chwili Chase odsunął brata i także wyściskał Laurie. Devon i Marcie obcałowywały Pata, ocierając ukradkiem łzy wzruszenia. Harlan przyłączył się do gratulacji, uścisnął dłoń szeryfa i przytulił Laurie.

W końcu wstała i Sage. Podeszła do rozchichotanej pary „starszych państwa”. W ich miłość nie można było wątpić.

Najpierw uściskała Pata.

- Taka jestem szczęśliwa, że wreszcie oficjalnie będziesz członkiem naszej rodziny. Ale zdajesz sobie sprawę, że my wszyscy jesteśmy trochę puknięci. Czy na pewno wiesz, na co się decydujesz?

- Do diabła, na pewno! - odrzekł, czule odgarniając pukiel jej włosów.

Gdy dziewczyna odwróciła się do Laurie, matka spojrzała na nią z niepokojem.

- Wiem, że to nie najlepszy moment dla ciebie, Sage.

- Ale najlepszy dla was. I dlatego w ogóle najlepszy. Pat czekał na ciebie od lat.

- Wiedziałaś?

- A jakżeby inaczej?! - wykrzyknęła. - Przecież nie jesteś my gromadą tępaków... No, może z wyjątkiem Lucky'ego...

- Wszystko słyszałem! - oznajmił zainteresowany, starając się przekrzyknąć płacz córki.

Sage objęła matkę, zaciskając mocno oczy, aby powstrzymać łzy. Za nic na świecie nie chciała, by rodzina zauważyła, że planowana uroczystość stanowi dla niej kolejną kroplę goryczy. Ile jeszcze ją czeka? Która przepełni wreszcie kielich?

Ślub Laurie odbył się dwa tygodnie później, mimo narzekań synowych, które uważały, że wszystko dzieje się zbyt szybko.

- Zlitujcie się nad panem młodym - parował protesty Chase.

Wtórował mu Lucky:

- Biedny Pat wygląda, jakby miał za chwilę eksplodować.

Mimo żartów, na jakie pozwolili sobie tuż po oświadczeniach Pata, Lucky, jak i reszta rodziny wiedzieli doskonale, że matka nigdy nie przepałaby się z mężczyzną, nie będąc jego żoną. Nie uczyniłaby wyjątku nawet dla Pata, którego kochała tak mocno.

- Laurie i Pat! Zaprosiliście tu dzisiaj rodzinę i przyjaciół, by w ich obecności ślubować sobie wzajemną miłość.

Pastor znał państwa młodych od lat. Ich ślub radował go tak samo, jak gości zgromadzonych w kościele.

Sage, pełniąc w czasie ceremonii rolę drużby matki, starała się usilnie skoncentrować na słowach pastora. Jej wzrok wędrował jednak ponad ramieniem Pata i kierował się na mężczyznę siedzącego w drugiej ławie.

Harlan również nie śledził przebiegu ceremonii. Obserwował Sage. Gdy tylko się odwracała, natychmiast napotykała jego wzrok. Oczy chłopaka zdawały się podążać za nią wszędzie; wydawało jej się wręcz, że widzą nawet jej myśli.

Nie dawał Sage żadnych znaków, czuła się jednak niepewnie, przeszywana jego przenikliwym spojrzeniem. Obawiała się, że Harlan zobaczy zbyt wiele, dostrzeże rzeczy, które pragnęła zachować w tajemnicy.

Unikała go przez ostatnie dwa tygodnie; sytuację ułatwiał

jej fakt, że pochłonięta była przygotowaniami do ślubu, podobnie jak i bratowe.

Harlan spędzał większość czasu w garażu, pracując nad prototypem. Nie przeszkadzał mu nawet wszechobecny chaos poprzedzający zaślubiny. Sage dostrzegła, że schudł i zmienił się na twarzy. Początkowo przypuszczała, że tak jej się tylko wydaje. Później usłyszała, że Laurie czyni mu wyrzuty z powodu ciągłego zarywania nocy, przepracowania i niechęci do jedzenia.

Tego ranka wokół ust Harlana uwydatniły się głębokie bruzdy. Wyglądał wszakże jeszcze przystojniej niż zwykle. Był porządnie ubrany i uczesany. Nosił wprawdzie swe codzienne kowbojskie buty, lecz dzisiaj lśniły od pasty. Choć zamiast marynarki ubrał się w kurtkę wojskową, to odprasował starannie ciemne spodnie i uczcił święto założeniem krawata. Miał wykrochmaloną śnieżnobiałą koszulę, która podkreślała opalenizną twarzy.

Podczas krótkiej ceremonii Sage, wbrew własnej woli, czuła się zelektryzowana wzrokiem Harlana.

Sukienka z angory zaczęła wydawać się jej za ciepła i zbyt obcisła*. Ciężły jej wyszywane paciorkami rękawy. Z drugiej strony wiedziała, że w miodowym kolorze jest jej do twarzy.

Wyglądała doskonale, choć samopoczucie psuła jej myśl, że Harlan może dojść do wniosku, iż to na jego cześć tak się wystroiła. Wolała umrzeć, niż dać mu powód do przypuszczeń, że pragnie zwrócić jego uwagę. Patrzył na nią jednak tak zachłannie, iż bez trudu dało się zauważyć, że bardzo podoba mu się całość - zarówno kreacja Sage, jak i to, co kryje się pod nią.

- Pat, a teraz możesz ucałować żonę - rzekł pastor.

Sage napływały łzy do oczu. Przypatrywała się, jak zwalisty szeryf, z podejrzaną błyszczącymi oczami, obejmuje matkę i całuje ją. Dziewczyna przypomniawszy sobie cierpienia Laurie wywołane długą chorobą ojca, a potem jego śmiercią. Matka bez wątplenia zasłużyła sobie na szczęście. Widać było, że

przepełnia ją miłość do Pata. Gdy odwróciła się ku zgromadzonym, jej twarz promieniała radością.

Na Sage czekało w domu mnóstwo obowiązków. Najszybciej więc, jak tylko się dało, opuściła w towarzystwie Devon mury kościoła. Już wcześniej obie udekorowały dom kwiatami, zielenią i świeczkami. Przygotowały też wszystkie potrawy, z wyjątkiem zamówionego w cukierni imponującego, piętrowego tortu weselnego.

Po przybyciu goście obsypali młode gospodynie pochwałami. Pokoje wypełnił śmiech i gwar. Zapowiadał się radosny dzień.

Rwetes towarzyszący przyjęciu bardzo odpowiadał Sage, która ceniła ostatnio sytuacje wymagające od niej nieustannego zajęcia. W ten sposób mogła trzymać się z dala od Harlana i myśleć o aktualnych sprawach.

Nim zauważyła, że przyjęcie dobiegło końca, wszyscy zebrawali się na ganku, by pożegnać wyjeżdżających nowożeńców. Laurie kolejno podchodziła ucałować każde ze swoich dzieci. Wreszcie przygarnęła do siebie całą trójkę. Gdy wygłaszała słowa pożegnania, oczy miała pełne łez.

- Kocham was najbardziej na świecie. Dziękuję wam. Jesteście cudownymi dziećmi. Jestem wam wdzięczna, że cieszy was moje szczęście.

- Pat, lepiej już ją stąd zabierz - zauważył uszczypliwie Chase. - Bo za chwilę rozplynie się we łzach.

Pośród śmiechu i powodzi najlepszych życzeń Pat zdołał doprowadzić swą świeżo poślubioną małżonkę do jej auta - nie mogli przecież wyruszyć w podróż poślubną samochodem służbowym szeryfa. Za chwilę odjechali, obsypywani garściami ryżu.

Wkrótce goście weselni zaczęli się rozchodzić i pozostała tylko rodzina. Maluchy usnęły na górze, a panowie rzucili się ochoczo do pomocy przy zmywaniu fury naczyń.

Gdy wszystko zostało doprowadzone do porządku, rodzina zgromadziła się wokół kuchennego stołu na małą przekąskę.

- Tort weselny i słodczyce nie zaspokoją mego głodu -

oświadczył Chase, układając plastry szynki i ementalera na kromkach razowego chleba.

- Szkoda, że nie zapakowaliśmy im na drogę czegoś pożywnego - zauważyła Devon. - Przecież jedli najmniej ze wszystkich, a czeka ich długa podróż.

Nowożeńcy zamierzali dotrzeć do Nowego Meksyku, gdzie w wyższych partiach gór leżał śnieg. Nie chcieli jednak jeździć na nartach, a tylko napawać się sobą i przepiękną scenerią za oknami przytulnego apartamentu w górskim pensjonacie.

- Chyba żartujesz? - zarechotał Lucky. - Prawdopodobnie zatrzymali się na nocleg jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. Myślę, że Patowi starczyło cierpliwości najwyżej do jednego z moteli przy autostradzie między stanowej.

- A ja myślę, że mają wiele powodów do czekania na romantyczną scenerię - oświadczyła Marcie, zerkając na Devon i Lucky'ego.

Lucky ścisnął ramię żony.

- Niech to diabli, Marcie. Chyba masz rację...

Devon nie lubiła pozostawać dłużna. Bez wahania uwiesiła się na szyi męża i zaczęła go namiętnie całować. Gdy w końcu puściła go, z trudem łapał oddech.

- Uwielbiam wesela! - oznajmił. - Kobiетки na ogół zaczynają wtedy pokazywać rogi.

Sage rzuciła nerwowe spojrzenie Harlanowi, który obserwował ją nieruchomym wzrokiem leśnego drapieżnika. Dziewczyna podeszła do lodówki, żeby napełnić szklanek. Trudniej ustrzelić zwierzynę, jeśli się porusza, pomyślała z przekąsem.

Chase jęknął:

- I co mi z tego, że Marcie nagle zacznie pokazywać rogi?

- No tak. To chyba jedyna niedogodność przy porodach. Długo jeszcze? - zapytał ze współczuciem Lucky.

- Dwa tygodnie. Odliczam - odparła Marcie, kładąc po-

ciesząc ręce na ramionach męża, który pochylił się i oparł głowę na jej piersi.

- Śluby i kobiety - snuł rozmarzonym tonem - łączy muzyka organowa. Przypomina dźwięki, które te ostatnie wydają w akcie miłosnym.

Sage wypuściła z rąk szklankę, która upadła z hukiem na podłogę i roztrzaskała się. Mleko zachlapało jej buty i pończochy.

Marcie spojrzała Chase'owi w twarz.

- Jak ci nie wstyd? Speszyłeś swoją siostrę, i wcale się jej nie dziwię.

Lucky wybuchnął głośnym śmiechem, łapiąc się za brzuch.

- To ci się udało, braciszku. Szkoda, że sam na to nie wpadłem.

Devon i Marcie starały się stłumić śmiech.

Sage nie miała odwagi zerknąć w kierunku Harlana. Taka rozmowa mogła rozbawić jedynie szczęśliwe pary małżeńskie, które czuły się swobodnie, żartując na ten temat. Dla dwojga ludzi ukrywających wstydlivy sekret było to jednak torturą.

Dziewczyna zaczęła wycierać rozlane mleko ścierką do naczyń i natychmiast się skaleczyła. Tkwiła jednak dalej pochylona nad białą mazią i nagle ujrzała tuż przed nosem czubki znanych sobie butów.

Harlan przykucnął koło niej i zaczął zbierać większe kawałki szkła.

- Pomogę ci.

- Dziękuję, nie trzeba.

Złapał ją za rękę.

- Skaleczyłaś się.

- To drobiazg - oznajmiła, podrywając się. - Idę na górę się przebrać.

Wbiegła po schodach, zrzuciła suknię, pończochy i pantofle. Założyła najstarsze dzinsy, buty do jazdy konnej i grubą kurtkę. W apteczce znalazła plaster, opatrzyła rękę i wciągnęła ciasne skórzane rękawiczki. Po chwili zbiegała na dół, trzymając w ręku prezent gwiazdkowy - nową szpicrutę...

- Idę pojeździć - oświadczyła, przemierzając zdecydowanym krokiem kuchnię.

- Teraz?! - zdziwił się Chase, spojrzawszy za okno. - Zaraz się ściemni.

- To nie potrwa długo.

Zanim pozostali zdążyli ją powstrzymać, wypadła tylnymi drzwiami w kierunku stodoły. W rekordowym tempie osiodłała swego ulubionego konia i w chwilę potem oddaliła się galopem.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Od zamarzających łez miała lodowate policzki. Ochłonęła dopiero wtedy, gdy pokonała znaczny dystans.

Wciągnęła głęboko zimne powietrze, aż zabolało ją w płucach, a łzy znowu napłynęły do oczu. Ale przynajmniej poczuła, że robi coś, co przynosi jej radość. Przez całe dwa tygodnie, odkąd tylko dowiedziała się o planach małżeńskich matki, walczyła z poczuciem bezsensu. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się egoistycznie. Nie zazdrościła przecież Laurie ani Patowi szczęścia. Jednakże to małżeństwo pogłębiło jej poczucie osamotnienia.

Co miała teraz robić? Gdzie mieszkać? Do kogo właściwie należała?

Laurie podzieliła się z rodziną wieścią, że pragnie z Patem zamieszkać w jego małym domku.

Lucky sprzeciwił się.

- Mamo, ależ tu jest twój dom.

- N a s z dom - poprawiła. - Należy do nas wszystkich. A teraz Devon i ty wychowujecie w nim swoje dziecko, i jestem z tego powodu szczęśliwa. Kocham ten dom. Kochałam człowieka, który go wybudował. Jednak teraz kocham kogoś innego i chcę zamieszkać w jego domu jako nowo poślubiona żona.

Sage wiedziała, że zawsze będzie mile widziana w rodzinnym domu, bo przecież to również jej dom. Jak to określiła Laurie, należał do nich wszystkich. Devon i Lucky nie zamierzają jej wyrzucić.

Ale i tak będzie się tam odtąd czuła jak intruz. Dom jest dobry dla jednej rodziny. A Sage już tu nie należy. Nie należy też do Laurie i Pata. Nie należy... Koniec, kropka!

Setki tysięcy kobiet robiących karierę zawodową żyło samotnie. Nie to przerażało Sage. Poczwała się jednak odcięta od wszystkiego, co znała i ceniła. Dla Laurie najważniejszym człowiekiem na świecie będzie teraz Pat. I tak właśnie powinno być. Chase i Lucky również mają własne rodziny.

A cóż ma Sage? Nic. Ani domu z prawdziwego zdarzenia, ani kariery, ani nikogo najbliższego.

Zatrzymała konia i zsiadła. Przytuliła się do niego, nie kryjąc przed sobą, że opanowało ją głębokie rozżalenie. Koń ze współczuciem trącił ją w ramię.

- Nikomu nie jestem do niczego potrzebna. Co się teraz stanie z moim życiem? - szeptała ze łzami w oczach.

Jednak koń, wyczerpawszy swe nikłe pokłady współczucia, schylił łeb i zaczął skubać trawę.

Po nagłym zniknięciu Sage w kuchni zaległo milczenie. Pierwszy odezwał się Lucky:

- Co ją napadło?

Harlan zdjął z wieszaka kurtkę i otworzył drzwi.

- Pójdę zobaczyć. - Wybiegł równie pośpiesznie jak Sage.

- Nie chciałam o tym mówić, ale ona rzeczywiście zachowuje się ostatnio dość oryginalnie - zauważyła Marcie.

- Co ty powiesz?!

Wszyscy obdarzyli Lucky'ego nieprzyjaznymi spojrzeniami.

- No, zresztą ona zawsze była dosyć dziwaczna - dodał łagodniej.

Chase zwrócił się do żony:

- Mówiłaś to wcześniej. Odtąd wyłażę z siebie, żeby być dla niej miły. Myślisz, że nie udaje mi się?

Marcie wzruszyła ramionami.

- Coś ją dręczy - oznajmiła.

- Też to zauważyłam - dodała Devon. - Ale nie zwierzyła mi się.

- Ani mnie - rzekła Marcie.

- Belcher? - spytał Lucky.

Devon zmarszczyła brwi.

- Nie sędzę. Nigdy nie wierzyłam, że kocha go ponad życie. Chyba rozpoznałabym objawy takiego uczucia. - Popatrzyła czule na męża.

- Masz rację, Devon - przytaknęła Marcie. - Ja wiem tylko tyle, że od przyjazdu na święta ta dziewczyna ani przez chwilę nie jest sobą.

- Nie jest chyba zazdrosna o Pata? - rzucił Chase. - Bo zabrał jej mamusię, dla której stał się ważniejszy od córki?...

Przez chwilę rozważali taką możliwość. Wreszcie odezwała się Marcie:

- Małżeństwo Laurie pogorszyło wprawdzie sprawę, ale nie jest to chyba zasadnicza przyczyna przeżyć Sage. Dziewczyna jest zbyt zrównoważona, by ślub matki tak bardzo wytrącił ją z równowagi. - Zasmucona spojrzała w kierunku drzwi. - Przykro mi to mówić, ale mam wrażenie, że nie Harlan powinien ją pocieszać.

- Czy sądzisz, że dziwaczne zachowanie Sage ma coś wspólnego z Harlanem? - zastanowił się Lucky.

- Nie wiem. - Marcie zawahała się. - Ale wyczuwam między nimi jakąś wrogość. - Prawie natychmiast zaprzeczyła sama sobie: - Chyba jednak coś wymyślam.

- Wcale nie! - wtrąciła Devon. - Widziałam, jak któregoś dnia spotkali się na schodach. Próbował ją zagadnąć, a ona minęła go bez słowa. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, gdy już o tym mowa, przypominam sobie, że ignorowała go przy wszelkich innych okazjach.

- Niech to cholera! - mruknął Lucky. - To taki sympatyczny facet. - Popatrzył na Chase'a. - Rozumiesz coś z tego?

- Skądże. Może boli ją, że zatrudniliśmy go w firmie? Wcześniej było to zastrzeżone dla rodziny. W każdym razie postaram się ją zaraz znaleźć, zanim uda się to Harlanowi.

- Lepiej dla ciebie, jeśli masz powody do takiego zachowania, Harlan - warknął Lucky.

- Mam. Jeśli ją puszcze, to mnie zabije.

- Zrobię to! - Sage wyrwała się z objęć Boyda i walnęła go ramieniem w żebra. Chłopak stęknął i zgiął się wpół.

- Ona... ona chyba... - dyszał.

- Tylko nie to! - Sage zamarła. Przeszywała go wzrokiem.

- Sage! Muszę im powiedzieć! - Popatrzył na nią bezradnie. Po chwili stanął twarzą w twarz z jej braćmi. - Możliwe, że będzie miała moje dziecko - oświadczył z godnością.

Powiało grozą. Atmosfera przypominała moment oczekiwania na grzmot po rozświetlającej niebo błyskawicy.

- Ty podły skurwysynu!

Lucky rzucił się na Harlana, który ledwie zdołał odepchnąć Sage. Pięść młodszego Tylera wylądowała na brzuchu Boyda, który zgiął się, by za chwilę powrócić po pozycji pionowej pod wpływem miazdzącego ciosu w podbródek.

- Lucky, nie chcę się z tobą bić. Chcę tylko...

Kolejny cios w bark nie pozwolił dokończyć mu zdania. Uchylił się i stracił równowagę. Upadł w błoto.

Szybko uniósł głowę i popatrzył na Lucky'ego.

Sage skuliła się, widząc szal w jego oczach.

- Niech to diabli, przecież powiedziałem, że nie chcę się z tobą bić, ale nie dałeś mi wyboru! - Podniósł się i zaatakował Lucky'ego.

- Chase! - wykrzyknęła dziewczyna. - Zrób coś!

Chase nie odznaczał się równie porywczym charakterem co Lucky, dorównywał mu jednak szybkością i siłą. Nigdy nie wycofywał się z pola walki, zwłaszcza jeżeli chodziło o honor rodziny.

Choć Sage jeszcze parę minut wcześniej sama groziła Harlanowi, teraz odetchnęła z ulgą widząc, że Chase nie przyłącza się do ataku na niego; próbował raczej powstrzymać walczących.

Ale ani Lucky, ani Harlan nie chcieli rozjemcy. Walczyli

zawzięcie. Szybko też zniweczyli pokojowe wysiłki Chase'a. Sage nie zauważyła nawet, który z nich rozkwasił mu nos.

Przez dłuższą chwilę szala zwycięstwa przechylała się na stronę Lucky'ego. Harlan bronił się raczej. Po jakimś czasie jednak sytuacja zmieniła się na korzyść Boyda, który zaczął atakować. Jeden z ciosów wylądował na szczęce młodszego Tylera, który odrzucił głowę w tył, potknął się i padł na maskę wywrotki.

Nawet ze sporej odległości Sage usłyszała trzask pękającej kości jego przedramienia. Lucky znieruchomiał na trwającą wieczność chwilę, a potem osunął się na ziemię. Z podkurczonym prawym ramieniem wylądował w błocie.

Sage zawsze sądziła, że rozumie definicję nieszczęścia. Przy całej jednak dokładności Webstera definicja ta miała spore niedociągnięcia. Aż do tego wieczoru dziewczyna nie wyobrażała sobie, co naprawdę oznacza niedola w pełnym tego słowa znaczeniu.

Nieszczęście przenikało do szpiku kości. Jak ciężkie przeziębienie, sprawiało, że dotknięty nim człowiek kulił się pod stosem koców, nie mając nadziei, że choć trochę się ogrzeje. Zmuszało do szczekania zębami i aż do bólu napinało wszystkie mięśnie.

Sage leżała w ciemności, patrząc tępo przed siebie i usiłując przeanalizować dziwny splot wydarzeń ostatnich kilku godzin.

Gdy tylko przymykała powieki, przed oczami przesuwały się jej obrazy niedawnej bójki Harlana i Lucky'ego, utyłanych w błocie, zmagających się w ostrym blasku reflektorów. Słyszała przyprawiający o mdłości odgłos pękającej kości. Utkwiła jej w pamięci twarz brata, wykrzywiona cierpieniem, z pobielałymi od bólu wargami.

Chase upchnął siostrę i Lucky'ego do szoferki i ruszył w kierunku domu. Jechali ostro. Lucky kłął siarczyście przy każdym szarpnięciu ciężarówki.

W domu wywołali panikę. Ubrania mieli poplamione krwią, choć nie wiadomo było czyją. Lucky miał złamaną rękę, posiniaczoną twarz, podbite oko, którego nie mógł otworzyć i brzydko rozciętą wargę. Po kilku minutach odjechał do szpitala w asyście Devon i Chase'a. Sage pozostała z Marcie i śpiącymi dziećmi.

Dopiero po jakimś czasie uzmysłowiła sobie, że na pa-

stwisku pozostały konie. Wybiegła do stajni, gdzie odnalazła je w boksach, rozsiodłane i wyczyszczone. Rzecz jasna, uczynił to Harlan, ale nie było nawet śladu po nim i po jego ciężarówce.

Koło północy Chase i Devon powrócili do domu bez Lucky'ego. Złamanie okazało się proste i nie spodziewano się komplikacji, doktor wolał jednak zatrzymać rannego na noc.

- Lucky nie chciał - oznajmiła Devon. - Ale ja nalegałam. Czy mogłabym was prosić, żebyście zostali do rana? Na wypadek, gdybym była potrzebna w szpitalu czy coś takiego... - zakończyła chaotycznie.

Chase i Marcie zgodzili się. Sage wzięła prysznic i przygotowała się do snu, wykonując wszystkie czynności mechanicznie. Czuła się kompletnie otumaniona. Nikt co prawda nie pokazywał jej palcem ani nie oskarżał o to, co się stało, ale przecież w skrytości ducha wszyscy musieli uważać, że to jej wina.

Chase zapukał do drzwi siostry, gdy właśnie miała zamiar zgasić światło.

- Czy istnieje możliwość, że Harlan mówi prawdę?

- Możliwość - tak... - odpowiedziała potulnie, unikając wzroku brata. - Ale bardzo niska.

- Czy on cię zgwałcił, Sage? Bo jeśli tak, to nie zamierzam wzywać policji. Sam się zajmę skurwysynem.

- Nie! Nie rób tego, Chase! To wcale nie było tak!

- Czy zniewolił cię w jakimś sensie?

- Nie. To była... wzajemna chęć.

Jeszcze przez chwilę tkwił w progu. Sage stała z opuszczoną głową i czuła na sobie przenikliwe spojrzenie brata, który chciał poznać prawdę.

- W porządku - rzekł w końcu. - Dobranoc.

- Dobranoc... Chase! - zawołała po chwili wahania. - Nie będziesz chyba starał się powiadomić mamy i Pata?

- Rozmawialiśmy o tym w drodze do szpitala i postanowiliśmy nie psuć im miodowego miesiąca.

Odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się. Dobranoc.

To wszystko wydarzyło się wiele godzin wcześniej, a ona wciąż nie mogła zasnąć. Z jej przyczyny Lucky znalazł się w szpitalu. Chase groził, że wytropi Harlana i uszkodzi go fizycznie. Obie bratowe poznały już powód bójk. Gdy rozmawiały z Sage, opuszczały wzrok. Z litości albo pogardy. Tego nie była pewna.

W domu kotłowało się. I wszystko z jej winy. Jak mogło dojść do tego? Tydzień przed świętami Sage zdawało się, że panuje nad własnym życiem. Potem wszystko się zachwiało, runęło i teraz leżało w gruzach u jej stóp.

Podjęła błędne decyzje, co wpłynęło nie tylko na nią, ale na całe najbliższe otoczenie i firmę rodzinną. Na samą myśl o tym jęknęła i ukryła twarz w poduszce.

Chase i Lucky pokładali olbrzymie nadzieje w tym systemie nawadniającym. Uważali, że dzięki niemu znowu staną na nogi. A jak w obecnej sytuacji wygląda przyszłość wynalazku? Dalsza współpraca z Harlanem nie wchodzi oczywiście w grę. Firma upadnie, a odpowiedzialność za to obarczy Sage...

Nagle przestało jej być zimno. Ogarnęła ją z kolei fala gorąca. Skopała na podłogę koc elektryczny i wyszła z łóżka. Zaczęła snuć się po pokoju.

Nie mogła dopuścić do tego, by rodzina popadła w ruinę. Jeśli tak się stanie z powodu jej pomyłki, nigdy sobie tego nie wybaczy. Firmę założył jeszcze dziadek Tyler. Niech to cholera! A teraz wygląda na to, że działalność spółki zakończy się przez nadmiar hormonów jego wnuczki, która nie zdołała oprzeć się błękitnym oczom i wąskim biodrom domorosłego wynalazcy.

- Niech mnie najpierw szlag trafi - mamrotała w ciemności.

Musiła coś zrobić! Cokolwiek. Ale co? Bała się już nawet poruszać. Ostatnio każde jej posunięcie okazywało się błędne. Jeśli chce z godnością nosić nazwisko Tylerów, nie może sobie pozwolić na dalsze błędne kroki.

Ale nie ma nic za darmo.

Nie ma róży bez kolców.

W głowie kotłowały się jej slogany drukowane na podkoszulkach. Niektóre nabrały raptem sensu. Zaczęły jej przychodzić do głowy liczne pomysły, zgoła ryzykowne. Co robić?

Wiedziała na pewno tylko tyle, że nie wróci do łóżka i nie skryje się pod kołdrą. Zrobi coś zupełnie innego. I to zaraz, zanim wstanie dzień, kiedy to może powstrzymać ją zdrowy rozsądek.

Nim zdążyła sobie cokolwiek wyperswadować, rzuciła się do szafy, wyciągnęła walizkę i zaczęła się pakować.

Wieczne potępienie!

Harlan ssał skaleczony kciuk. Gdy starał się umocować przyczepę do ciężarówki, ręka zsunęła mu się pomiędzy dwie części metalowe. Złośliwość przedmiotów martwych - zaczep odmówił współpracy. Zresztą po tak miło spędzonym wieczorze, czy mógł spodziewać się, że cokolwiek pójdzie gładko?

- To tylko potwierdza moją teorię, do czego prowadzi uczciwe postępowanie - mamrotał, gdy mechanizm w końcu zadziałał.

Usłyszał nadjeżdżający samochód. W chwilę potem światła reflektorów oświetliły okoliczne sosny. Harlan wyprostował się, choć sprawiało mu to ból. Ale parę zadraśnięć i siniaków nie miało znaczenia, jeśli akurat w tej chwili młodzi Tylerowie ładowali broń.

Pogodzony z faktem, że będzie musiał stoczyć kolejną walkę, spał się wewnątrz. Gdy ujrzał, że z auta zamiast oczekiwanych braci Tylerów wynurza się Sage, nie odprężył się ani na jotę. Wprost przeciwnie, poczuł się spięty jeszcze bardziej.

- Zanim cokolwiek powiesz, wysłuchaj mnie - zaczęła dziewczyna.

- Lepiej się stąd wynieś, Sage, zanim cię ze mną nakryją.

A może przysłali cię tu na przynętę, żeby sprawdzić, jak się zachowam?

- Prosiłam, żebyś mnie wysłuchał - ucieła. - Jestem sama.

Chase już śpi, a Lucky został w szpitalu.

- O Jezu! - Harlan ukrył twarz w dłoniach. Doprawdy nie zamierzał go okaleczyć. Na samo wspomnienie odgłosu pękającej kości do tej pory przewracało mu się w żołądku. Chciał pojechać z nimi i pomóc, ale wiedział, że nie byłoby to mile widziane.

- Och, nie przeżywaj tak tego - odezwała się Sage. - Równie dobrze to ty mogłeś być na jego miejscu. Lekarz zatrzymał go tylko do rana, na obserwację. - Owinęła się starannie płaszczem. - Zimno tutaj. Czy możemy porozmawiać w środku?

- W żadnym razie! A poza tym - na wypadek, gdybyś nie zauważyła - ja się stąd zmywam. Za pięć minut już byś mnie nie znalazła.

- To przegapiłbyś niepowtarzalną okazję.

- Co masz na myśli? Że znowu któryś z twoich rozszalałych braciszków spierze mnie na kwaśne jabłko? Wielkie dzięki. Poddaję się. Jedyne wyjście, jakie widzę, to ulotnienie się stąd.

Wycelował w nią palec.

- Ale klnę się na Boga, Sage: ja tu wrócę. Jeśli będziesz miała moje dziecko, upomnę się o nie, nawet gdybym miał cię związać i uprowadzić siłą. Odzyskam cię i dziecko, i nic mnie nie obchodzi, czy twoi bracia będą polować na mnie za pomocą jakiejś piekielnej sfory.

- Nie będzie żadnego dziecka - odrzekła niecierpliwie. - Wchodzę do środka!

Minęła go i weszła do przyczepy. Harlan ruszył za nią, wiedząc, że już wkrótce tego pożałuje. Zatrzasnęli drzwi. Wewnątrz przyczepy było niemal równie chłodno jak na dworze. Boyd zdążył już odłączyć agregat i nie działało ogrzewanie.

Sage rozcierała dłonie. Harlan miał jednak wrażenie, że

robi to bardziej ze zdenerwowania niż z zimna. Była ożywiona, kręciła się w kółko jak młoda przewrażliwiona klacz przed startem w pierwszym w życiu wyścigu.

- Mów, co masz do powiedzenia, i znikaj - odezwał się. - Zawsze przynosisz mi złe wieści.

- Mam dla ciebie propozycję.

- To zwykle należy do mężczyzny...

- Nie chodzi mi o taką propozycję.

Zmrużył podejrzliwie oczy.

- A jaką?

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

- Już warunki... Nie słyszałem jeszcze przecież, o co właściwie chodzi.

Zmarszczyła brwi, ale zignorowała jego sarkazm.

- Ile czasu potrzeba ci do ukończenia prototypu?

Splótł ramiona i oparł się o drzwi.

- A czemu cię to interesuje?

- Chcę go sprzedać.

- Nic dziwnego. Przecież cały czas o to chodziło.

- Nie. Chcę go sprzedać teraz. Tylko ty i ja. Razem. Zaczniemy dzwonić i proponować klientom ten pomysł. Jeśli zechcą zobaczyć prototyp, będziemy już mieli co pokazać. Tak? Ale zanim to zrobimy, potrzebuję gwarancji, że ta przekłeta maszyna będzie działać.

Poczuł mętlik w głowie, ale przede wszystkim uświadomił sobie po raz kolejny, że Sage jest najbardziej nieprzewidywalną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Skrzywdzić ją - to sama wróci po ciąg dalszy. Była fascynująca - nieważne, czy akurat się kłóciła, czy kochała. Jej pomysły bywały jednak nieco postrzelone.

- Chcesz się bawić w akwizycję systemów nawadniających?

- Nie nabijaj się ze mnie, Harlan. Mówię serio. Nie mam innego wyjścia; jestem na to skazana.

- Skazana... Tak, chyba powinnaś być skazana na pobyt w państwowym szpitalu.

- Niech cię szlag trafi! Walczę o własną przyszłość i o przyszłość rodzinnej firmy. Przestań głupio dowcipkować i odpowiedz na moje proste pytanie. Potrafisz uruchomić prototyp?

- Ależ on już działa.

- Działa? - Na twarzy dziewczyny odmalowało się niedowierzanie. - Naprawdę?

- Jasne. Gdy wszyscy zwijaliście się jak w ukropie przed ślubem matki, udało mi się zdobyć używany komputer.

- Zdobyć?

- Nie pytaj.

- Nie będę. Mów dalej.

- Nie zmieścił się do obudowy, którą przygotowałem, więc zainstalowałem go inaczej. Przedwczoraj wypróbowałem system. Gdyby wszystko zostało podłączone wcześniej do rurociągu, to pole byłoby obecnie porządnie nawodnione.

Głos Sage drżał z podniecenia.

- Czemu nikomu nie powiedziałaś?

- Czekałem, aż wszystko uspokoi się po ślubie. A poza tym chciałem wprowadzić jeszcze pewne poprawki, przeprowadzić próby i dopiero wtedy przedstawić rodzinie prototyp.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

Roześmiał się, nie potrafiąc ukryć radości.

- Skądże! To będzie działało!

Sage klasnęła w ręce.

- Harlan! To wspaniale! Cudowna wiadomość! - Zelektryzowana, odepchnęła go od drzwi i chwyciła klamkę. - Nie traćmy czasu. Pojedziemy do Austin twoją ciężarówką, a tam weźmiemy mój samochód.

- Hola! Hola! Zaczekaj! - Odciągnął ją od drzwi. Odwróciła się i przyjrzała mu się pytająco.

- Panno Tyler, niech mnie pani wyprowadzi z błędu, jeśli się mylę, ale chyba nie omawiała pani z nikim tego szalonego pomysłu? Wymknęłaś się w środku nocy i zdecydowa-

łaś, że postawisz rodzinę wobec faktów dokonanych. Zgadza się?

- Jasne, że z nikim nie rozmawiałam. Po tym, co się stało, nie pozwoliliby mi z tobą odejść.

- Ach tak. A skąd to przypuszczenie, że miałbym ochotę zabierać cię ze sobą? Musiałbym być stuknięty, żeby tak postąpić, zresztą nawet nie wiem dokąd mielibyśmy się udać. Nie chcę, aby wszyscy oficerowie policji w tym stanie poszukiwali mnie z nakazem aresztowania w jednej ręce i z nalożoną bronią w drugiej.

- Nie obawiaj się.

- A jednak się obawiam. Kiedy chodzi o moją własną skórę, właśnie tak śmiesznie reaguję.

Dziewczyna westchnęła rozdrażniona.

- Zostawiłam im wiadomość. Napisałam, że jestem z tobą z własnego wyboru, i prosiłam, by mnie nie szukali. Obiecałam dzwonić regularnie i upewniać ich, że jestem bezpieczna.

- Ale nie poinformowałaś ich, jakie masz plany.

Stanowczo pokręciła głową.

- Nie. Zrobię to dopiero, gdy będę im mogła zaprezentować jakiś kontrakt. Bez kontraktu nie wracam.

- Zapominasz o jednym, Sage. - Pochylił się nad nią. - Nie masz niczego do sprzedania.

- No właśnie, i dlatego liczę na ciebie. Chcę, żebyś przyniósł wszystkie swoje projekty i rysunki maszyn. Najpierw sprzedamy ewentualnym kontrahentom doskonałą reputację Spółki Wiertniczej Tylera. Muszą wiedzieć, że to najlepsza firma w branży naftowej. Potem pokażemy im twoje projekty przystosowania pomp wiertniczych do wykorzystania przy systemie nawadniania, dając do zrozumienia, że maszyny są już w toku produkcji, a więc lepiej ustawić się zawczasu w kolejce po nie.

- Ależ to zwykłe naciąganie!

- Podejrzewasz, że byłabym zdolna do popełnienia nadużyć? - Wydawała się oburzona samą myślą. - Przecież jak

tylko podpiszemy kontrakt, natychmiast ruszymy z produkcją. A tymczasem będziesz pracował nad rozwiązaniem problemu komputerowego.

Patrzył w podłogę, kręcąc niepewnie głową i uśmiechając się z zażenowaniem.

- Najbardziej zwariowany plan, jaki kiedykolwiek sły-
szałem.

- Ale się uda!

- I to właśnie mnie przeraża.

- Harlan - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. -
Wiesz, że oboje nie chcemy wykiwać moich braci. Mówiłeś,
że zależy ci na ich zaufaniu. To, co się stało między nami... -
jej głos stał się nienaturalnie niski - to również moja wina.
Ja nie mam do ciebie pretensji, lecz Chase i Lucky z ich
staromodną rycerskością - pewnie tak. Jeśli zrobimy wszyst-
ko, jak mówię, odzyskamy ich zaufanie i szacunek. - Przy-
gryzła dolną wargę i przypatrywała mu się badawczo. -
W każdym razie uważam, że warto spróbować, a ty?

- Jeśli zaś chodzi o to, co się zdarzyło między nami,
Sage?...

- To był tylko incydent, nic więcej.

- Jesteś pewna? - zapytał miękko. Nie odpowiedziała, ale
zauważył, że nie jest przekonana do własnych słów. - Bę-
dziemy podróżować zdani tylko na siebie w dzień i... w nocy.

- Jesteśmy dorośli - odparła ochryplym głosem. - Otdąd
połączą nas jedynie wspólne interesy. Zgoda? Harlan, pro-
szę cię!

Przypatrywał się jej. Do tej pory zdołała już skłócić go
z ludźmi, których považał najbardziej ze wszystkich pozna-
nych w ciągu ostatnich lat. Zanim to wszystko się skończy, ta
dziewczyna wkopie go znacznie głębiej, ale niech to szlag!
Nie potrafi się jej oprzeć.

Odnacza się nadzwyczajną umiejętnością wiercenia mu
dziury w brzuchu, maltretowania i... przemawiania do serca.
Wątpił, aby mógł odmówić jej czegokolwiek, gdy patrzyła
na niego łagodnymi oczami o barwie koniaku. Zdawało się,

że pod wpływem jej wzroku traci zdolność do logicznego
myślenia i popełnia błędy.

I cóż, u diabła? Wybierając się w drogę, nie miał na myśli
żadnego konkretnego celu. Nie sądził, że przyjdzie mu związać
się tak prędko, nie zdążył więc poczynić żadnych planów.
Poza tym nie znosił odchodzić, gdy zostawała rozgrzebana
robota. Wyjeżdżając zawsze zostawiał po sobie porządek. By-
ło to dla niego ważne - Harlan Boyd nie pozostawiał ludzi
rozczarowanych jego osobą czy postępowaniem.

- W porządku, panno Sage... - Pozwolił sobie na wes-
tchnięcie. - Ładuj się do szoferki. Ale... jedno słowo krytyki
pod adresem mojej ciężarówki i będziesz zasuwała pieszo!

Lucky przy ku stykał do kuchni o własnych siłach, ale Chase
trzymał się w pobliżu na wypadek, gdyby brat potrzebował
pomocy. Lucky'ego wcześniej rano zwolniono ze szpitala. Za-
dzwonił więc z prośbą, aby Chase przywiózł go do domu.
Gdy tylko weszli w próg, Devon westchnęła, co postarała
się natychmiast nieudolnie ukryć.

- Wyglądasz gorzej niż w nocy - wyszeptła ze współ-
czuciem. Objęła męża delikatnie i pocałowała w jedyne nie
uszkodzone miejsce na czole. Doprowadziła go do krzesła
przy kuchennym stole.

- Tak, ale szkoda, że nie widziałas tamtego - wysyczał
przez opuchnięte wargi.

W młodości zdobył sobie reputację niezłego zabijaki.
Wszystko skończyło się, gdy poznał Devon. Mineło więc
już ładnych parę lat od czasu, kiedy po raz ostatni miał
podbite oko czy rozciętą wargę.

Teraz, wykrzywiony z bólu, powoli opuścił się na krzesło.

- Boli cię ręka? - zagadnęła delikatnie Devon.

- Przeżyję.

- Możesz jeść?

- Teraz proszę tylko kawę, jeśli można. - Wyjął coś z kie-
szeni kurtki. - Dali mi to w szpitalu. - Pokazał zagiętą rur-
kę. - Przez to się ssie.

Żart nie wywołał śmiechu. Wszelkie dowcipy wydawały się w tej chwili nie na miejscu. W kuchni panowała atmosfera przygnębienia. Marcie z dzieckiem na rękę przypatrywała się uważnie Chase'owi. Lauren spała na gorze. Devon zajęta była nalewaniem kawy.

Gdy pili, Chase powiedział, co mówili lekarze.

- Lucky musi nosić gips przez sześć do ośmiu tygodni.

Przez kilkanaście dni będzie wyglądał jak sam diabeł...

- Wielkie dzięki - wtrącił Lucky.

- Ale potem wróci do siebie i będzie nadal naszym drogim przystojniaczkiem.

- Miejmy nadzieję, że nastąpi to przed powrotem waszej matki i Pata - wyraziła przypuszczenie Marcie.

Devon wzburzyła włosy Lucky'ego, które na szpitalnej poduszce straciły czupurny wygląd.

- Nie sądzę, żeby mama czy Pat przeżyli szok. O ile mi wiadomo, kiedyś często tak wyglądał - stwierdziła z uśmiechem.

- Ale odkąd cię spotkałem, już nie. - Ścisnął jej dłoń, a potem pociągnął przez rurkę odrobinę kawy.

- Czy Sage jeszcze śpi? Chciałbym z nią porozmawiać - oznajmił.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Nikt nie chciał spojrzeć Lucky'emu w oczy. W końcu Chase chrząknął i wycedził:

- Ona odeszła.

- Odeszła? Dokąd?

- Nie wiemy; po prostu odeszła.

Lucky rozglądał się po skonsternowanych twarzach rodziny.

- Nie mówicie mi wszystkiego. Coś ukrywacie. Czuję to przez skórę.

- Odeszła z Harlanem.

Lucky zaklął i walnął posiniaczoną pięścią w kant stołu. Zaklął szpetnie, bo uraził się w chorą rękę.

- I pozwoliłeś jej odejść?!

- Nie pozwoliłem. - Chase ze złością zerwał się z krzesła i zaczął przemierzać kuchnię. - Ona wcale nie pytała mnie o zdanie, Lucky. Spakowała walizkę i wymknęła się, zostawiając kartkę, żebyśmy się nie martwili. Napisała też, że będzie dzwonić od czasu do czasu i mamy nawet nie myśleć o szukaniu jej. Sprawdziłem: przyczepa Harlana także zniknęła, podobnie jak wszystkie schematy prototypu. A przy okazji: wiedziałeś, że podłączył do niego komputer? - zapytał nagle.

Lucky przeczesał nerwowo włosy.

- Trudno mi wprost uwierzyć, że pozwoliłeś jej zniknąć z tym dziwkazem. Co to ma być? Ucieczka kochanków?

- Cholera ich wie. Może zabrali szkice, żeby sprzedać pomysł jakiejś innej firmie.

- Nie wierzę własnym uszom! - wykrzyknęła Marcie, zrywając się na równe nogi.

- Ani ja! - zawołała Devon. - Bądźcie przez chwilę konsekwentni! - Obrzuciła krytycznym spojrzeniem męża i szwagra. - Od miesiący rozpływacie się nad sprytem Harlana Boyda. Bez przerwy słyszę tylko: „Ma znakomite pomysły”; „To jego kolejny świetny pomysł”; „Jeśli się uda, wkrótce wszyscy nasi ludzie wrócą do pracy”; „To dla nas zbawienie”.

- Devon ma rację - przytaknęła Marcie. - Powtarzaliście to na okrągło. Jeszcze parę dni temu, Chase, opowiadałeś, że przejmiesz produkcję, a Lucky zajmie się instalowaniem urządzeń.

- Mówiłeś mi dokładnie to samo - przypomniała Devon mężowi. - Tak bardzo podniecała cię perspektywa, że znowu będziecie ciężko pracować! Projekt Harlana zachwycił cię. Odkąd cię znam, nie widziałam u ciebie takiego przypływu energii i optymizmu.

Marcie poparła Devon.

- A wszystko dlatego, że Harlan znalazł sposób na adaptację waszego sprzętu do nowych potrzeb. Teraz raptem ten

sam facet staje się dla was *persona non grata*. Nie dalej jak wczoraj był jeszcze waszym bohaterem.

- Też mi bohater, który za naszymi plecami uwiódł naszą małą siostrę - wycedził Lucky.

- I co?

- I co? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak. I co z tego? - zaatakowała Marcie. - To nie jest wasza mała siostra. To dorosła kobieta. Jeśli chciała spać z Harlanem i *vice versa*, to w ogóle nie jest twoja sprawa. Ani twoja - dodała, celując palcem w Chase'a.

- Wyciągając zbyt pochopne wnioski, robicie Sage, jak również Harlanowi, niedźwiedzią przysługę - oznajmiła Devon. - Przeraza mnie wasz kompletny brak zaufania do nich obojga, a zwłaszcza do waszej własnej siostry. A w dodatku robicie z siebie parę głupców.

- A to czemu? - zdziwił się Chase.

- Wyjaśnię ci - ożywiła się Marcie. - Nie wierzysz we własne zdanie na temat ludzi? Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu ufałeś bezgranicznie temu człowiekowi.

- Dwadzieścia cztery godziny temu nie wiedziałem, że wykorzystał Sage!

- I nadal nie wiesz! - wykrzyknęła Marcie. - A może to Sage wykorzystała jego?! Czy nie przyszło ci to do głowy?!

- Dziwię ci się, że to właśnie ty, Lucky Tyler - dołączyła się ze złością Devon - jesteś taki skory do oskarżania kogoś o wykorzystywanie kobiet!

- Oj, Devon, daj spokój! - rzekł pośpiesznie zaatakowany. Skrzywił się przy tym, bo rana na wardze zaczęła na nowo krwawić. Wymamrotał więc tylko:

- Nie możesz porównywać tej dwójki do nas.

- Ja tam wiem jedno. - Chase starał się przekrzywić wszystkich. - Sage jest w tej chwili szczególnie przewrażliwiona z powodu rozstania z Travisem. Prawdopodobnie czuje się też osamotniona po ślubie matki. W przeciwnym razie nigdy nie poleciałaby na takiego faceta jak Harlan.

- A to czemu? Harlan jest przystojny i seksowny!

Lucky'emu opadła szczęka. Uwaga żony zbiła go z tropu.

- No, no... Niezły komentarz jak na mężatkę z maleńkim dzieckiem.

- Jestem zameżna, co nie znaczy, że ślepa! - wypaliła. - Harlan jest wspaniałym okazem męzczyzny. Nawet Laurie tak uważa.

- Moja matka?! - zawył Lucky.

- Owszem. Twoja matka. Sama mi to powiedziała.

- A poza tym dlaczego uważasz, że wiesz lepiej od Sage, kim powinna się zainteresować? - chciała wiedzieć Marcie.

Lucky i Devon, pochłonięci wymianą piorunujących spojrzeń, wycofali się i ustąpili miejsca drugiej parze, która ochoczo rzuciła się do walki.

- Bo ją znam! - bronił się Chase. - Znam ją o niebo lepiej niż ty. Harlan, z jego brakiem ogłady, to ostatni człowiek na świecie, z którym Sage poszłaby do łóżka w normalnej sytuacji!

- Cóż, miłość wyczynia z ludźmi najróżniejsze rzeczy - rzekła zadziornie Marcie. - Przewraca im w głowach.

- Miłość? Kto tu w ogóle mówi o miłości? W najlepszym wypadku mamy do czynienia z pożądaniem.

- Jakkolwiek to nazwiesz, to coś oddziałuje silnie na ludzi. Sprawia, że postępują w niecodzienny, nawet szalony sposób.

- Na przykład uciekają cichcem w środku nocy?

- Na przykład wiążą się ze sobą, jak Chase Tyler i Sówka Johns! - krzyczała Marcie. Hamując się z trudem, spojrzała chłodno na męża. - Zanim zwołacie pospolite ruszenie na ratunek Sage, miejcie choć na tyle rozumu, by rozważyć, czy ona istotnie chce zostać uratowana. - Przybrała wyniosłą minę. - A teraz, Devon, najlepiej będzie, jeśli pójdziemy na górę. Chyba słyszę płacz Lauren.

Marcie z Jamiem w ramionach energicznym krokiem opuściła kuchnię. Devon zgodnie ruszyła za nią.

Lucky popatrzył zdrowym okiem na brata i rzucił niepewnie:

- Ostrzegałem cię kiedyś, że jeśli one sprzymierzą się przeciw nam, to już po nas.

- Cóż... - westchnął Chase, opadając na najbliższe krzesło. - Chyba właśnie ta chwila nadeszła.

Wywrotka Harlana nie zdołała dotrzeć do Austin.

Około pięćdziesięciu kilometrów na północ od stolicy stanu silnik zaczął odmawiać posłuszeństwa. Po następnych piętnastu kilometrach spod zmaltretowanej maski zaczęły wydobywać się kłęby białej pary.

Sage otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz przypomniała sobie, że Harlan zagroził jej długim spacerem. Nie odezwała się więc. Zerknęła tylko w jego kierunku. Uśmiechnął się przebiegle.

- Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje ostrzeżenie - zauważył z zadowoleniem.

- Czy chcesz, byśmy wylecieli w powietrze? - zapytała gniewnie.

- Szukam dogodnego miejsca na parking.

Po przejechaniu około pół kilometra istotnie znaleźli się na przydrożnym parkingu. Dymiąca, zdezelowana ciężarówka natychmiast stała się ośrodkiem zainteresowania kierowców korzystających z postoju. Sage miała ochotę zapaść się pod ziemię, słysząc ich zjadliwe komentarze.

Harlan wysiadł jednakże bez cienia zakłopotania i ruszył na przód samochodu. Zardzewiała maska zaskrzypiała na znak protestu, gdy usiłował ją unieść. Spod niej buchnął biały obłok.

Harlan odczekał chwilę, rozpedził obłok dłońmi, potem pochylił się nad silnikiem. Po paru minutach zjawił się przy drzwiach od strony pasażera. Sage nie mogła odkręcić nie istniejącej szyby, naparła więc z całej siły na drzwiczki i otworzyła je.

- Jaka diagnoza?

- Zagotowała się woda w chłodnicy - zameldował.

- To bardzo źle?

Oparł się łokciem o drzwi i przypatrywał się jej z rozbowieniem.

- Raczej tak, grozi to spalaniem silnika.

Szansa na rozstanie ze zniecierliwionym pojazdem pokrzyżowała Sage.

- Ten grat nie jest chyba ubezpieczony?

- Święta racja.

- A więc kompletne dno? - zapytała z nadzieją.

- Skądże!

- Więc co?

Zaczął rozpinać flanelową koszulę. Wyciągnął ją ze spodni i zdarł z siebie.

- Trzymaj.

Złapała koszulę i bez słowa obserwowała, jak Harlan ściąga przez głowę biały podkoszulek.

Zobaczyła nagi tors, na którym widniały siniaki po wczorajszej bójce. Poranne słońce połyskiwało na włosach chłopa, brodawki ściągnęły się od chłodnego wiatru.

Sage poczuła skurcz pożądania.

Harlan rozdarł podkoszulek, oderwał rękawy i znowu pochylił się nad maską. Sage wyraźnie widziała jego nagie plecy, co podziało na nią prawie tak samo jak widok odsłoniętego torsu.

Jasne włosy wiły się na karku. Gładka skóra uwypuklała naprężone mięśnie.

Dziewczyna wychyliła się ciekawie i zaczęła śledzić poczynania swego towarzysza. Zafascynowała ją gra mięśni jego ramion, gdy starał się kawałkami materiału zlikwidować przeciek w chłodnicy. Żyłki na ciele uwypukliły się. Gdy wiazał wielki supeł, zwróciła uwagę na jego silne, sprawne dłonie. Z pobliskiego hydrantu przyniósł wody, którą uzupełnił zawartość chłodnicy.

W końcu zatrzasnął maskę i ruszył do kwadratowego ceglanego budynku, w którym znajdowały się toalety.

- Zaraz wracam! - krzyknął przez ramię. - Muszę umyć ręce.

Sage pośpiesznie przekręciła ku sobie lusterko wsteczne. To, co zobaczyła, przeraziło ją. Nie spała całą noc i czuła to, ale również tak właśnie wyglądała. Ponieważ w żadnym wypadku nie mogła obecnie liczyć na osiem godzin snu, zrobiła, co się dało za pomocą kosmetyków.

Tak jak Harlan zaimprovizował naprawę ciężarówki, tak dziewczyna zaimprovizowała poprawę swej urody. Działała błyskawicznie, aby nie skojarzył jej próżności ze swoją osobą. Gdy wynurzał się zza węgła budynku, Sage zdążyła właśnie upchnąć do torebki szczotkę i przybrała minę osoby zniecierpliwionej i znudzonej przedłużającym się postojem.

Gdy tylko Harlan znalazł się w sfoferce, pociągnął nosem.

- Czuję perfumy...

- Chciałam się trochę odświeżyć. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

- Pewnie, że nie. Przedtem wyglądałaś jak upiór.

Zirytowana, cisnęła w niego koszulę. Złapał ją i roześmiał się.

- Nie znasz się na żartach, co?

Oparł się na staromodnej, wielkiej kierownicy i spojrzał na dziewczynę.

- Jeśli może ci to poprawić nieco samopoczucie, to wiedz, że z trudnością trzymam ręce na kółku.

Popatrzyli na siebie. Czuli się nieswojo. Sage powtarzała sobie w duchu, że z tym facetem łączy ją jedynie wspólny interes. To ona narzuciła reguły gry, nie mogła więc ich nagle łamać. A poza tym nic nie może jej odwieść od obranego celu. Harlan jednak mógłby wykazać odrobinę inicjatywy.

W końcu zdołała oderwać od niego wzrok. Skinęła głową w kierunku maski pojazdu.

- Czy... to już działa?

- Och, doskonale - odparł ochrypłym głosem.

- A czy... może wybuchnąć?

Przełknął głośno ślinę.

- Może. Muszę pilnować, żeby się za bardzo nie nagrzało. Miała dziwne wrażenie, że mówią o dwóch różnych silnikach. Oblizła nerwowo wargi.

- Nie zamierzasz nałożyć koszuli?

- Czemu? Czy widok mojego ciała denerwuje cię?

- Nic podobnego!

Uśmiechnął się w charakterystyczny, przebiegły sposób.

Ten uśmiech sprawił, że Sage poczuła się przezroczyście. Harlan zetknął dwa druty i silnik zaskoczył.

- Droga panno Sage, nie zna się pani na żartach, ale nie umie też pani kłamać... - orzekł towarzysz podróży.

- To prawdziwa frajda. Mam poczucie pełnej wolności.

- Ja jestem wolny od piętnastego roku życia. Zapomniałaś?

Jechali sześciopasmową autostradą, która przecinała Teksas na południe od Red River, biegnąc w kierunku granicy meksykańskiej.

- Uczucie kompletnej niezależności to dla ciebie nic nowego. Ale dla mnie tak - oznajmiła Sage. - Czuję się bez troska jak Cyganka.

Nalegała, by w Austin przesiedli się do jej auta, które stało zaparkowane przed dawnym mieszkaniem od dnia, kiedy to Travis zabrał Sage na ferie świąteczne do Houston.

W ciągu ostatniego okresu studiów stopniowo zabierała swe rzeczy z mieszkania, które zajmowała przez trzy lata. Dwie współlokatorki chętnie zgodziły się na odkupienie części mebli i wyposażenia, gdyż planowały nadal tam pozostać. Co cenniejsze drobiazgi osobiste Sage obiecały przechować w nie używanej szafie do czasu, aż ich właścicielka będzie miała wolną chwilę, by po nie wpaść.

W banku podjęła resztki oszczędności. Nie była to zawrotna suma, ale odganiała widmo rychłej śmierci głodowej. Gdy załatwiała swoje sprawy, Harlan odjechał gdzieś ciężarówką i wrócił pieszo do mieszkania.

Po paru godzinach udawali się już na południe, w dość

ślamazarnym tempie. Poprosiła, by prowadził, bo czuła się rozkojarzona. Stare więzi zerwała ostatecznie i postawiła wszystko na realizację swej misji dziejowej, którą właśnie mieli spełnić. Sage emanowała entuzjazmem i energią.

Dopiero gdy przejechali kilkanaście kilometrów, pomyślała, że warto zapytać, co się stało z przyczepą Harlana. Musieli ją zostawić, gdyż auto Sage nie miało niezbędnego do holowania haka.

- Zostawiłem ją u przyjaciela — wyjaśnił Harlan. - Jest właścicielem stacji benzynowej. Pozwolił mi zaparkować za budynkiem.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne miejsce?

Zmarszczył brwi.

- Mówiłem przecież, że ten facet to przyjaciel. Pracowaliśmy razem przy szybie naftowym na morzu. To łączy niemal tak jak przeżycia wojenne.

- A co z ciężarówką? Porzuciłeś ją gdzieś przy drodze?

- Szkoda by było. Sprzedałem ją za dwieście dolarów.

- Dwieście dolarów! Co za idiota dał ci tyle za ten złom?

- Właściciel złomowiska.

- No, tak... - Uśmiechnęli się oboje, po czym Harlan znowu skierował wzrok na drogę.

- Czy zawsze pracowałeś w przemyśle naftowym? - zapytała.

- Raczej tak.

Czekała, że powie coś więcej, lecz bezskutecznie. Jego małomówność zirytowała ją, więc znowu zaczęła pytać.

- A gdybyś musiał wypełnić jakiś formularz, co wpisałbyś w rubryce „zawód”?

- Nigdy nie wypełniam żadnych formularzy - odparł.

- Ale gdybyś musiał...

- Nie muszę.

- Harlan! - wykrzyknęła rozżalona. - Przypuśćmy, że byś musiał.

Westchnął ciężko.

- OK. Chyba napisałbym, że zawodowo zajmuję się cu-

dzymi kłopotami. Jeśli ktoś ma jakiś problem, staram się go rozwiązać.

- Ktoś? To znaczy każdy?

- Jeśli tego kogoś lubię i on mnie tak samo. I jeśli wierzę, że mi się uda.

- A zatem wyszukujesz ludzi z problemami?

Czuł się nieswojo rozmawiając o tym, wzruszył więc ramionami.

- Tak chyba można to określić. Gdy w zeszłym roku poznałem w Houston Chase'a, z miejsca go polubiłem. Sympatia okazała się wzajemna. Powiedział mi, że jego firma podupada. Nie mogłem mu pomóc od razu, ale nie zapomniałem o jego słowach. Przy najbliższej okazji pojechałem więc do Milton Point.

- I kiedy problem jest rozwiązany...

- A wszyscy zadowoleni...

- Ty...

- Wyruszam na poszukiwanie następnego.

- Żadnych zobowiązań?

- Zgadza się.

- Zawsze?

- Zawsze.

- Hmm...

Dziewczyna zadumała się zapatrzona w bezkresną autostradę. Poczowała się znów odtracona. Harlan łatwo i bez wyrzutów sumienia pozbywał się rzeczy - przyczep, ciężarówek. Gdy nadchodził czas, by wyruszyć dalej, rozstawał się także z ludźmi, nie oglądając się za siebie. Zastanawiała się przy okazji, ile zakochanych kobiet porzucił. Ta myśl przyćmiła jej ożywienie. Przez kilka następnych kilometrów nie odezwała się ani słowem.

- Niedaleko jest „Dairy Queen”. - Wskazała znajomy biało-czerwony znak. - Zatrzymajmy się. Umieram z głodu.

- Sage, godzinę temu stawaliśmy, ponieważ musiałaś iść do toalety; pół godziny temu musiałaś sobie kupić snickersa,

bo inaczej byś umarła z głodu. Znowu umierasz z tego powodu?

- Ależ to pora kolacji! Zatrzymajmy się i zjedzmy coś, a potem możemy jechać całą noc.

- No dobrze. Ale z twoim żołądkiem i pęcherzem nigdy nie dojedziemy do doliny.

Dolinę Rio Grande obrali za cel podróży, gdyż region ten słynął z rolnictwa. Uznali więc hodowców bawełny i cytrusów za potencjalnych nabywców systemu nawadniającego.

„Dairy Queen” zbijała majątek na obiadach. Aby złożyć zamówienie, musieli czekać w kolejce.

- Jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami - oznajmiła Sage, przebiegając wzrokiem kartę dań.

- Przykro mi, ale tego akurat nie ma w jadłospisie.

Nie odstraszył jej złośliwością.

- Zjem cheeseburgera - oznajmiła. - Z wszelkimi dodatkami; olbrzymią porcją frytek; koktajl czekoladowy i porcją *nachos*.

- Z papryką?

- Jasne, że z papryką. Kto jada *nachos* bez papryki? Mnóstwo, mnóstwo papryki.

Wtedy ją pocałował. Przez sekundę uśmiechała się do niego, oblizując usta i łakomie myśląc o smakowitym posiłku. W chwilę potem ujął ją za kark i przyciągnął ku sobie. Całowali się długo, hamując płynność kolejki. Dziewczyna oparła ręce na jego biodrach. Później objęła go i przytuliła się mocno.

Harlan odsunął się od niej dużo wcześniej, niż chciała. Patrzył jej przez chwilę w oczy, przekazując wzrokiem informację, że przerwał pieszczoły, bo tak nakazywała mu przyzwyczajenie, a nie brak chęci.

Przyciągnął ją jednak z powrotem, a ona objęła go w pasie. Drugą ręką gładziła dłoń Harlana spoczywającą na jej ramieniu. Pomyślała przy tym, że dla wszystkich dookoła wyglądają jak każda para zakochanych.

Rozpaczliwie pragnęła, żeby tak było w rzeczywistości.

Gdy nadeszła ich kolejka, Harlan uśmiechnął się do niej i zwrócił się do kelnerki:

- Ta pani życzy sobie porcję *nachos* z papryką. Mnóstwo, mnóstwo papryki...

Sage rzuciła się na jedzenie. Dawno nic tak jej nie smakowało, chyba przez ostatnie... Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy jadła z taką rozkoszą. Zastanawiała się, czy spowodował to pocałunek Harlana.

- Chcesz jeszcze cheeseburgera? - zapytał, gdy opróżniła tackę do czysta.

Ze śmiechem wytarła usta papierową serwetką.

- Nie, dzięki; to było przepyszne! Od wieków nie miałam czegoś takiego w ustach.

- Czyżby Don Juan nie zabierał cię do „Dairy Queen”?

- Travis? - Już samo imię brzmiało teraz dziwnie, jakby pochodziło z jakiegoś innego wymiaru. I tak rzeczywiście było. - Przyszły doktor Belcher za żadne skarby świata nie wszedłby do restauracji szybkiej obsługi. Od jakiegoś czasu opętała go mania zdrowej żywności i próbował wmuszać we mnie leguminę z fasoli i tofu.

- Tofu? Czy to coś podobnego do torfu?

Śmiała się do rozpuku. A Harlana wcale nie krępował fakt, że robi z siebie widowisko. Wprost przeciwnie: cieszył go jej śmiech.

Gdy znaleźli się w aucie, zdążyło się już ściemnić. Pełny żąładek, dobre samopoczucie i monotony warkot silnika podziały usypiająco na Sage. Coraz trudniej przychodziło jej siedzieć prosto, z otwartymi oczami.

- No... - odezwał się Harlan, poklepując swe prawe udo. - Połóż tu głowę i nie męcz się już tak.

Sage niepewnie zerknęła na jego wytarte, obciste dzinsy.

- Chyba lepiej nie - odparła skrępowana. - Jeszcze i ty zaśniesz....

Zaśmiał się.

- Z twoją głową na kolanach na pewno nie usnę. - Widząc

jej zaskoczenie, wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem. - Zartowałem. Chodź. - Poklepał się po kolanie.

Tym razem nie odmówiła. Położyła się w poprzek siedzenia i oparła głowę na udzie Harlana.

Odgarnął jej włosy i pogładził szyję i podbródek.

- Dobranoc, panno Sage.

- Nie będę spać. Tylko na minutkę zamknę oczy.

Nie przestawał jej głaskać...

Ocknęła się, gdy lekko nią potrząsał.

- Hej, Sage, usiądź. Noga mi zdrętwiała.

Usiadła z trudem, ale nie mogła otworzyć oczu.

- Która godzina? - wymamrotała. - Czemu stoimy?

- Już prawie północ. Zatrzymałem się, bo pas rozdzwajał mi się przed oczami. Jestem senny i nie chcę, żebyśmy powiększyli w statystykach liczbę ofiar wypadków drogowych. A tak przy okazji: wiesz, że chrapiesz?

- Oj, zamknij się - jęknęła i przeciągnęła się. - Gdzie jesteśmy?

- W pewnym ładnym, czystym motelu.

Czystość Sage traktowała obecnie jako zbytek, więc natychmiast stała się podejrzliwa. Zmusiła się, by otworzyć oczy i rozejrzała się dookoła. Niewielkie bungalowy oświetlone były różowymi neonami. Na centralnie położonym podwórku o przetrwanie walczyły nieliczne strzeliste grusze i parę krzewów oleandra. Nie opodał w kompletnych ciemnościach znajdował się lekko połyskujący basen, w który można było z powodzeniem wpaść. Biura motelu majaczyły niewyraźnie zza mrugającego błękitnego neonu w kształcie gwiazdy. Nad drzwiami umieszczono imponujące poroże.

- Wspaniale. Teksaska wersja motelu Batesów. „Norman Billy, Bob Baters i jego zmarła matka, właściciele”.

- To sympatyczne miejsce. Zatrzymywałem się tu nieraz.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Zaczekaj, a ja zobaczę, czy mają wolne łóżka.

- Co ty, żartujesz?

Po chwili wrócił, machając kluczem.

Podczas gdy jechali do przydzielonego im domku, zapytała:

- Czy nie moglibyśmy zatrzymać się w jakimś przyzwoitszym miejscu, jak na przykład Motel Six?

- Będziemy tu tylko przez parę godzin, by się przespać. Skorzystamy jedynie z łóżek.

- Masz rację. Z pewnością nie wejdę tu na przykład pod prysznic. Z tego, co zdążyłam się zorientować, recepcjonista to żywe odzwierciedlenie Anthony'ego Perkinsa.

W pokoju stały dwa bliźniacze łóżka, oddzielone chwiejącym się stołem, oraz komoda. Nie było telefonu ani telewizora. Wszystko wydawało się jednak czyste i przytulne. Sage powąchała pościel i, usatysfakcjonowana stanem jej czystości, wsunęła się do łóżka w ubraniu.

Była tak senna, że nie miała siły się rozebrać. Po raz pierwszy w życiu położyła się spać bez umycia zębów, ale nie przyszło jej to nawet do głowy. Chciała tylko spać.

Harlan wszedł do łazienki i puścił wodę pod prysznicem. Kapie się mnie na przekór, pomyślała z przekąsem. Ale twarz miała uśmiechniętą. Odczuwała zadowolenie. Dziwne, zwłaszcza, jak nieprzyjemnie zaczął się ten dzień.

Uciekła z domu z człowiekiem mało w gruncie rzeczy sobie znanym, wskakując do rozsypującej się wywrotki, która rychło trafiła na złomowisko.

Wyczyściła do zera swoje konto bankowe, a były to zasoby nader skromne.

Opychała się jedzeniem w restauracji szybkiej obsługi, nie zastanawiając się ani przez chwilę nad kalorycznością i wartością odżywczą posiłku.

Porzuciła wszystko, co bezpieczne i znane, i wyruszyła na włóczęgę, która mogła narazić ją wyłącznie na upokorzenie i wrogość ze strony ukochanej rodziny.

A teraz spędza noc w marnym motelowym pokoiku, który jest pewnie miejscem tajemnych schadzek.

Pomimo to czuła się swojsko. Z uśmiechem zanurzyła się pod kołdrę i ułożyła sobie pod głową poduszkę.

Harlan nadal tkwił pod prysznicem, nucąc piosenkę Roda

Stewarda, lekko przy tym fałszując. Czy położy się koło Sage, kiedy już skończy kąpiel? Przytuli ją, czy też pójdzie spać do drugiego łóżka?

Nie miałyby nic przeciwko temu, by to drugie łóżko przez całą noc zostało puste.

Nigdy przedtem nie czuła się taka szczęśliwa.

- Sage, skończ z tym wreszcie, dobrze? To nam wcale nie pomaga.

- Nic mnie to nie obchodzi - zaszlochała, wycierając mokrą chusteczką nos. - Mam ochotę płakać, więc będę płakała. Nie zwracaj na mnie uwagi i pozwól mi to robić w spokoju.

- Moglibyśmy nawodnić twoimi łzami cały południowy Teksas. Może powinniśmy spróbować je sprzedawać?

Podniosła na niego zapuchnięte, czerwone oczy.

- Jestem naprawdę zmęczona twoimi dowcipami na ten temat, Harlan.

- Wiesz, żarty są lepsze niż płacz.

Dwa tygodnie w drodze, bez najmniejszych rezultatów, zupełnie ich wykończyły. Gdy wracali tą samą szosą, którą pełni optymizmu jechali w przeciwnym kierunku, dłonie Harlana bieleły zaciśnięte kurczowo na kierownicy.

Jeśli wiedział nawet, dokąd zmierza, to nie mówił Sage o tym. Jej było to obojętne. Jechali po prostu przed siebie; ona łkała, a w nim wrzała złość. Zanosilo się na kłótnię. Sage nie zamierzała jej zapobiec.

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ważne było dla mnie powodzenie tej wyprawy.

- Potrafie! - krzyknął. - Chciałaś wrócić do domu w glorii i chwale. Byłaś spragniona miłości rodzinnej i pochwał.

- A cóż ty możesz wiedzieć o miłości rodzinnej?

Dostrzegła błysk w jego oczach, ale chyba nie brał sobie do serca wszystkiego, co usłyszał.

Wypalił znieacka:

- Myślisz, Sage, że udało ci się ogłupić cały ten cholerny świat. A ja cię przejrzałem na wylot. Obawiasz się, że nikt

cię nie szanuje. No więc dowiedz się, że jesteś w błędzie. Szkoda, że nie słyszałaś, jak twoi bliscy chlubilili się twoimi staraniami o dyplom. Na długo zanim cię poznałem, niedo-
brze mi się robiło od samego słuchania o tobie.

- Może i mówią o mnie, ale nie traktują mnie poważnie.

Zawsze tak było.

- Może dlatego, że ciągle gdzieś ganiasz i paplasz, co ślina ci na język przyniesie.

- Wielkie dzięki. Przynajmniej zaczynam się lepiej czuć po tej przyjemnej pogawędce.

Na chwilę oderwał wzrok od drogi i przyjrzał się swej towarzyszce.

- Konkurujesz ze swoimi braćmi, prawda?

- Oczywiście, że nie!

- Eee tam! Gdzieś w głębi duszy trapi cię obawa, że nie dorastasz im do pięt.

- Zgłupiałaś chyba!

- Nie. Mam rację. Posłuchaj, Sage. Jesteś wykapaną Tylerówną. Masz równie rogatą duszę jak Chase i Lucky, tyle że w innym opakowaniu. Masz charakter i tupet. Jesteś odważnym, uczciwym człowiekiem; nie brak ci urody, silnej osobowości ani inteligencji.

- To czemu nie udało mi się załatwić choć jednego zakichanego kontraktu? Tylko parę osób chciało w ogóle ze mną rozmawiać. Kilkanaście roześmiało mi się prosto w nos, gdy tylko wyjaśniałam, o co chodzi.

- Nie mów, że ci się nie udało - rzekł z emfazą. - Zrobiłaś wszystko, co było do zrobienia. Codziennie rano wychodziłaś dopięta na ostatni guzik; wyglądałaś bardzo profesjonalnie, a jednak kobieco. Dotąd ćwiczyłaś, co masz powiedzieć, aż opanowałaś to do perfekcji. Boże, ilekroć cię słuchałem, sam miałem ochotę umieścić swoje nazwisko w miejscu przeznaczonym na podpis klienta.

- To czemu oni nie chcieli się podpisywać?

- Pech. Brak pieniędzy. A to nie ma nic wspólnego z tobą.

Nawet najlepszy rybak, dysponujący najodpowiedniejszą przynętą, nie złapie ryby, jeśli ona nie zechce tknąć przynęty.

To, co mówił, pocieszyło trochę Sage. Przekonał ją, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Spośród spółdzielni i stowarzyszeń rolniczych skompletowała listę potencjalnych klientów. Wraz z Harlanem systematycznie zaczęli się z nimi kontaktować. Wysyłki spełżyły jednak na niczym. Nie przyniosły ani jednego rokującego nadzieję zamówienia.

Nie mogła również winić Harlana za brak sukcesu. Zaskoczył ją nawet pozytywnie, bo codziennie wiązał starannie krawat. Działanie mechanizmu wyjaśniał precyzyjnie i dogłębnie. Z łatwością zdobywał zaufanie wszystkich osób, z którymi się spotykali. Ludzie zdawali się instynktownie mu ufać. Traktowali go jak dobrego znajomego, obdarzonego niekłamany wdziękiem.

Harlan lubił ludzi i łatwo zdobywał sympatię. Podobnie jak Laurie, akceptował ich takimi, jakimi byli, i tego samego spodziewał się w stosunku do siebie. Zaprzyjaźnił się ze wszystkimi, których odwiedzili. Jego potrzeba nawiązywania bliższych więzów z rozmówcami bez wątpienia wywodziła się z braku domu rodzinnego.

Pomimo wielkich wysiłków opuszczali dolinę w poczuciu klęski. Mieli cholernego pecha: farmerzy i sadownicy przeżywali kryzys wynikły z zeszłorocznych przymrozków. Kondycja rolnictwa była nie lepsza niż przemysłu naftowego. Hodowcy martwili się, jak związać koniec z końcem. Żaden nie chciał inwestować, nawet jeśli pomysł wydawał się go-dzien zastanowienia.

- Wszyscy jednogłośnie orzekli, że wpadliśmy na genialny pomysł - przypomniał Harlan.

- Spróbuj genialnymi pomysłami zapłacić rachunki. Zaklął.

- Więc czego oczekujesz ode mnie? Żebym skreślił z autostrady i pojechał do wschodniego Teksasu? Poddajesz się?

- Nic podobnego! To metoda Harlana Boyda. Gdy sprawy mają się źle, po prostu znika. Umywa ręce i już go nie ma.

- Co ci się, do cholery, nie podoba w metodzie Harlana Boyda?

- A co w niej jest do podobania?! - napadła na niego. - Czemu tak przeraża cię myśl o zapuszczeniu gdzieś korzeni i urządzeniu się na stałe, jak zrobiłby każdy normalny człowiek? - Ponieważ zadała czysto retoryczne pytanie, nie czekała na odpowiedź. - Jestem inna niż ty. Nie uciekam przed problemami.

- Skądże znowu! Ty albo je omijasz za pomocą półśłówek, albo ukrywasz, odkręcając kota ogonem.

Spiorunowała go wzrokiem, a potem zaczęła wyglądać przez okno. Pola, które mijali, były nie obsiane. Uschnięte pozostałości po ubiegłorocznych zbiorach leżały w koleinach czekających na wiosenną orkę.

Wyschnięte uprawy przywiodły jej na myśl nawadnianie, a to z kolei przypomniało o wynalazku Harlana, który mógł stać się zbawieniem dla firmy Tylerów, przynajmniej do czasu, aż przemysł naftowy podźwignie się z kryzysu. A gdy wreszcie to nastąpi - w co święcie wierzyła - bracia będą mogli powierzyć jej wszystkie sprawy związane z nawadnianiem. Byłaby to filia firmy.

Zanim jednak puściła wodze fantazji, z goryczą uprzytomniła sobie, że właśnie kończą się im pieniądze. A zatem wróci do domu nie tylko w poczuciu klęski, ale także do szczętnie splukana.

Ile czasu wytrzymają jeszcze z Harlanem, nie rzucając się sobie do gardła? Pozostawało wprawdzie w odwodzie uprawianie miłości, ale było to niedopuszczalne. Uświadomiła sobie nagle, że jej zdenerwowanie wynika częściowo i z frustracji seksualnej.

Trzymali się od siebie z daleka. Im mniejszy pokój zajmowali, tym staranniej schodzili sobie z drogi. Nie była to tylko jej decyzja. Wyczuwała, że taka sytuacja odpowiada również Harlanowi.

Od czasu pamiętnej nocy w „Dairy Queen” nie pocałował jej ani razu. Nie zmarnował osobnego łóżka w wynajmowa-

nych pokojach. Rozmowy dotyczyły jedynie interesów, brakowało w nich dwuznaczności, które zdawałoby się tak ją drażniły, lecz teraz tęskniła do nich. Czuła się rozczarowana i zdezorientowana.

Dlaczego w ciągu całych tych dwóch tygodni ani razu nie starał się do niej zbliżyć? Czy zaczął ją w ten sposób przygotowywać do momentu, w którym zniknie z jej życia tak samo niepostrzeżenie, jak w nie wkroczył?

Sage posmutniała. Oparta na łokciu o krawędź szyby zapatrzyła się w mijany krajobraz.

Na przedmieściach Waco przejeżdżali wzdłuż wyjątkowo zielonego, doskonale utrzymanego pola. Chodzili po nim ludzie i uwijały się białe meleksy. Trójkątne flagi na wysmukłych chwiejnych tyczkach zdawały się dawać znaki Sage, która w pewnej chwili wyprostowała się raptownie.

- Golf! - krzyknęła.

- Słucham?

- Golf. Golf. Golf!

Harlan zerknął ponad jej głowę na pole golfowe.

- Chcesz się zatrzymać i pograć?

- Harlan, zasadziliśmy się nad niewłaściwymi przerebłami! - W podnieceniu złapała go za udo. - Mamy przynętę, ale rzucamy ją w nieodpowiednią wodę.

Jego błękitne oczy rozbłyły nagłym zrozumieniem.

- Pola golfowe!

- Właśnie. I specjalnie projektowane kompleksy wyposażone w pola golfowe, osiedla mieszkaniowe, tereny rekreacyjne, zaplanowane pod względem krajobrazowym...

- Luksusowe osiedla dla ludzi w podeszłym wieku!

- Tereny wypoczynkowo-zdrowotne!

- Wielofunkcyjne obiekty przemysłowe!

- Otóż to! - Odpięła pas i zarzuciwszy Harlanowi rękę na szyję, pocałowała go z głośnym cmoknięciem w policzek. - Powinniśmy zwrócić się do ludzi, którzy zajmują się kształtowaniem przestrzeni, a nie do farmerów. Potrzebni są nam inwestorzy, projektodawcy, przedsiębiorcy budowlani.

- Chcesz wrócić do Houston?

- Nie za bardzo. A czemu?

- Belcher! To dobre źródło.

Przez chwilę zastanowiła się nad tym.

- To tylko namiastka, a ja chcę sięgnąć do obfitych źródeł.

A poza tym nie chcę mieć z nim do czynienia po tym, co mu naopowiadali Lucky i Chase. Intuicja podpowiada mi, że nieźle go sponiewierali.

- Chyba masz rację... Dokąd więc?

- Do Dallas.

- Czemu akurat tam?

- Bo to rozwijające się miasto z wieloma terenami, o jakich właśnie mówiliśmy.

- Tak samo jak San Antonio. I Austin.

- Ale najbliżej mamy do Dallas. No i to miasto leży w niewielkiej odległości od Milton Point. Możemy tam dojechać w parę godzin.

Zaczęło mu się udzielać jej ożywienie. Uśmiechnął się i polecił:

- Zapnij pas!

Dodał gazu.

Dotarli do Dallas w ciągu niecałych dwóch godzin. Dziewczyna podziwiała właśnie srebrzysty horyzont, gdy Harlan wprawił ją w zdumienie, zatrzymując się przed bramą hotelu, który klasą przewyższał o całe niebo te, w których dotychczas bywali.

- Co mu ty robimy?

- Chyba musimy uczcić twój pomysł.

- To znaczy zatrzymać się tu?

- Ty jesteś skarbniczką. Stać nas na to?

- Pewnie nie, ale chyba zaszalejemy - rzekła ochoczo. Na samą myśl o tym rozbłyły jej oczy.

- Pójdźmy do jakiejś wytwornej restauracji. Wiesz: płócienne serwetki, srebrna zastawa, dzieła sztuki. Może chodźmy też do kina lub jakiegoś teatru... - kusił Harlan.

- Oj, tak! Tak! Nie mogę się doczekać.

- Ale jutro z powrotem do roboty, Kopciuszkule! - przestrzegł.

- Mamy nowe pole do popisu, a więc i tego nie mogę się doczekać.

- Chyba dorastałam w przekonaniu, że znaczę dla mych braci niewiele więcej niż piłka służąca do zabawy i nieustannego odbijania.

Sage w zadumie patrzyła na płomień świecy płonącej po-

środku małego przenośnego stolika. Pokój hotelowy okazał się niemal pałacem w porównaniu z pomieszczeniami, które zajmowali ostatnio. W telewizji był dość bogaty wybór filmów, a menu room-serwisu zawierało wiele wyśmienitych dań.

Zdecydowali się zostać w hotelu. Czuli się znużeni długą drogą i znacznie atrakcyjniejsza wydawała się im wizja odpoczynku niż wyjście w poszukiwaniu rozrywek. Zjedli czterodaniowy obiad w pokoju, a teraz marudzili jeszcze nad czekoladkami i kawą.

- Nie chcę z nimi współzawodniczyć, Harlan. Pragnę po prostu, by dostrzegali we mnie integralną część rodziny i naszego biznesu. Nie wystarcza mi rola małej siostrzyczki.

- Rozumiem. - Włożył do ust odwiniętą ze sreberka czekoladkę. - Ale musisz sobie wreszcie uświadomić, że w oczach rodziny na zawsze pozostaniesz dzieciątkiem, tak jak Chase zawsze będzie najstarszy.

- Mówisz jak na wykładach z psychologii na pierwszym roku.

- Zgadza się - przyznał ze śmiechem. - Wybrałem taki fakultet na A&M.

- A więc twoje spostrzeżenia nie opierają się na własnych doświadczeniach?

- Nie.

- Nie masz braci ani sióstr?

- Nie.

Zaczęła bawić się sreberkiem z czekolady. Rozważała możliwość powęszczenia w życiu Harlana. Wiedziała, że jeśli tego nie uczyni, on sam nie wyjawি tajemnicy tkwiącej w jego przeszłości.

- Musiałeś mieć ciężkie życie... - Popatrzyła na niego sponad płonącej świeczki. Jego twarz pozostała niewzruszona. - Nie potrzebujesz mi o tym mówić, jeśli nie chcesz. - Przerwała z nadzieją, że wreszcie się czegoś dowie.

- Nie chcę.

Poczuła się rozczarowana jego brakiem zaufania. Nie dała jednak tego poznać po sobie i rzekła:

- Przykro mi, że musiałeś wszystko znosić sam. Dla mnie rodzina jest podstawą życia. Nie potrafię sobie wyobrazić dzieciństwa bez rodziców i niesfornych braci.

- Przypadł ci szczęśliwy los.

- Wiem - przyznała miękko. - Bywa, że mnie wykańczają psychicznie, ale bardzo ich kocham.

- Oni ciebie też. - Podparł się na łokciach, pochylił nad stołem i zapytał: - Bo i czemu miałyby być inaczej?

Obiad podano, gdy Sage kończyła długą, gorącą kąpiel. Harlan nie chciał, żeby jedzenie wystygło, uparł się więc, aby usiadła do stołu z mokrymi włosami, bez makijażu, zawinięta w miękki aksamitny szlafrok.

Teraz wodził po niej wzrokiem, po czym wziął za rękę i przyprowadził na swoją stronę stołu. Rozsunął kolana. Sage stanęła między nimi.

Objął ją i ocierał się o poły szlafroka.

- Ładnie pachniesz - rzekł.

Zaczęła drżeć. Po dwóch tygodniach bez najmniejszych oznak flirtu jego dotyk podziałał na nią elektryzująco. Lecz nadal pragnęła, by nie myślał, że może ją łatwo mieć. Czy naprawdę wystarczy, że skinie palcem, a ona nie bacząc na nic rzuci mu się w ramiona?

- Harlan, co ty robisz?

- Jeśli choć na chwilę umilknie, to może cię uwiodę...

- Kiepski pomysł. Uzgodniliśmy przecież, że łączą nas tylko interesy. A jeśli chodzi o to, co już się stało... wołę, żebyś nie myślał...

- To chyba twoja jedyna wada: cholernie dużo mówisz.

Nie powstrzymał jednak potoku słów dziewczyny pocałunkiem, lecz równie przekonującym spojrzeniem. Gdy spojrzała w jego płonące oczy, słowa protestu zamarły jej na ustach, a w środku wszystko przewróciło się do góry nogami, i starannie przestrzegane postanowienia rozpierzchły się. Harlan patrzył na nią ognicie, rozwiązując szlafrok.

- Do diabła, Sage - wyszeptał, wsunawszy ręce pod cienką szatę. - Gdybym wiedział, że nie masz nic pod spodem, nie marudziłbym tak długo z posiłkiem.

Przyciągnął ją do siebie i przywarł ustami do dziewczęcego ciała. Sage podskoczyła, poczuwszy na skórze język. Oparła się o ramiona Harlana, a on zaczął całować jej brodawki, drażniąc je koniuszkiem języka.

Jęknęła i zachwiała się. Poderwał się i złapał ją w ramiona.

- Rozepnij mi spodnie.

Nie śpieszyła się jednak. Zawahała się i dopiero po chwili nieśmiało sięgnęła do rozporoka. Guziki ustępowały z trudnością, zwłaszcza że Harlan pieścił jej piersi i muskał usta językiem pachnącym czekoladą. Wzdychał z rozkoszą, gdy ocierała się o niego przez cienką materię dżinsów. W końcu odpięła ostatni guzik i cofnęła dłonie.

- Dziękuję - westchnął z ulgą. - Czy zdejmiesz mi również podkoszulek?

Nim zajęła łazienkę, zdążył wziąć prysznic. Przebrał się w znoszone dżinsy, które leżały na nim jak ulał, i biały bawełniany podkoszulek, przylegający idealnie do szerokiej piersi i ramion.

Nawet przez tkaninę widziała, że jego brodawki są stwardniałe. Na widok nagiego torsu Harlana niezmiennie ogarniało ją podniecenie. Chwyliła za dół podkoszulka i ściągnęła przez głowę, odsłaniając jego twarde mięśnie i burząc czuprynę. Włosy opadły mu z powrotem, ale były malowniczo potargane. Parę kosmyków zsunęło się na czoło.

- O niebo lepiej - wyszeptał, przyciągając ją do siebie. Oboje byli rozebrani do pasa.

Pocałunek trwał całą wieczność. Sage miała coraz większą ochotę na jeszcze. Delikatnie ocierała się o tors Harlana, drażniąc swą gładką skórę jego owłosieniem. Jej brodawki również stwardniały. Dostrzegł to natychmiast i zaczął je łagodnie pieścić - najpierw opuszkami palców, a potem wargami. Wkrótce usta Harlana wędrowały po całym jej ciele. ,

W końcu opadł na krzesło i obsypał pocałunkami jej brzuch i wystające kości biodrowe. Przez chwilę przyglądał się meszkowi pomiędzy jej udami. Później zaczął się nim bawić.

Serce Sage zabiło mocniej. Oddychała coraz szybciej. Wszystko dookoła pociemniało. Wkrótce widziała już tylko Harlana i przymglony płomień świecy.

Gdy dotknął ją tam ustami, jęknęła cichutko i zatopiła palce w jego włosach. Słodkie pocałunki dostarczały jej tak ogromnej rozkoszy, że było to prawie nie do zniesienia.

Harlan przykleknął. Delikatnie rozchylił miękkie ciało opuszkami palców, a potem uczynił coś cudownego ustami.

Jej cichutkie jęki wyrażały pożądanie, ale i wątpliwość. Odczucia, których nigdy przedtem nie doznała, ogarnęły całe ciało. I choć wprawiły ją w dziką ekstazę, przestraszyła się siły doznania.

Odsunęła się od Harlana i opadła na łóżko, chowając twarz w poduszkę. Palce zacisnęła na kołdrze, bo podniecenie wcale jej nie opuszczało. Wstrząsały nią dreszcze. Nie mogła pohamować urwanego oddechu.

Materac ugiął się pod ciężarem Harlana, który wyciągnął się obok i głąskał ją po włosach.

- Co się stało, Sage? Czego się boisz?

Odrzuciła się na plecy, nadal rozogniona i bez tchu. Chodziło jednak o dumę.

- Nie boję się niczego!

- To dlaczego uciekłaś?

Zakłopotana, odwróciła głowę. Schwycił ją za podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Drżałaś. Tak niewiele brakowało, czułem to przecież. Czemu uciekłaś? - Jego oczy żądały wyjaśnień.

- Bo mnie to zaskoczyło - odpowiedziała ochryple.

- Czy nigdy się tak nie kochaliście z Travisem?

To przypuszczenie zdumiało ją. Zaprzeczyła gwałtownie.

- Ten facet jest idiotą albo urwał się z choinki - wymamrotał Harlan. - Sage, czemu ty się właściwie nigdy z ni-

kim nie kochałaś? Jestem pewien, że nie narzekałaś na brak powodzenia.

- Masz rację.
- Więc czemu?
- Nie wiem, Harlan. Nie męcz mnie.

Ujął jej głowę w obie dłonie.

- Posłuchaj mnie. Od dwóch tygodni staram się trzymać od ciebie z daleka. Nie jest to łatwe. Prawie każdy twój gest, słowo, uśmiech, mina działają na mnie jak prąd. I dlatego, do cholery, należy mi się odpowiedź na to proste pytanie.

Sage czuła się nadal bardzo podniecona. Jego słowa bynajmniej jej nie uspokoiły.

- To wcale nie jest proste pytanie, Harlan. Odpowiedź jest bardzo złożona. A co więcej, nawet ja jej nie znam.

- A mnie się zdaje, że potrafię zgadnąć. Nie dałaś szansy Travisowi, w obawie, że zawiedziesz jego i samą siebie.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co ty pleciesz?

- Nasłuchiwałaś się historyjek o podbojach miłosnych swoich braci. Wiedziałaś, że nie masz szans zwyciężyć w rywalizacji z nimi, chyba że stałabyś się rozpustnicą...

- To mi wygląda na obłudę!

- Masz rację, ale tak właśnie jest. Postanowiłaś więc, że w dziedzinie seksu nie będziesz nawet próbowała im dorównać.

- Nigdy w życiu nie wymyśliłabym takiej bzdury.

- Pewnie, że nie. Bo to wszystko gra podświadomości.

Ale posłuchaj mnie teraz. - Zaciśnął ręce wokół jej głowy. Pochylił się, wsunął udo pomiędzy jej nogi. Materiał dzinsów wydał jej się niemożliwie szorstki, a zarazem miękki. - Jesteśmy tylko we dwoje, Sage. Ja nie wystawiam ocen. Nie musisz mi niczego udowadniać. Podniecasz mnie i tak. Wiem też, że i ty mogłabyś się rozgrzać, gdybyś tylko zechciała. Lecz jeśli powiesz „nie”, zostawię cię w spokoju. Bez żadnych komentarzy. Wiesz, że pragnę cię rozpaczliwie, ale wszystko zależy od ciebie. A więc?

- Chcę... - Umilkła, niezdolna wydusić z siebie prośby.
- Powiedz to, co pomyślałaś. Raz w życiu bądź po prostu sobą. Nie rozważaj, czego należałoby się w danej sytuacji spodziewać po Sage Tyler, córce Buda i Laurie, młodszej siostrze Chase'a i Lucky'ego.

Odetchnęła głęboko, a potem wyszeptała pośpiesznie:

- Chcę, żebyś mnie dotykał.
- Gdzie?
- Wszędzie.
- Powiedz mi to wyraźnie.
- Mam ci powiedzieć słowami?
- Masz mi powiedzieć słowami.

Uczyniła to. Chłopakowi pociemniały oczy. Patrzył na nią intensywnie.

- Chcesz tego? - wydyszał ciężko.
- Kiedy mnie całujesz...
- Tak?

- Bądź wszędzie. Bierz mnie tak, jakbyś pochłaniał swój ostatni w życiu posiłek.

- Nieźle ci idzie - szepnął. - Mów dalej.

Zmysły i nerwy pulsowały w niej jak pod wpływem silnego narkotyku. Czuła się cudownie ożywiona, tryskała podnieceniem.

- Chcę poznawać całe twoje piękne ciało, mieć cię tuż przy sobie. Chcę, żebyś znowu był we mnie.

Harlan gwizdnął cichutko.

- Jak na początek cholernie dobrze sobie radzisz, panno Sage.

Ognisty pocałunek sprawił, że zaczęła wprowadzać swe słowa w czyn. Wsunęła ręce pod jego dzinsy i objęła go za pośladki.

Harlan westchnął głęboko, położył się na boku i ściągnął spodnie. Oddychał urywanie, ale następny ruch pozostawił Sage.

Z zaciekawieniem oglądała jego ciało. Dotknęła pazno-

kciem brodawki. Harlan wstrzymał oddech, ale nadal jej nie ponaglał.

Przytuliła głowę do jego piersi, przycisnęła usta do brodawki i zaczęła pieścić ją językiem. Wyszeptał jej imię i zanurzył dłonie w jej włosach. Sage ulegała teraz wszelkim swym zachciankom. Wprowadzała w życie najskrytsze fantazje, które wyśniła już dawno. Jej usta baraszkowały po piersi kochanka. Całowała go, szczypała, bawiła się, lizała i ssała delikatnie.

• W miarę zabawy narastało w niej pożądanie. Uklękła i przesuwała usta w coraz niższe rejony męskiego ciała. Zagłębiła język w ukrytym pod włosami pępku.

Harlan powtarzał jej imię i wplątywał palce w bujne włosy.

Dziewczyna ocierała się twarzą o jego owłosiony dół brzucha, muskając wargami gładki koniuszek członka.

- Umieram, kochanie - jęknął i przyciągnął ją ku sobie. Zwarli się w namiętym pocałunku. Przyłgnęła do niego biodrami. Uniósł się i pochylił nad nią.

- Musimy trochę zwolnić tempo. Nie ma co się tak śpieszyć, przecież hotel się nie pali. Nie chcę ci znowu sprawić bólu.

- Nic mnie nie będzie bolało! Harlan, proszę cię, teraz!

Pomimo ponaglenia wsunął się w nią powoli, delikatnie, lecz pewnie.

- Jesteś taka wilgotna... - westchnął, zagłębiając się w jej ciało. - Boże, jesteś wspaniała.

- Ty też.

Uśmiechali się czule. Chłopak zagłębiał się coraz bardziej.

- Czujesz?

- Hmm... tak...

- A teraz?

Zamknęła oczy i wymamrotała coś bez związku.

- Dobrze, dobrze. A teraz rozsун kolana. Tak. Och, Sage!

Natychmiast zapomniał o swych własnych przestrożach na temat unikania pośpiechu. Sage zresztą mu nie przypominała. Z przyjemnością przyjmowała każdy jego ruch. Opróżniła

umysł ze wszystkich innych emocji, delektowała się rozkosznymi doznaniem, upajała każdym nowym przeżyciem, starała się odwzajemniać.

Wchłaniała go w siebie całym ciałem, umysłem i duszą. Nie zdawała już sobie sprawy, że stanowią odrębne jednostki. Osiągnęła prawie szczyty rozkoszy, co nauczyła się rozpoznawać, i wcale nie starała się przerwać tego doznania. Jeszcze mocniej przyłgnęła do Harlana. Skoncentrowała się na rytmie zwartych ciał, na ciepłe, dotyku, odczuwaniu wszelkich ruchów. Potem zatoneła w niewypowiedzianej rozkoszy.

Po kilku minutach, gdy chciał się od niej oderwać, wyszeptała:

- Nie odchodź...

Przetoczyli się po łóżku, nadal razem, aż znaleźli się znów twarzą w twarz.

- Namówiłaś mnie, żebym został.

Usta odnalazły się w łagodnym, niewinnym pocałunku. Po tem wtuliła się w jego szyję.

- Harlan?

- Hmm?

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Roześmiała się oparta o jego ciepłe ciało.

- Harlan...

- Hmm?

- Nic. Po prostu powiedziałam na głos twoje imię.

Westchnęła głęboko, z zadowoleniem. Zamknęła oczy i zapadła w sen.

Gdy następnego ranka wpadła do pokoju, Harlan leżał na plecach z rękami pod głową.

- No, wreszcie się obudziłeś - rzekła, obdarzając go pełnym szczęścia uśmiechem.

- Dokąd poszłaś? Zaczynałem się już martwić.

- Przebudziłam się wcześniej. Roznosiła mnie energia. Cze-

kałam, aż i ty wstaniesz, ale potem poszłam po pączki i gorącą kawę. Wszystko, co lubisz.

Postawiła przed nim dwie białe torebki papierowe. Na stole nadal piętrzyły się naczynia po kolacji i świece, które wypaliły się w tę miłosną noc, kiedy zasypiali i budzili się, by znowu się kochać, aż Sage straciła rachubę.

Podeszła do łóżka, pochyliła się i pocałowała Harlana w czoło, pokryte kosmykami jasnych włosów, potem w usta. Ujęła rąbek koca, uniosła go i zerknęła pod spód.

- O! Harlan, znowu jesteś goły. Cóż za nieokrzesanie!

- Czy to jakieś uczone określenie zastępujące termin „nieprzyzwoitość”?

- Skończyłeś przecież studia. Wiesz, co znaczy słowo „nieokrzesany”.

- A ty wiesz, co znaczy „nieprzyzwoity”? Chodź tu.

Złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Udawała, że się broni, potem ułożyła się na nim delikatnie, rozkoszując się jego twardością.

- Znowu? - wyszeptwała uwodzicielsko. - Słyszałam, że jeśli się to robi za często, można stracić wzrok.

- Można go stracić, jeśli się tego nie robi.

- No nie! Przecież nie możemy do tego dopuścić... - odparła, ocierając się o niego ustami.

Nie przerywając żarliwych pocałunków szybko pozbyła się ubrania. Leżała naga na Harlanie, jego owłosione ciało dotykało jej gładkiej skóry. Zdziwiła się, gdy rozchylił jej uda i uniosł ją tak, by siadła na nim okrakiem.

- Nie wiem, co teraz - wyznała szczerze zaniepokojona.

- Wiesz.

- Tak? - Wykonała ruch, po którym zabłyśły mu oczy.

- Tak... - odparł z wysiłkiem. - Właśnie tak.

Gdy było po wszystkim, położyła się na nim, dysząc jak cudem ocalona ofiara katastrofy okrętowej.

Objął jej drobne plecy. Patrzył na nią z uwielbieniem.

- Sage, kto by przy tobie potrzebował fantazjować?

- Ty moje marzenia spełniłeś...

- Wszystkie?

- No, jest jeszcze coś...

Złapał ją delikatnie za włosy i uniosł leciutko w górę.

- A więc?

- Czy mogę ci umyć plecy pod prysznicem?

Uśmiechnął się leniwie.

- Panno Sage, może pani mi umyć, co tylko pani dyktuje to malutkie serduszeko.

Sage pierwsza wynurzyła się z łazienki. Harlan został, żeby się ogolić. Podśpiewując zebrała porozrzucaną naokoło łóżka garderobę. Ubrała się. Gdy wyszedł z łazienki, zdejmowała właśnie przykrywkę z plastikowych kubeczków z kawą. Harlan dopinał dżinsy.

- Boję się, że kawa wystygła - rzekła przepraszająco i podała mu kubeczek.

- Ale warto było. Zawsze wolę gorący seks od gorącej kawy.

- Oj, chyba ci wierzę - mruknęła.

Pocałował ją, a później pociągnął łyk letniej kawy.

- Ale za to pączki są wciąż świeże - oznajmiła. - Weź sobie.

Wepchnęła mu do ust pączka. Odgryzł kawałek i wskazał palcem w kierunku piętrzących się na stole papierów.

- Co to jest?

- Zanim wyszłam, przejrzałam lokalną gazetę, którą wzięliśmy z hallu, gdy rejestrowaliśmy się w hotelu. Znalazłam parę imponujących kawałków o błyskawicznych karierach, więc zaczęłam kompletować listę naszych potencjalnych klientów.

- Bardzo dobrze - pochwalił, przebiegając wzrokiem wykonany przez Sage spis.

Śledziła jego twarz w marzycielskim uniesieniu. Nagle dostrzegła, że rysy mu stężały. Przestał jeść i znieruchomiał na parę sekund.

- Wykreśl przedostatnie nazwisko. - Gwałtownie odłożył kartkę.

Sage zerknęła na swą listę.

- Co masz przeciw Hardtackowi i Spółce?

- Co za różnica - jedno nazwisko mniej! Masz tam poza tym z tuzin różnych firm.

Patrzyła na niego z zakłopotaniem. Odstawił kawę, odłożył nie dojeżdżonego pączka i przemierzał nerwowo pokój, bezmyślnie przekładając z miejsca na miejsce różne przedmioty. Zachowywał się jak rozdrażnione zwierzę w klatce.

- Harlan, czemu to nazwisko tak cię zdenerwowało?

- Wcale nie jestem zdenerwowany.

- Nie kłam! - krzyknęła. - Przecież widzę. Czy wiesz coś o Gray sonie Hardtacku, co również ja powinnam wiedzieć?

- Daj spokój, dobrze? Wykreśl go z listy i koniec.

- Niemożliwe. Ten facet ma w mieście dojścia niemal do wszystkich. To właśnie klient, jakiego nam potrzeba najbardziej.

Stanął przed nią spięty i gotowy do walki.

- Oszczędź sobie zachodu. Hardtack nie poświęciłby ci nawet minuty, gdyby wiedział, że pracujesz ze mną. Wiem, co mówię!

- Ale dlaczego?

- To już moja sprawa.

- Popadłeś z nim w konflikt?

- Można to tak nazwać.

- O co się posprzeczaście?

- Daj spokój, Sage.

- O co pokłóciłeś się z Hardtackiem? - powtórzyła z uporem.

Zacisnął wargi, po czym rzekł krótko:

- Przez pewien czas miałem coś, co należało do niego.

Sage zamyśliła się nad tymi słowami, ale ich znaczenie pozostawało dla niej niejasne.

- To znaczy, że coś mu ukradłeś?

Jej upór zirytował go. Przeczesał palcami włosy.

- Prosiłem, żebyś przestała dociekać.

- Ależ muszę wiedzieć, o co chodzi! Harlan, co takiego miałeś?

Spojrzał na nią ponuro.

- Jego żonę.

Sage nerwowo kartkowała błyszczący magazyn ilustrowany. Apartamenty zarządu Hardtacka i Spółki były supernowoczesne i surowe, urządzone w czerni i szarości z kasztanowymi akcentami.

Przyjrzała się sekretarce Graysona Hardtacka, która w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie uśmiechnęła się lekko.

- To już z pewnością długo nie potrwa, pani Tyler.

Karmazynowe usta urzędniczki prawie się nie poruszały. Nawet huragan nie zburzyłby jej mocno polakierowanych włosów, których kolor pasował idealnie do odcienia znajdującej się za nią szarej ściany.

- Dziękuję.

Sage zachowywała się jak skradający się kocur. Wydawało jej się, że lakierowane drzwi otworzą się za chwilę z hukiem i ukaże się w nich Harlan oskarżający ją, że chciała go wstrychnąć na dudka. A ponieważ to właśnie zamierzała uczynić, czuła się coraz bardziej zdenerwowana.

Po kłótni sprzed dwóch dni, gdy zastrzelił ją nowiną o żonie Hardtacka, wymeldowali się z luksusowego hotelu i przenieśli do innego, odpowiadającego ich możliwościom finansowym. Choć nieszczęsny budżet był prawie na wyczerpaniu, Sage wynajęła osobny pokój, gdzie, zamknięta, spędziła większość dnia.

Godziny rozważań doprowadziły ją do wniosku, że należy dać pierwszeństwo zadaniu, jakie sobie wyznaczyła, a uczuciami zajmie się później.

Podjąwszy decyzję, skierowała się do drzwi pokoju Harlana i zapukała.

Nie spieszył się z otwieraniem, a właściwie świadomie

zwlekał. Gdy w końcu otworzył, oparł się o framugę. Postanowił zmusić Sage, by odezwała się pierwsza.

- Wykonałam parę telefonów - zaczęła zimno. - Z tymi ludźmi spotkamy się jutro rano. - Wcisnęła mu do ręki listę, którą pobieżnie przejrzał. Nie znalazł tam Hardtacka i Spółki.

- Fajnie.

- A więc nadal jesteś zainteresowany naszą współpracą? zapytała oficjalnym tonem.

- To przecież ty się cały dzień dąszasz!

- Po prostu zaszokowała mnie wiadomość, że związałeś się z cudzą żoną.

Wzniósł oczy do nieba, a następnie spojrzał z przyganą na Sage, co doprowadziło ją do szału. Jak śmie zachowywać się tak, jakby to ona miała się bronić?! Jakby to ona powinna tłumaczyć się z niechlubnej przeszłości!

- To nie ma żadnego związku z tym, co dzieje się między nami - oznajmił.

- Mylisz się, Harlan. Wszystko, co człowiek przeżył, ma znaczenie. Przeszłość czyni nas takimi, jacy jesteśmy.

Ze smutkiem pokiwał głową.

- Jeśli tak uważasz, Sage, to nie jestem facetem dla ciebie.

W ułamku sekundy stanęło jej przed oczami wszystko, co wspólnie przeżyli, co jej pokazał i jak nauczył ją osiągania rozkoszy we dwoje. Zmieszała się i zacerwieniła, ale jej oczy pozostały chłodne.

- Jak wspaniale, że uświadomiłeś to sobie, gdy już poszłam z tobą do łóżka!

Wymaszerowała dumnie z pokoju i spędziła samotnie całą noc. Czuła się jednak podle, brakowało jej Harlana w łóżku. Winiła za to nie tylko jego, ale i samą siebie. Podczas umówionych spotkań z klientami w ciągu paru następnych dni odnosili się do siebie w sposób cywilizowany i udawało im się stłumić wrogość. Każde, jak dawniej, prowadziło swoją część prezentacji.

Ze strony większości wiceprezesów odpowiedzialnych za daną dziedzinę spotykała ich uprzejma odprawa. Obiecywali

pamiętać o spółce Tylera i skontaktować się z nią w bliżej nie określonej przyszłości, co prawdopodobnie było zakamuflowaną odmową współpracy.

Tego ranka spotkało ich kolejne rozczarowanie. Powrócili więc koło południa do motelu, straciwszy cały zapał i ducha walki.

Sage odezwała się do Harlana:

- Jeśli nie musisz nigdzie jeździć, chciałabym zabrać samochód i rozejrzeć się w poszukiwaniu odpowiedniego fryzjera i manikiurzystki.

- Przecież nie korzystasz z ich usług. - Harlan nabrał podejrzeń.

- I właśnie dokładnie tak zaczynam wyglądać. - Choć przeszywał ją wzrokiem, starała się zachować obojętny wyraz twarzy.

- W porządku - odparł w końcu. Zanim jednak opuścił samochód, zabrał z tylnego siedzenia teczkę z projektami.

- To do widzenia.

- Do widzenia.

Gdy Sage odjechała kawałek od motelu, sięgnęła pod przednie siedzenie, skąd wyjęła drugą teczkę zawierającą fotokopie, które zrobiła, gdy miała dostęp do rzeczy Harlana. Rysunki trzeba było znacznie pomniejszyć, ale nie zaszkodziło to ich czytelności. Jeśli Harlan zdecyduje się odejść, nie chciała zostać z pustymi rękami. Cieszyła się, że wpadła na ten pomysł, bo wszystko wskazywało na to, że Harlan szykuje się do odjazdu w nieznaną.

Ulżyło jej, bo nie tylko w tym wypadku zachowała ostrożność. Harlan za każdym razem, gdy się kochali, pamiętał o zabezpieczeniu.

Przypomniała sobie, jak słodkie i namiętne chwile ich łączyły. Zaskliły się jej oczy. Zamrugnęła powiekami, żeby przerażająco nieskazitelna sekretarka Hardtacka nie dostrzegła łez.

Sage nie zaskoczył fakt, że Harlan miewał przed nią kobiety. Miała świadomość, że wszędzie, gdzie się znalazł, budził żywe zainteresowanie kobiet, okazujących mu to bez

żenady. Jego rozbrajający uśmiech potrafił zmieszać nawet najsolidniejszą kasjerkę. Jedno przeciągłe spojrzenie wystarczyło, by kłótniwa kelnerka przemieniała się w anioła. Figlarne mrugnięcie sprawiało, że nawet przeciętnej urody dama uśmiechała się promiennie niczym królowa piękności. Tak, Harlan Boyd zdecydowanie robił wrażenie na kobietach.

A zatem pani Hardtackowa nie była wyjątkiem.

Musiał mieć z nią przygodę, gdy pracował dla jej męża. Gdy ten dowiedział się, rozpętało się piekło. Sage mogła się jedynie domyślać, ale sądziła, że właśnie tak musiały wyglądać jego przygodne związki.

Raniło ją jednak, że Harlan nadal tak ostro reaguje na każdą wzmiankę na ten temat. Cokolwiek łączyło go z żoną Hardtacka, nie wyleczył się jeszcze do końca.

Czy nadal interesuje się tą kobietą? Jeśli nie, to czemu się tak irytuje? Mógł się przecież roześmiać i powiedzieć na przykład: „Sage, idź lepiej na to spotkanie sama, bo, widzisz, pani Hardtack nie starała się ukryć swej niewierności. Mąż poczuł się dotknięty i... sama rozumiesz”. Ale Harlan nie starał się przedstawić związku z tą kobietą jako przelotnego flirtu. Zaczął kręcić się po pokoju jak zranione zwierzę. Zmienił się nie do poznania. Jeśli wspomnienie tej damy tak go wytrącało z równowagi, w jego sercu wciąż musiała tkwić zadra.

Ile takich flirtów ciągnie się za Harlanem? Dziesiątki? Setki? Niezależnie od wszystkich - nie zapomnij dodać jeszcze jednego - pomyślała zjadliwie pod własnym adresem.

Harlan stwierdził, że zawodowo zajmuje się rozwiązywaniem problemów. Czyżby Sage była więc kolejnym problemem, który napotkał? Sfrustrowaną dziewczyną z okaleczonym *ego*, która rozpaczliwie pożądała uświadomienia seksualnego? Gdyby miała wysłać anons do rubryki towarzyskiej, nie mogłaby jaśniej określić swej sytuacji.

Harlan, którego natura wyposażyła sownie w możliwości rozwiązywania akurat takich problemów, odpowiedział na nie opublikowany anons. Wprowadził Sage w dziedzinę, którą

pragnęła poznać. Wolnił ją od niemożności wyrażenia tego, co czuła. Teraz, gdy poznała już, że potrafi być nieposkromiona, Harlan uzna jej problem za rozwiązany i ruszy w stronę, gotów do rozstrzygnięcia kolejnych spraw.

Zastanowiła się, czy pożegna się z nią, czy uprzedzi o odejściu. A może po prostu, gdy obudzi się pewnego ranka, jego już nie będzie? Taki rozwój wypadków wydawał się najprawdopodobniejszy. Nie potrafiła sobie wyobrazić Harlana w ckiej scenie pożegnania. Niezależnie od formy rozstania Sage przypłaci je złamanym sercem.

Zakochała się w... szaleńcu.

- Pani Tyler?...

Podskoczyła, przestraszona nagłym przywołaniem do rzeczywistości.

- Tak?

- Pan Hardtack prosi panią.

- Dziękuję.

Wzięta z kanapy torebkę i teczkę ze szkicami, i ruszyła za sekretarką po wypolerowanej marmurowej posadzce. Za wielkimi drzwiami znajdowała się świątynia Hardtacka.

Surowość wnętrza łągodziły orientalne dywaniki, tworzące na podłodze małe, cenne wysepki. Za oknem, sięgającym od podłogi do sufitu, rozciągał się imponujący widok miasta.

Jako pracę domową Sage zadała sobie zdobycie informacji o Hardtacku, wiedziała więc, które budynki należą do niego.

Na chwilę onieśmielił ją bezmiar bogactwa i władzy. Co ona właściwie robi w tej świątyni pieniędzy?

A właściwie, czemu nie? - podpowiadał przekornie wewnętrzny głosik. Podnosiło ją na duchu poczucie dumy rodzinnej. Wywodziła się z Tylerów, a to coś znaczyło.

Wyprostowała się, podeszła do biurka szefa firmy i wyciągnęła dłoń. Siwiejący, postawny mężczyzna, ubrany w nie-naganny garnitur, uniósł się lekko na krześle i ucisnął wyciągniętą rękę.

- Witam pana, panie Hardtack. Nazywam się Sage Tyler.

Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, choć propozycją tą chyba zaskoczyłam pana.

- Proszę usiąść, pani Tyler. - Gdy Sage zajmowała miejsce, sekretarka podała swemu szefowi jakąś karteczkę. Zerknął na nią, podziękował ruchem głowy. Kobieta wycofała się bezgłośnie.

- Powiedziała pani mojej asystentce, że pragnie się pani ze mną pilnie zobaczyć w sprawie osobistej...

Hardtack dobiegał sześćdziesiątki; miał szeroką klatkę piersiową i wystający brzuch, choć przeważały w nim chyba raczej mięśnie niż tłuszcz. Czerwień nosa o kształcie kartofla zdradzała skłonność do paru burbonów dziennie. Potentat miał dość denerwujący zwyczaj uważnego patrzenia na rozmówcę spod siwych krzaczastych brwi.

Sage, zdziwiona własną zuchwałością, rzekła śmiało:

- Skłamałam, panie Hardtack. Przyszłam, żeby panu zaproponować kupno czegoś.

Hardtacka zaskoczyła jej szczerość. Przyjrzał się dziewczynie uważniej. Poprawił się na skórzanym fotelu, splótł ręce na brzuchu i zachichotał cichutko.

- No, ma pani tupet, pani Tyler. Czym pani handluje? Czyżby skończyła mi się subskrypcja na „Przewodnik TV”?

Ponieważ Sage nie była pewna, jak długo potrwa jego dobry humor, uśmiechnęła się nieśmiało i rozłożyła teczkę z projektem Harlana.

- Chciałabym zapoznać pana z nowym systemem nawadniająco-spryskującym. Oto rysunki.

Nie spojrział na nie nawet. Nie odrywał wzroku od dziewczyny.

- Pani Tyler, jestem bardzo zajęty. Zatrudniam całą armię pracowników, którzy zajmują się takimi sprawami.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - odparła prędko, przeczuwając, że Hardtack wkrótce ją wyprosi. - Ale od tygodni spotykam się z wiceprezesami i młodymi kierownikami, których bardziej interesuje, żeby zmieścić się w budżecie niż dokonać jakichkolwiek inwestycji. Nikt nie chce

podjąć ryzyka w tych niepewnych czasach, a zatem nie podejmuje i żadnych decyzji. Postanowiłam przyjść prosto do człowieka znajdującego się na samej górze, który podpisuje czeki i tym samym podejmuje decyzje. Mam dość wiecznego odsyłania mnie od jednego podwładnego do drugiego.

Patrzył na nią przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność. Później zerknął na zegarek i powiedział:

- Ma pani pięć minut.

Popchnęła teczkę w jego stronę i zaczęła zachwalać nie-naganną reputację Spółki Wiertniczej Tylera. Po paru sekundach przerwał jej.

- Pozycja pani rodziny w przemyśle naftowym jest mi znana. Proszę więc powiedzieć, co pani sprzedaje i czemu miałbym to kupić?

- Czy zlecił pan już wykonanie systemu nawadniająco-spryskującego w Shadow Hills?

Kilkanaście kilometrów na północ od Dallas rozpoczęto przygotowywanie terenów pod budowę osiedla, które miało zajmować obszar kilku kilometrów kwadratowych. Przewidziano tam pola golfowe i do gry w polo, pas startowy, centrum handlowe, ekskluzywny klub country i nieprawdopodobnie drogie budynki mieszkalne.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł.

- Byłabym wdzięczna, gdyby dał mi pan szansę ubiegania się o to zlecenie. Mamy dokładnie to, czego panu potrzeba.

- Czy ma pani jakieś referencje? Kto już używa waszego systemu?

- Nikt. Jeśli pan go kupi, będzie pan naszym pierwszym klientem.

Nie chciała zaczynać kariery od kłamstw. A nawet gdyby się o to pokusiła, Hardtack zorientowałby się natychmiast. Spojrzała mu prosto w oczy. Czekwała, kiedy oświadczy, że nie jest zainteresowany, i wezwie sekretarkę, by ją wprowadziła.

Hardtack jednak powiedział:

- Więc słucham.

Zręcznie cytując, co mówił potencjalnym nabywcom Harlan, Sage wyjaśniła mechanizm działania urzędów.

- Możemy zainstalować spryskiwacze naziemne, jak również systemy podziemne. Możemy przy tym wykonać to taniej niż jakakolwiek inna firma, gdyż dysponujemy materiałami - rurami i pompami - które wyszły z użycia, gdy załamał się rynek naftowy.

Hardtack oglądał rysunki dużo dłużej, niż odważyłaby się mieć nadzieję. Właściwie studiował je dokładnie. Nie unosząc głowy zapytał:

- Kto wykonał te rysunki?

- Nasz projektant - odparła wymijająco. - Za instalację i uruchomienie odpowiedzialność ponoszą moi bracia.

- Hmm.

Zżerała ją ciekawość, czy Hardtack zareagowałby na dźwięk nazwiska Harlana podobnie jak Harlan na widok nazwy jego firmy, nie ośmieliła się jednak zaryzykować sprawdzenia tego. Hardtack był na to zbyt cennym klientem - zawarcie z nim kontraktu mogło doprowadzić do wielu następnych, mogło też wzbudzić zaufanie do nowego przedsięwzięcia Tylerów.

Dlatego też pragnęła spotkać się z tym człowiekiem osobiście. Przy okazji chciała zobaczyć, jak wygląda zdradzony mąż.

- Zatrzymam to - rzekł nagle, składając rysunki.

- W...wspaniale - wyjąkała. Będzie musiała zadbać, żeby Harlan natychmiast zaczął ubiegać się o patent.

- Chciałbym je dokładnie przejrzeć i porozmawiać z nadzorcą projektu.

- Oczywiście.

- Jak można się z panią skontaktować?

Serce zabiło jej mocniej. Po tylu niepowodzeniach nie wierzyła własnym uszom, gdy zarysowała się szansa na sukces.

- A więc jest pan zainteresowany?

- Będę z panią szczerzy. System nawadniania Shadow Hills nie jest moim najważniejszym problemem. Ktoś z mej kor-

poracji, pracownik nie znany mi nawet z nazwiska, mógłby kupić podobny system z tysiąca różnych źródeł...

- Ale żaden nie byłby tak znakomity.

- Niech mi pani oszczędzi tego kitu. - Wycelował w nią palec. - Dam pani dobrą radę: niech się pani nauczy, kiedy należy zamilknąć.

- Słusznie, proszę pana. - Łagodnie przyjęła naganę. Ktoś już powiedział nie tak dawno, że mówi stanowczo za dużo.

- Chcę przez to powiedzieć, że bardziej niż tym projektem zainteresowany jestem panią. Przyjście tu wymagało dużo tupetu. Lubię ludzi, którzy nie boją się ryzyka. Cenię też tych, którzy nie owijają nic w bawełnę, lecz mówią prosto z mostu. - Spojrzał na zegarek. - Trzydzieści sekund temu skończył się pani czas. Proszę zostawić u sekretarki swój numer telefonu. Do widzenia.

- Do widzenia i dziękuję.

Wstała i uściśnęła mu dłoń. Ale gdy odwróciła się, by odejść, zamarła. Na ścianie, do której siedziała plecami, wisiał fotograficzny portret pięknej kobiety.

Gęste fale jasnych włosów okalały śliczną twarz. Sportretowana miała na sobie szafirową, ozdobioną cekinami suknię balową, uszytą bez wątplenia przez znakomitego krawca. Pasowała do jej idealnej figury. Kobieta stała na podeście, z ręką przystrojoną klejnotami, niedbale spoczywającą na rzeźbionej poręczy. W uszach i na szyi połyskiwały cenne kamienie. Wyglądała na wyjątkowo atrakcyjną.

- Kto to?

- Moja żona, Marian.

Marian.

- Jest piękna.

- Tak, to prawda.

Sage obdarzyła go niepewnym uśmiechem i pośpiesznie opuściła gabinet. Zatrzymała się przy biurku sekretarki i zostawiła jej firmowy numer telefonu w Milton Point. W drodze do windy pewnie skakałaby po korytarzu, śpiewała i odtańczyła triumfalny taniec dzikich, gdyby nie fakt, że Marian

Hardtack okazała się jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Sage widziała w życiu.

Grayson Hardtack odprowadził wzrokiem Sage wychodzącą z gabinetu. Gdy skończyła rozmawiać z sekretarką i wyszła na korytarz, połączył się ze swą pracownicą przez interkom umieszczony na biurku.

- Połącz mnie z Harrym z dołu - polecił.

- Tak, proszę pana. Osoba umówiona na trzecią trzydzieści już czeka. Czy mam przysłać tego pana?

- Za pięć minut.

- Oczywiście.

Hardtack czekał na swego pracownika z oczami utkwionymi w portrecie żony. Po chwili zgłosił się człowiek, który przedstawił się jako Harry, jeden z cywilnych ochroniarzy patrolujących nowoczesne centrum Hardtacka i Spółki.

- Harry, za chwilę zjawi się na dole młoda kobieta: blondynka, urodziwa, niezłe nogi.

- Widzę ją, proszę pana. Właśnie wysiada z windy.

- Będiesz ją śledził przez parę dni. Znajdę kogoś, kto cię tutaj zastąpi. Interesuje mnie, dokąd ona chodzi, z kim się spotyka i wszystko, co ci się uda ustalić. Zdasz mi raport w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Tak, proszę pana.

Hardtack opłacał swych ludzi sówicie i zatrudniał tylko najlepszych. Pewien, że jego dyrektywy zostaną wykonane dokładnie i przy zachowaniu niezbędnej dyskrecji, powrócił do projektów. Gotów był przysiąc, że zna wykonawcę tych rysunków.

Gdy sekretarka wprowadziła następnego petenta, Hardtack nadal siedział wpatrzony w papiery rozrzucone na biurku.

- Sage przyjeżdża jutro do domu - oznajmił Chase.

Marcie zerknęła na niego znad nie dokończonych łazani.

Jedli właśnie obiad. Jamie spał nie opodal w kołysce.

- Rozmawiałeś z nią?

- Dzwoniła po południu z Dallas.

- Myślałam, że są w południowym Teksasie, gdzieś w dolinie.

- Niczego tam nie znaleźli. Zawrócili i pojechali do Dallas. Zmienili strategię. - Powtórzył Marcie to, co mówiła Sage. - Jest bardzo podniecona. Przez ostatnich kilkanaście dni skompletowała listę sześciu potencjalnych klientów, którzy wydają się zainteresowani projektem.

- No, to odwaliła kawał dobrej roboty!

- Tak właśnie jej powiedziałem.

Marcie uśmiechnęła się serdecznie.

- I słusznie, Chase. Ona tego potrzebuje. Czy wspominała o Harlanie?

- Dzwoniła jakieg... trzy, cztery razy od wyjazdu, a dziś po raz pierwszy padło w rozmowie jego imię. Zapytała, czy objemy go, jeśli z nią przyjedzie.

- Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, to całkiem rozsądne pytanie.

Chase zmarszczył brwi. Od czasu kłótni sprzed dwóch tygodni pozostało parę niedomówień.

- Marcie, nie możesz nas obwiniać, że stanęliśmy w obronie siostry. Postąpilibyśmy tak samo wobec każdej kobiety należącej do naszej rodziny.

- Bardzo cię cenię za tę opiekuńczość, ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że jeśli Sage poszła z Harlanem do łóżka, uczyniła to z własnej woli i nie potrzebuje żadnej obrony. Lucky nie prosił cię o pozwolenie, gdy zakochał się w Devon, choć była wówczas mężatką, jeśli nawet nie w praktyce, to na pewno w sensie prawnym. Gdy ty z kolei powiedziałeś mu, że zamierzamy się pobrać, przeraził się. Był wtedy w kiepskim stanie ducha, jeszcze pamiętał śmierć Tani. W jego pojęciu - po prostu chciał ci dobrze radzić. Zamiast go posłuchać, poszedłeś za głosem serca i wzięliśmy ślub. Zaufałeś własnej intuicji. Ani piekło, ani niebo, ani też wasze diabelskie charaktery nie powstrzymały was od zdobycia kobiet, które pokochaliście. Dlaczego akurat Sage miałaby być inna? Należy do waszej rodziny! Zna siebie lepiej niż ktokolwiek z nas. Uważam, że nie macie prawa wtrącać się w jej postanowienia.

- Zrozum: nie chcemy, by spotkała ją krzywda!

- Ja też, ale jeśli tak właśnie ma być, nikt nie znajdzie sposobu, żeby temu zapobiec. - Przez chwilę kontemplowała zawartość swego kieliszka. - Sądziś, że przespała się z Harlanem tylko raz, czy też ciągle są ze sobą?

- Odniosłem dziś wrażenie, że nie. Mówiła coś o „pokoju Harlana”. Wymieniła jego imię tylko w związku z tym projektem.

- Hmm.

- Wyglądasz na rozczarowaną, Marcie. Czy naprawdę uważasz, że mogłoby coś z tego być?

- Gorsze rzeczy się zdarzały...

- Babskie gadanie - fuknął rozdrażniony. - A cóż ci na temat tego faceta podpowiada kobieca intuicja?

- Że jest bardzo inteligentny, bardziej, niż to okazuje. Nie boi się ciężkiej piracy...

- Chodzi mi o kobiety.

- Ach, o kobiety... - Zasepiła się. - Jak powiedziała ku rozpaczcy Lucky'ego Devon, Harlan jest seksowny i cholernie

przystojny. - Dostrzegła groźną minę Chase'a. - Ale nie aż tak jak ty - dodała szybko.

- Mów dalej - mruknął nieco łagodniej.

- Myślę, że przeżył jakiś dramat. I nadal przed czymś ucieka. Ktoś dotkliwie go zranił. To dlatego zawsze trzyma się na uboczu. Jest komunikatywny, ale zachowuje pewien dystans. Jest raczej obserwatorem niż uczestnikiem wydarzeń.

- Zauważyłem to. Czy sądzisz, że chodzi o kobietę?

- Można się tylko domyślać.

- Jak ty uważasz?

- Sądzę, że kryje się za tym kobieta.

- Właśnie tego się obawiałem - rzekł zafrasowany. - Mam nadzieję, że za to, co zrobiła mu jedna przeklęta baba, nie mści się na całej damskiej populacji, wliczając w to Sage Tyler.

- To może pójść w dwóch kierunkach. - Chase popatrzył na nią z lekką kpina, więc przedstawiła mu swą teorię. - Tego rodzaju bolesne przeżycie może zaowocować niezwykłym okrucieństwem lub odwrotnie - nadwrażliwością. Czy potrafisz sobie wyobrazić Harlana w napadzie okrucieństwa?

- Nie, ale kto to może wiedzieć? Może nie dał nam się poznać z najgorszej strony?

- Może, ale czy rzeczywiście nie dostrzegłeś niczego, co świadczy o jego prawdziwej naturze?

- Co masz na myśli?

- To przecież on się zamartwiał, że zrobił Sage dziecko. Czyż nie powiedziałeś mi, że przyznał się do kontaktów z nią, zanim komukolwiek przyszło do głowy podejrzewać go o to? Takie zachowanie nie pasuje do człowieka, który z premedytacją rani damskie serca.

- Masz rację. O Jezu... - W zdenerwowaniu przejechał dłonią po twarzy. - A więc możemy tylko siedzieć i czekać na rozwój wypadków.

- No, wreszcie załapałeś!

- A więc wróćmy do interesów. O czym to ja mówiłem...

Ach tak... Otóż Sage powiedziała, że Harlan chce wrócić, by uruchomić system. Pragnie sprawdzić wszystko drobiazgowo, zanim dostaniemy zamówienie. Moja siostrunia musi być niezłym handlowcem! - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Kto by pomyślał, że tak efektownie wystartuje?

- Ja - wtrąciła zapalczywie Marcie.

- Wygląda na to, że pierwsza transakcja jest pewna. Do diabła, mam przynajmniej taką nadzieję. Dla dobra nas wszystkich. - Odstawił pusty talerz i sięgnął po kieliszek czerwonego wina. - Nie zapomniałem o naszej umowie, Marcie.

- O jakiej umowie?

Nie dał się zbyć jej lekkim tonem.

- Tej, którą zawarliśmy, biorąc ślub.

- Ach, o to ci chodzi...

Kiedy tylko poruszał tę sprawę, starała się sprowadzić rozmowę na inne tory. Ale tym razem Chase stanowczo obstawał przy tym drażliwym temacie.

- Złożyłaś za nas kaucję, Marcie, i ja tego nie zapomniałem. Bez twoich pieniędzy...

- Naszych pieniędzy. Gdy się pobraliśmy, stały się również twoje.

- Ale są twoją własnością. Ciężko na nie pracowałaś. Obiecałem ci, że oddam wszystko co do centa. Jak dotąd, nie byłem w stanie. Ale gdy tylko zawrzemy choć jeden z dużych kontraktów, o których paplała dziś Sage, odzyskasz pieniądze.

Marcie podniosła się, okrążyła stół i usiadła mężowi na kolanach.

- Chase, czy ty naprawdę myślisz, że mnie to w ogóle obchodzi?

- Mnie nie obchodzi.

- Twoja uczciwość jest godna podziwu. To jeden z miliona powodów, dla których cię kocham. Zawsze cię zresztą kochałam, od czasów przedszkola.

Pochyliła się i pocałowała go namiętnie. Gdy odsunęli się od siebie, rzekła cicho:

- Chase, ta inwestycja opłaciła mi się stokrotnie. Popatrz tylko, co zyskałam w zamian: zdrowego, ślicznego synka i kochającego męża.

- Bez wątplenia jestem twoim mężem i kocham cię, choć czasem onieśmiela mnie twój komputerowy mózg i przeraża pokrętna logika.

- Pomyśl tylko, jakbyś się bez tego nudził.

- Nudził? Z tobą? Nigdy! - Wsunął ręce pod sweter żony. - Hmm... Zawsze jesteś taka ciepła i miękka. - Jej piersi były ciężkie od pokarmu. Delikatnie je unióśł. Pocałowała go w ucho i zaczęła pieścić językiem.

- Marcie... - poskarżył się. - Zlituj się, przestań.

- Stajesz się niecierpliwy? - wyszeptwała.

- Staję się? Od tygodni przeżywam istne katusze.

- Chyba najwyższy już czas, żebyśmy temu zaradzili, nie uważasz? - Rozpięła mu rozporek.

Zajrzał jej w oczy.

- To znaczy?...

- Mhm...

- Zielone światło?

Objęła go i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Nie mogłoby być zieleńsze.

- Zachowujesz się jak kot, który cichcem schrupał kanarka - orzekł Lucky, gdy brat zjawił się następnego ranka w biurze.

Chase nucił coś i poruszał się sprężysto. Nalał sobie kawy z ekspresu i wzniośł toast:

- Za miłość i małżeństwo!

Lucky roześmiał się i unióśł swój kubek.

Nie zdążyli dopić kawy, kiedy usłyszeli parkujący samochód. Chase wyjrzał przez okno.

- To Sage i Harlan. Zachowuj się przyzwoicie! - ostrzegł surowo młodszego brata.

Siostra weszła pierwsza, a tuż za nią Harlan. Sprawiał

wrażenie skrępowanego i niepewnego. Sage wyściskała już Chase'a.

- Jak to dobrze znowu być w domu! Milton Point nigdy nie wyglądało tak pięknie! Zbierało mi się na płacz, gdy jechaliśmy przez centrum.

Jak dotąd, zwracała się tylko do Chase'a. Teraz przywitała się i z drugim bratem.

- Cześć, Lucky. - Podeszła do niego z uśmiechem. Przytuliła go. - Jak ramię?

- OK - odparł lakonicznie, choć nadal nosił je na temblaku. - Dobrze, że wróciłaś, mała.

Chase uściśnął dłoń Harlana, który nadal tkwił nie opodal wyjścia.

- Napij się kawy - zaproponował.

- Nie, dziękuję. Jadąc z Dallas, zatrzymaliśmy się parokrotnie. - Z obawą spojrzął na Lucky'ego, potem podszedł do niego. - Strasznie mi przykro z powodu twojej ręki. Nie chciałem się z tobą bić.

- Zadałem cios, bo czułem, że ty chcesz pierwszy to zrobić.

- A więc się pomyliłeś - orzekła Sage, usiłując zapobiec wybuchowi kłótni. - Czy moglibyśmy puścić to w niepamięć? Mamy ważniejsze problemy niż mój związek z Harlanem i ewentualne intrygi. - Po chwili dodała wstydliwie: - Pewnie z ulgą przyjmiecie wiadomość, że nie jestem w ciąży. A teraz, czy możemy wrócić do interesów?

- Dobry pomysł. - Chase podsunął jej krzesło. - Pokaż, co tam masz.

Przez następną godzinę Sage zaznajamiała braci z rezultatami podróży: zarówno porażkami, jak i sukcesami.

- Jesteśmy z Harlanem przekonani, że to jest właśnie nasz rynek zbytu.

- To są ludzie z pieniędzmi - wtrącił Boyd. - A jeśli nawet sami ich nie mają, wiedzą, jak dotrzeć do tych, którzy mogą zawrzeć kontrakty.

Lucky przejrzał listę potencjalnych klientów i gwizdnął z podziwem.

- Ci są rzeczywiście najbliżej żłobu. Spis wygląda imponująco!

- Początkowo wszystko zapowiadało się ponuro - przypomniał Harlan. - Z nikim nie mogliśmy się dogadać. A potem, chyba przedwczoraj - prawda, Sage? - karta jakby się odwróciła. Ludzie, z którymi się spotkaliśmy, okazali się nagle dużo bardziej kontaktowi.

Dziewczyna bawiła się kosmykiem włosów.

- A wszystko dzięki mojej wizycie u fryzjera!

- Poczekajcie, chyba przestałem rozumieć. - Chase sprawał wrażenie zagubionego.

- To tylko taki żart. - Sage machnęła ręką. - Wszystkie firmy na tej liście skłonne są pertraktować z nami. Musimy więc wynająć prawnika, który opracuje wzór umowy. Jeśli ktoś zadzwoni, będziemy gotowi do negocjacji. Przed wyjazdem z Dallas zmusiłam Harlana do złożenia wniosku o patent.

- W czym imieniu?

Harlan zeszytniał i spojrzał nieprzyjaźnie na Lucky'ego. ^

- Spółki Wiertniczej Tylera. Możesz mnie uważać za uwo* dziciela, ale z pewnością nie jestem sprzeniewiercą.

- Och, tak tylko zapytałem...

Chase uniósł dłoń w pojednawczym geście.

- Uspokójcie się obydwa. - Zwrócił się znów do Boyda: - A jak stoimy z samą maszyną?

- Chciałbym zainstalować parę rur i puścić urządzenie w ruch. Wiem, że pompa będzie działała, ale powinniśmy być przygotowani na wypadek, gdyby ktoś zechciał zobaczyć ją w akcji. Oczywiście, nadal potrzebny jest licznik...

- Lucky może ci w tym pomóc - oznajmił Chase. - Powiedz mu, Lucky.

- Gdy was nie było, wytropiłem parę możliwości. Okazało się, że mój dawny znajomy zajął się ostatnio komputerami. Dość marnie mu idzie. Myślę, że jeśli kupimy większą partię, zrobimy dobry interes.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła Sage.

- Tymczasem - włączył się Chase - część dawnej ekipy niecierpliwie wyczekuje roboty. Mamy też parę wolnych hektarów na rancho, gdzie możesz prowadzić próby. Powiesz nam tylko, kiedy będziesz gotów i wtedy pokażę ci, gdzie kopać.

- Już jestem gotów. Potrzebuję tylko środka transportu.

- A twoja wywrotka?

- Padła w Austin - rzekła Sage, podnosząc się. - Sprawiliśmy jej godny pochówek. Chodź, Harlan. Podrzucę cię do miasta. Chase, kto jest doradcą handlowym Marcie? Chciałabym jak najszybciej skonsultować się z nim w sprawie kontraktu.

Chase zapisał nazwisko prawnika. Bracia poradzili jeszcze Harlanowi, gdzie może znaleźć niezawodną, choć używaną wywrotkę za niską cenę i przestrzegli przed niektórymi dealerami gotowymi do oskubania naiwnych. Potem stanęli na ganku i odprowadzili wzrokiem odjeżdżających.

- Nasza siostra wygląda na zadowoloną - zauważył Lucky.

- To prawda.

- Ale ten facet ma tupet. Żeby z nią tu wrócić!

- Hmm.

- Trzeba chyba szanować ludzi z takim charakterem.

- Marcie zwróciła mi wczoraj wieczorem uwagę, że nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że Harlan spał z Sage, gdyby sam nam tego nie powiedział - dodał Chase.

- Chyba że zaszłaby w ciążę...

- Ale, dzięki Bogu, tak się nie stało.

- Dzięki Bogu - powtórzył Lucky.

- A teraz rozmawiają tylko o interesach...

- Tylko o interesach - przyznał młodszy brat.

- Więc chyba wszystko między nimi skończone?

- Chyba tak.

Patrzyli, jak samochód znika za zakretem.

- A więc, jakie jest twoje zdanie na ich temat? - zapytał Lucky.

- Myślę, że mają się ku sobie, lecz walczą z tym ze wszystkich sił.

- Taak... - przyznał niepewnie Lucky. - Chyba masz rację.

Ochroniarz Harry wszedł do biura Hardtacka bez zapowiedzi, bardzo wcześnie rano, zanim urzędnicy rozpoczęli pracę. Jego szef, jak zwykle, zasiadł w gabinecie dobrze przed świtem, gdyż o tej porze nikt mu nie przeszkadzał. Nie miał jednak nic przeciwko wizycie Harry'ego.

- Masz coś ciekawego? - zapytał, wyciągając rękę po kopertę, której - jak się okazało słusznie - spodziewał się od Harry'ego.

Zsunął spinacze i wysypał zawartość koperty na biurko. Ochroniarz był kiepskim fotografem, ale postacie na zdjęciach dawały się łatwo zidentyfikować. Uchwycił interesującą szefa parę wielokrotnie. Hardtacka nie zaskoczyło to, co ujrzał. Starannie ukrył jednak swą reakcję przed podwładnym.

- Czy są kochankami? - zapytał.

- Trudno powiedzieć, panie Hardtack; w jednym hotelu dzielili pokój, następnego ranka przenieśli się do innego, gdzie wynajęli osobne apartamenty.

- Ciekawe... Mów dalej.

- W obu miejscach ona regulowała rachunki, gotówką.

- Gdzie są w tej chwili?

- Wczoraj rano wyjechali z miasta. Śledziłem ich aż do Milton Point. Oboje zatrzymali się tam w jej domu rodzinnym.

- A więc występują razem oficjalnie?

- Jak najbardziej. - Harry streścił resztę informacji, które zdobył na temat Spółki Wiertniczej Tylera. Pokrywało się to z wiadomościami, jakie Hardtack zyskał już wcześniej. - Firma przeżywała ostatnimi laty kryzys, ale reputacja rodziny pozostała bez zarzutu. Młodszy syn, nazywają go Lucky, miał parę lat temu zatarg z policją federalną, gdy oskarżono go o podpalenie.

Hardtack uniósł głowę. Spojrzał pytająco na relacjonującego te fakty.

- Okazało się, że ktoś chciał chłopaka wrobić. Podpalacze są w więzieniu. Pierwsza żona starszego syna zginęła w wypadku samochodowym. Obecnie obaj bracia mają rodziny. Dziewczyna na zdjęciu właśnie ukończyła Uniwersytet Teksaski w Austin, z dyplomem magisterskim. Jej stan cywilny - panna. Przez pewien czas związana była z Travisem Belcherem z Houston, pochodzącym z zamożnej rodziny lekarskiej. Nic podejrzanego. Laurie Tyler, matka całej trójki, od kilku lat wdowa, niedawno ponownie wyszła za mąż za miejscowego szeryfa, starego przyjaciela rodziny.

- Nie może być lepiej - podsumował Hardtack. Ochroniarz zrozumiał, że audiencja dobiega końca. - Dziękuję ci, Harry. Jestem pewien, że zdobyłeś te informacje, zachowując daleko posuniętą dyskrecję?

- Całkowita, proszę pana.

- Dostaniesz wynagrodzenie i zwrot kosztów. Zgłoś się później do mojej sekretarki. Jak zwykle polegam na twojej umiejętności zachowania wszystkiego dla siebie.

- Jasne, panie Hardtack.

Po odejściu Harry'ego Grayson obejrzał uważnie fotografie. Każdą trzymał w ręku przez kilka minut.

Ten facet to bez wątplenia Harlan Boyd. Pomyłka nie wchodzi w rachubę.

Czy to on przysłał tu Tylerównę? A może ona sama wpadła na ten pomysł? Czy zamierzała istotnie sprzedać system nawadniający, czy też planowała szantaż? A może to wszystko to tylko dziwaczny zbieg okoliczności?

Podniósł głowę i utkwiał wzrok w portrecie żony, wiszącym na przeciwległej ścianie okazałego gabinetu. Te wszystkie niepokojące pytania wymagały odpowiedzi, które chciał uzyskać osobiście. Nie mógł posłać nikogo w swoim imieniu. Sam musiał odkryć, co się święci, nawet jeśli miałyby to doprowadzić do nieprzyjemnej konfrontacji.

Przycisnął guzik na aparacie telefonicznym, usłyszał sygnał

miejski i wybrał numer. Gdy po drugiej stronie rozległ się głos, Hardtack wydał instrukcję:

- Proszę przygotować learjeta do lotu, do Milton Point. Jutro z samego rana.

Odłożył słuchawkę i powrócił do studiowania dość niewyraźnych fotografii. Interesował go zwłaszcza ten przystojny mężczyzna, który złamał serce Marian Hardtack.

Koń Sage zbliżył się do zaparkowanej wywrotki.

- Cześć - rzekła dziewczyna i zeskoczyła na ziemię.

Harlan kucał nad spojeniem niedawno ułożonych rur. Zsunął kapelusz na tył głowy i spojrzał na przybyłą.

- Przyszali mnie po ciebie. Gdzieś po drodze mój koń nadział się na kamyk.

Ostrożnie, jak ją nauczono, stanęła za wałachem i uniosła jego prawe tylne kopyto. Umieściła je między udami.

- No tak. Wszystko jasne. Ostry odłamek skalny utkwił między kopytem a podkową. Chyba tego nie wyciągnę bez odpowiedniego przyrządu. - Ze współczuciem poklepała konia po zadzie. - Będiesz mnie musiał odwieźć, Harlan.

- Nie ma problemu. I tak robi się ciemno. Poczekaj chwilkę.

Zaczął dłubać coś kluczem przy wadliwym spojeniu. Sage okrążyła wywrotkę, kopiąc kolejne opony. Zawsze czynili tak jej bracia, lecz nie miała bladego pojęcia, czemu miał służyć ten dziwaczny, typowo męski jej zdaniem, gest.

- Ten wrak w niczym nie odbiega od swego poprzednika - zauważyła.

- Ale lepsze to niż chodzić piechotą.

Przywiązała konia do zderzaka, opuściła zardzewiałą klapę i przysiadła na niej. Zapadał pogodny wieczór. Niebo pociemniało i widać było księżyc.

Sage zdjęła rękawiczki i odpięła dżinsową kurtkę. Podczas jazdy potargały się jej włosy i puszyste kosmyki unosiły się teraz nawet przy najłżejszym powiewie wiatru.

- Kto cię po mnie przysłał? - Harlan podniósł się, ściągnął skórzane rękawice robocze i otrzepał je o udo z kurzu, a potem wcisnął do tylnej kieszeni dżinsów. Uśmiechnął się do

Sage. Dziewczyna cieszyła się, że nic nie wiedział o jej potajemnym spotkaniu z Hardtackiem.

Przyczepa Harlana nadal znajdowała się na stacji benzynowej w Austin, więc jej właściciel mieszkał u Tylerów. I choć nie był jeszcze z Luckym na etapie poklepywania się po plecach, obydwaj starali się nawiązać przyjaźń. Ponieważ wszystkich jednoczył wspólny cel, urazy odsunięto na bok.

No, może nie wszystkie, pomyślała Sage. Oboje z Harlanem podtrzymywali co prawda mit o czysto zawodowym układzie, ale wyraziście pamiętała chwile namietności przeżywanej u jego boku. Nocami rzucała się niespokojnie, nie mogąc zasnąć i zastanawiała się, czy on także cierpi na bezsenność.

Nie łudziła się jednak. Wiedziała, że Harlan nie zostanie w Milton Point. Odjedzie, gdy tylko zainkasuje prowizję za pierwszy kontrakt. Pieniądze niewiele dla niego znaczą, a więc nie będzie się tu kręcił w oczekiwaniu na bardziej dochodowe zamówienia.

Jego cel zostanie osiągnięty - spółka Tylera wygrzebie się z dołka i zacznie prosperować. Choć Sage rozpoczęła życie kobiety, nie ma dla niej miejsca w planach Boyda. Im szybciej się więc z tym pogodzi, tym lepiej.

Ale nie oznacza to wcale, że kończy się jej uczucie do Harlana. Ujrzała go teraz ubranego dokładnie tak samo jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy na werandzie Belcherów. Narastające pragnienie jego bliskiej obecności przysłoniło wszelkie inne myśli Sage. Otrzeźwiło ją dopiero ponowione pytanie Harlana, który wciąż czekał na wyjaśnienie.

- Ach tak... Mama i Pat dzwoniłi z miasta - oznajmiła. - Mogą się w każdej chwili zjawić w domu.

- Serio? Co u nich?

- Trajkotali jak katarynki, kompletnie bez sensu. Chyba tak jak prawdziwi nowożeńcy.

- A to dobre! - zachichotał Harlan.

- Devon uparła się, żeby ściągnąć rodzinę na powitalną kolację i opowieści o podróży poślubnej.

- Opowiedzą wszystko?

- To, co nadaje się do opowiedzenia. - Po nieprzystojnej aluzji zrobiło jej się ciepło w środku. - Chłopcy przywiozą żeberka od „Sammy'ego”, Marcie przyniesie fasolkę, a Devon robi sałatkę z kartofli. Ja przed wyjściem upiekłam ciasteczka.

- Jestem zdruzgotany.

- To nie bądź. Użyłam gotowego ciasta z mielonych orzeszków.

- A co ja mogę przynieść?

- Siebie. Devon obawiała się, że utkniesz tutaj i przegapisz przyjęcie. Dlatego mnie przysłała.

Przysunął się bliżej.

- I dobrze zrobiła!

Mocne postanowienie zachowania oficjalnej postawy ulotniło się pod wpływem gorącego spojrzenia Harlana. Całe dni tęskniła za jego obecnością. Brakowało jej nawet jego złośliwości. Marzyła o pocałunku czy choćby dotknięciu ciepłych rąk.

Ale prędej skona, niż on się o tym dowie.

- No - ponagliła. - Lepiej już chodźmy!

Nim zdążyła odepchnąć jego dłoń, ściągnął jej z włosów gumkę i przeczesał palcami rozwiane kosmyki. Pocałunek był znowu gorący i mistrzowski. Przez parę chwil poddawała mu się bez reszty, potem się odsunęła.

- Harlan, nadal jestem na ciebie wściekła.

- Im bardziej się złościysz, tym lepiej wyglądasz. Spożytkuj tę energię i pocałuj mnie z taką mocą, jakbyś rzeczywiście chciała mnie zabić.

Nie dała się długo prosić. Przede wszystkim pragnęła uciec przed jego wzrokiem. Poza tym czuła nieprzewartą chęć znalezienia się w jego objęciach. Otoczyła Harlana ramionami i przylgnęła doń całym ciałem.

Nie przerywając pocałunku, wczołgał się wraz z dziew-

czyną na tył ciężarówki. Oparł się o ścianę szoferki, a ona położyła się na jego brzuchu i nie przestawała go całować.

- Sage, do diabła, muszę oddychać - wykrztusił, uwalniając się z jej uścisku.

- Sam powiedziałaś, że mam cię pocałować, jakbym chciała cię zabić. Więc wykonuję to polecenie.

- Cóż za odmiana! - Roześmiał się i przeciągnął palcem po jej wilgotnych ustach. - Jesteś największą piekielnicą, jaką spotkałem w życiu.

- A ja połowę swego czasu tracę na rozważania, czy najpierw ci przyłożyć, czy też pocałować.

Zaśmiał się i rozsunął poły wytartej kurtki Sage. Pochylił głowę i zaczął pieścić jej piersi. Dziewczyna wyszarpnęła koszulę z jego spodni i przytuliła dłonie do nagiego ciała.

Przez sweter pieścił wargami jej piersi.

Rzekła bez tchu:

- Powinnam cię zabić.

- Co?... Za to? - Ocierał się o jej brodawki ustami.

- Nie - westchnęła urywanie. - Za to, że zawsze chcę cię wtedy, kiedy nie mogę cię mieć.

Nie przerywał pocałunków. Zaczął rozpinać jej dzinsy; odsunął suwak i dotknął ciepłego ciała.

- Właściwie chciałbym, żeby było...

- Co?

Położył rękę w dole jej brzucha.

- Dziecko.

Wciągnęła głęboko chłodne powietrze i znieruchomiała w jego objęciach.

- Nie kłam, panie Harlanie. Wiałybyś, aż by się za tobą kurzyło.

Przechylił głowę, jakby w zamyśleniu.

- Nie, to dałoby mi niezły pretekst do pozostania tutaj. - Spojrzał na jej brzuch. - Nie myśl jednak, że ty sama nie jesteś wystarczającym powodem - dodał ochryple.

- Wiem, że miałaś wiele kobiet. Mógłbyś liczyć je pewnie na tuziny. - Pod koszulą wczepiła się palcami w jego włosy. -

Sage Tyler będzie ci jednak trudno zostawić, a jeszcze trudniej zapomnieć o niej.

- Masz rację. - Jego palce penetrowały jej miękkie i wilgotne wnętrze. Po chwili dodał szorstko: - Będzie mi diabelnie ciężko cię zostawić. A już na pewno nigdy cię nie zapomnę.

Dotarli do domu, kiedy rodzina zbierała się w jadalni. Byli rozgrzani, zarumienieni, z włosami potarganymi wiatrem. Sage natychmiast wylądowała w objęciach Laurie.

- Jak się cieszę, że tak wspaniale wyglądasz! Czyż ona nie jest urocza, Pat?

- No pewnie. Jak dawna Sage.

Laurie odsunęła lekko córkę i zajrzała jej głęboko w oczy.

- Wreszcie masz znowu iskierki w oczach, a policzki odzyskały dawny kolor. Nie wiem, co robisz, ale chyba ci to służy.

- Och... ciężko pracowałam. A teraz byłam konno po Harlana. Ale mojemu... koniowi... utkwiał pod podkową kamyk, więc wróciłam z Harlanem ciężarówką... Nie zamknęliśmy okien... A jak przyjechaliśmy, trzeba się było zająć koniem. - Przerwała, by złapać oddech. - Mamo, Pat... witajcie w domu! Jak się udał miodowy miesiąc?

Chase obserwował uważnie siostrę i Harlana. Obejrzał się na Lucky'ego, który również przypatrywał się przybyłej właścience parze ze źle ukrywaną podejrzliwością.

- Wsadziliśmy żeberka do piekarnika, żeby zachowały odpowiednią temperaturę - oznajmił Chase. - Przyniosę je.

- Pomogę ci. - Lucky poprosił Devon, by posadziła towarzystwo przy stole, a potem wyszedł za bratem do kuchni.

Kiedy zostali sami, Chase uniósł pytająco brew.

Lucky z kamienną twarzą skinął głową.

- Kocham cię, Sage.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, bo czyjaś ręka zakryła

jej usta. Przeraziła się i dopiero po chwili poznała nachylnego nad nią Harlana.

Próbowała dowiedzieć się, co, u diabła, robi w jej pokoju w środku nocy. Słowa, które wydobyły się z przyciskanych przez dłoń ust, brzmiały niewyraźnie.

- Psst! Jak Lucky złapie mnie tutaj i zobaczy, że cię zakneblowałem, najpierw obedrę mnie ze skóry, a dopiero potem zażąda wyjaśnień. - Dziewczyna szarpała wciąż głowę. - Posłuchaj. - Położył się koło niej, ale nie zdejmował dłoni z ust. - Czy słyszałaś, co powiedziałem? Kocham cię, Sage. Drażnisz mnie jak diabli. Jesteś narwana i uparta. Rozpuszczony dzieciak, notoryczna kłamczucha. - Uśmiechnął się niewinnie w ciemności. - Ale nie można się z tobą nudzić. Jesteś porywająca i zmienna niczym górski potok. Całujesz jak wysoko płatna cali girl, a te ciasteczka z orzechami, które upiekłaś wieczorem, nawet mi smakowały. Po co to wszystko mówię? Chcę cię spytać, czy... To duży znak zapytania... Czy jeśli poprosiłbym cię, żebyś za mnie wyszła, to powiedziałaabyś „tak”?

Leżała nieruchomo, wpatrzona w jego twarz. Nagle pomyślała, że pewnego dnia opowie wnuczętom, w jaki to szalony sposób oświadczył się jej dziadek.

Skineęła potakująco głową.

- O cholera! - zaklął. - Miałem nadzieję, że powiesz „nie”. Wtedy mógłbym ci uprzejmie podziękować za parę cudownych nocy i zmyć się stąd, gdy tylko Spółka Wiertnicza Tylera wyjdzie na swoje. A tak... - Westchnął z zalem. - Ale zgodziłaś się, więc musimy o tym poważnie porozmawiać. Ty mnie też kochasz, tak?

Znów skineęła głową.

- Tak naprawdę, to nie nadają się dla ciebie, Sage.

Wydobyła z gardła dźwięki brzmiące protestująco.

- Nigdy nie będę poważnym doktorem, który jeździ luksusowym autem. Nigdy też nie będę mieszcuchem. Dostaniesz tylko to, co widzisz.

Entuzjastycznie pokiwała głową.

- Ale przecież chciałaś żyć inaczej. Pragnęłaś luksusowych warunków i całego tego blichtru, bez którego dla większości kobiet życie traci sens...

Zaprzeczyła bezgłośnie.

- Wiesz, jak żyję. To znaczy, nie kazałbym ci wprawdzie zamieszkać w przyczepie, ale mielibyśmy dom gdzieś tu w pobliżu. Dom, a nie pałac jak Belcherowie. - Przyglądał się jej badawczo. - I nie napychałbym tego domu niepotrzebnymi sprzętami tylko po to, by zaimponować sąsiadom.

Wzruszyła ramionami.

- Ale mogę ci obiecać jedno. - Pochylił się nad nią niziutko. Jego głos stał się miękki i wyglądało na to, że Harlan jest wzruszony. - Będę ci wierny, Sage. Będę się z tobą uczciwie kochał co noc. A czasem może i w dzień. Nie jestem wybredny, jeśli idzie o porę. Zrobię wszystko, co zechcesz, kochanie. Nie odmówię ci niczego, co miałoby ci sprawić przyjemność.

Przełknęła ślinę.

- Gdy rano będę wychodził do pracy, będziesz wiedziała, że ty jesteś dla mnie najważniejsza, a nie robienie pieniędzy, nie rywalizacja ze znajomymi.

Jego palce prześlizgnęły się po włosach Sage, potem nagle zacisnęły się w pięść.

- Lepiej zastanów się dobrze, Sage. Zajmujesz odpowiedzialne stanowisko w firmie, która lada moment zacznie nieźle prosperować. Wyjdiesz zaś za najemnika.

Dziewczyna wzniosła oczy do nieba, jakby mówiąc: „Och, proszę cię”.

- Co ty właściwie wiesz? Jesteś taki sobie dzieciuch!

Zaprotestowała ruchem głowy.

- A więc jesteś sprytniejsza ode mnie!

Znowu zaprotestowała.

- Ładniejsza.

Kolejny protest.

- Seksowniejsza.

Gwałtowny protest.

- Czyżby? - zdziwił się z zadowoleniem. - No, w każdym razie: delikatniejsza.

Zsunął kołdrę z ramion Sage. Zaczął ją całować, ściągając stopniowo przykrycie. Gdy dotarł do biustu, uniósł głowę.

- Czy jesteś rozebrana? - zapytał.

Pokiwała głową.

- Bosko. - Zamarł na chwilę, jakby rozważając, co dalej. Żeby ułatwić mu decyzję, Sage szarpnęła kołdrę, odsłaniając nagie piersi.

Chłopak jęknął.

- Czy sądzisz, że oni się zorientują, jeśli...

Zaprzeczyła.

- OK. Ale musisz obiecać, że nie będziesz wydawała tych swoich zwykłych odgłosów przypominających czkawkę.

Jedną ręką ściągnął dzinsy, jedyną część garderoby, jaką miał na sobie, i wsunął się w pościel.

Dziewczyną wstrząsnęły dreszcze, gdy tylko poczuła jego ciało. Przepełniała ją miłość i uczucie wszechogarniającego szczęścia. Ocierała się o Harlana, który nagle znalazł się nad nią i pochylił się, żeby ją całować. Szybko odnalazł jej wargi.

- Teraz możesz otworzyć buzię - wyszeptał. Uczyniła to i wtedy poczuła w ustach jego język. Zaczęli się całować. Przyłgął do niej i bez trudu znalazł się w wilgotnym, ciepłym wnętrzu. Kochali się delikatnie, nie siejąc spustoszenia, ograniczając się do niezbędnych ruchów. Słyszeć było jedynie szelest pościeli. Harlan wyprężył się nagle. Nigdy jeszcze nie sięgał tak głęboko.

Pieścił jej piersi i uda. Gdy zbliżali się do szczytu, schwycili się za ręce. Trwali tak, aż ekstaza opadła.

W końcu uwolnił się z objęć dziewczyny i potarł ustami jej zroszone potem czoło.

- Nie chcę ci mówić „dobranoc”, ale muszę.

- Nie odchodź - wyszeptwała, bawiąc się jego włosami.

Pocałował ją czule.

- Wiesz, że muszę.

- Nie odchodź.

Zsunęła dłonie na jego brzuch.

- Och, Sage, kochana..

- Nie odchodź.

Został do brzasku, kiedy w końcu usnęła, zmęczona. Wtedy wymknął się z pokoju tak samo niepostrzeżenie, jak się w nim znalazł.

- Dzień dobry - zaczęła Sage, wchodząc rankiem do kuchni. Choć za oknami panowała słota, dziewczyna była w promiennym nastroju.

- Cześć. - Devon wypychała właśnie łyżeczką płatki owsiane w łapczywe różowe usteczka swej córeczki. - Nalej sobie kawy; już gotowa.

- Dzięki. Gdzie się wszyscy podziali? - zapytała obojętnym tonem Sage.

- On wyszedł jakieś pół godziny temu.

Sage odwróciła się od blatu i przyjrzała uważnie bratowej, w której zielonych oczach błyskały figlarne ogniki.

- Powiedział, że będzie cały dzień pracował.

- W taką pogodę?

- Tak właśnie powiedział. - Sage przysiadła się do bratowej. - Dobrze spałeś? - zapytała tamta z udawaną niewinnością. Z trudem powstrzymywała śmiech.

- Zakładam, że wszystko wiesz...

- Uhm.

- A Lucky?

- Nie. Nie szpiegowałam cię, Sage, przysięgam. Po prostu obudziłam się i wyszłam na korytarz posłuchać, czy mała śpi.

Sage, zmieszana, spuściła wzrok.

Devon ścisnęła jej dłoń.

- Kochasz go, prawda?

- Tak bardzo, że aż boli.

- Wiem, jak to jest.

- Tak?

- Oczywiście.

- A więc nie uważasz, że jestem łatwa, bo pozwalam mu przekradać się do mojego pokoju?

Devon uśmiechnęła się smutno.

- Jak możesz w ogóle podejrzewać, że mam prawo cię oceniać? Kochałam się z twoim bratem w noc, gdy się poznaliśmy.

Obie kobiety wymieniły pełne zrozumienia uśmiechy.

- Gdy ludzie się dowiedzą - powiedziała Sage - pomyślą, że zwariowałam. Dopiero co mówiło się o zaręczynach z Travisem.

- Gdybym się przejmowała, „co ludzie pomyślą”, byłabym nadal żoną przestępcy, zrujnowałabym życie sobie i Lucky'emu. Niech ci Marcie powie, jak ludzie się dziwili, gdy wychodziła za Chase'a. Ale jej to nie powstrzymało.

Devon ścisnęła serdecznie dłoń Sage.

- Musisz kierować się własną intuicją. Posłuchaj serca. Zrób tak, jak będzie najlepiej dla ciebie i Harlana. I do diabła z tym, „co sobie ludzie pomyślą”.

Sage pogładziła ramię bratowej.

- Dziękuję.

Zanim zdążyły się rozplakać ze wzruszenia, zadzwonił telefon. Sage rzuciła się, by podnieść słuchawkę.

- Cześć, Lucky. Devon jest tuż obok. Chcesz z nią pogadać?

- Nie, dzwonię do ciebie. - Głos drżał mu z emocji. - Właśnie zjawił się jeden z twoich klientów. Chase kazał natychmiast ściągnąć cię do biura. Czy Harlan jest gdzieś w pobliżu?

- Powiedział Devon, że będzie cały dzień pracował.

- Fatalnie. Chase chciał widzieć tu również jego, ale nie trać czasu na poszukiwanie go.

- Kto to taki, Lucky? Jak nazywa się ten klient?

- Hardtack i Spółka. Sam wielki Grayson Hardtack przyjechał tu, by negocjować warunki.

Srebrna limuzyna mercedes wyglądała dziwacznie przed budynkiem Spółki Wiertniczej Tylera, zaparkowana między firmową ciężarówką i wywrotką. Szofer w liberii siedział za kierownicą, chroniąc się przed deszczem. Gdy Sage wysiadła z samochodu, spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

Nigdzie nie było ani śladu Harlana. Dziewczyna w głębi duszy dziękowała Bogu, że Boyd okazał się nieuchwytny akurat, gdy Grayson Hardtack pojawił się nieoczekiwanie. Jednakże powodzenie kontraktu wisiało na włosku. Modliła się o szybkie sfinalizowanie umowy, a wtedy miałaby czas, żeby wymyślić coś na użytek Harlana. Gdy wchodziła po schodach, miała nogi jak z waty. Otworzyła drzwi biura.

- Witam panią, pani Tyler - rzekł Hardtack z głębi pomieszczenia.

Sage zamarła w progu. Krew odpłynęła jej z twarzy. Bracia, którzy oczekiwali raczej radości Sage na widok gościa, popatrzyli skonsternowani. Dziewczyna nie mogła ruszyć się z miejsca. Nie odezwała się też ani słowem.

Dostrzegła siedzącą obok Hardtacka kobietę, która na odrapanym, sfatygowanym krześle wyglądała tak samo nie na miejscu jak arcydzieło sztuki w gradami.

Jej ubranie, makijaż, fryzura i postawa były nienaganne. Na oparciu krzesła widniały białe norki z pastelową podszewką z satyny. Małe rękawiczki, idealnie dobrane do fiołkowej garsonki, trzymała na kolanach obok torebki zharmonizowanej kolorystycznie ze strojem. Zapierający dech w piersiach portret w gabinecie Hardtacka nie oddawał w pełni jej urody. Była nie tylko przepiękna, była wręcz

zjawiskowa. Z pewną nutką zadowolenia Sage odnotowała, że Marian Hardtack jest starsza, niż tego oczekiwała.

Ta pocieszająca myśl pozwoliła jej przyjść do siebie. Zbliżyła się do gości i niepewnie wyciągnęła dłoń do swego klienta.

- Dzień dobry, panie Hardtack, miło mi pana widzieć.
- Mnie również. To moja żona, Marian. Marian, oto Sage Tyler.
- Witam panią, pani Hardtack.

Kobieta podała jej wypielegnowaną dłoń, która okazała się niespodziewanie miękka i ciepła. Sage oczekiwała raczej chłodnego dotyku. Pani Hardtack była tak nienagannie utrzymana, że w porównaniu z nią dziewczyna czuła się lepka i rozczochrana, choć w rzeczywistości jej strój i makijaż były bez zarzutu.

Zaskoczył ją również ciepły uśmiech żony potentata. Wyraz jej twarzy był miły, zdradzający zaciekawienie, i łagodny, podobnie jak i głos.

- Miło mi panią poznać, pani Tyler - rzekła.

Sage zastanowiła się przez moment, czy ta kobieta byłaby równie sympatyczna, gdyby wiedziała, z kim dziewczyna spędziła ostatnią noc.

Nie zapominając o dobrym wychowaniu, zapytała:

- Czy moi bracia zaoferowali państwu kawę?
- Owszem, ale wypiliśmy już po parę filiżanek lećąc tutaj - oznajmił Hardtack.

- A zatem przylecieli państwo z Dallas. Myślałam... - Ruchem głowy wskazała parking.

- Limuzyna? Nie. Wynajęliśmy ją tylko na ten dzień, żeby móc się poruszać po Milton Point. - Hardtack usiadł. - Przejdźmy do interesów.

- Kiedy na ciebie czekaliśmy - wyjaśnił siostrze Chase - pokazaliśmy panu Hardtackowi umowę przygotowaną przez naszego pracownika.

- Zapewne spostrzegł pan, że jest standardowa - zauważyła Sage.

Hardtack chrząknął wymijająco. Jego żona milczała, ale Sage czuła na sobie jej wzrok od chwili, gdy usiadła na podsuniętym przez Lucky'ego krześle.

- Udzielamy pięcioletniej gwarancji na wszystkie części maszynerii - zaznaczyła.

- To przynajmniej o trzy lata dłużej, niż trwa gwarancja na sprzęt bądź usługi w innych firmach - uzupełnił Lucky. - My gwarantujemy i to, i to. Chodzi przecież o naszą reputację.

Sage nigdy przedtem nie widziała, by bracia zachowywali się tak poprawnie i okazywali taką znajomość rzeczy. Zdawali sobie sprawę z wagi sprzedaży systemu Hardtackowi. Jeśli jego nazwisko znajdzie się na liście kupców ich produktu, natychmiast wzrośnie wiarygodność firmy. A poza tym, jeśli wziąć pod uwagę rozległość interesów tego klienta, jedno zlecenie mogło rozpocząć cały ciąg następnych.

- Jak powiedziałem już waszej siostrze... - Hardtack zwrócił się do Chase'a i Lucky'ego - ...mógłbym kupić taki system wszędzie. Ale ona zainteresowała mnie waszą małą firmą. Zaprzagnąłem przyjechać tu i poznać resztę rodziny Tylerów.

Rozparł się na krześle.

- Jak sami wiecie, nie wszyscy w branży naftowej przeżywają kryzys. Jeśli się wie, skąd wziąć bieżący kapitał, można jeszcze robić pieniądze.

Chase'owi zadrgała grdyka. Sage widziała, że również Lucky z trudnością się hamuje. Miała nadzieję, że brat zdoła się opanować i nie zastosuje jednego ze swych szeroko znanych prawych sierpowych.

Wtedy odezwał się Chase:

- Mamy ekipę w gotowości, a jej członkowie nie stronią od ciężkiej pracy.

Sage była z niego dumna; okazywał zainteresowanie bez nędznych pochlebstw.

- Miło mi to słyszeć - odrzekł Hardtack. - Lubię wiedzieć, gdzie można znaleźć doświadczonych wiertaczy. - Uderzył dłońmi o uda. - Myślę, że ta wizyta była warta zachodu

dla obu stron. - Spojrzał na Sage. - Każę mojemu nadzorczy projektu Shadow Hills skontaktować się z panią. Odtąd będzie pani współpracowała bezpośrednio z nim.

Był już prawie gotów do wyjścia, gdy zapytała:

- Kiedy możemy spodziewać się zaliczki? Paragraf trzeci kontraktu, panie Hardtack, przewiduje zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, płatną natychmiast po zawarciu umowy. - Serce waliło jej jak oszalałe, ale nie ugięła się pod onieśmielającym wzrokiem Hardtacka.

- Jutro goniec dostarczy czek. Czy odpowiada to pani?
- Naturalnie!

Na twarzach braci odmalowała się ulga. Sage, starająca się zachowywać jak prawdziwa profesjonalistka, zerknęła jednak w ich kierunku. Chase dyskretnie pokazał, że trzyma za nią kciuki. Lucky mrugnął z uznaniem.

- Dziękuję, że osobiście zainteresował się pan tą sprawą, panie Hardtack. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie...

- Zanim uściśniemy sobie dłonie - przerwał jej, ignorując wyciągniętą rękę - chcę wiedzieć jedno...

A więc triumfalny lot podniebny Sage okazał się aż tak krótkotrwały? Pyszałkowate poczucie sukcesu runęło na łeb. Zabrakło jej tchu w oczekiwaniu nieuchronnej katastrofy.

- Rysunki, które pani mi zostawiła, noszą pewne charakterystyczne cechy, które chyba rozpoznaję - mówił Hardtack. - Czy sporządził je Harlan Boyd?

Przez moment Sage zaszumiło w uszach. Gdyby stała, pewnie ugięłyby się pod nią kolana. Może by nawet zemdłała?

Spełnienie wszystkich marzeń zostało zagrożone jednym prostym pytaniem. Sukces lub porażka zależały teraz od jej inteligencji. Znalezienie przekonująco wykrętniej odpowiedzi oznaczałoby olbrzymi kontrakt z jednym z najbardziej wpływowych ludzi w całym stanie, koniec wieloletnich trudności finansowych rodzinnej spółki i zapewnienie spokojnej przyszłości rodzinie oraz pracownikom.

Kręta Sage zostałyby choć częściowo usprawiedliwio-

ne, gdyż dzięki nim udałoby się osiągnąć wiele. Zdobyłaby podziw i zaufanie braci, a także udowodniłaby, że jest odpowiedzialnym partnerem w interesach, a nie tylko małą siostreczką.

Zwykle potrafiła po mistrzowsku unikać mówienia tego, czego powiedzieć nie chciała. Właściwie nie wygłaszała kłamstw, tylko kiedy tak wydawało się wygodniej, miała się z prawdą. Hardtack jednak zadał jej bez ogródek pytanie, które wymagało jasnej odpowiedzi: „tak” lub „nie”. Nie było innej możliwości. Ze zdziwieniem odkryła, że wcale nie ma ochoty na ukrywanie prawdy.

Nawet gdyby nie zdumione spojrzenia braci, którzy zastanawiali się, co ją ugryzło, i z pewnością usłudźnie sprostowałiby jej słowa, gdyby tylko spróbowała coś zmyślić, miała zamiar stanąć z podniesionym czołem przed Graysonem Hardtackiem i powiedzieć prawdę.

Mężczyzna patrzył na nią przenikliwie spod krzaczastych brwi. Jego wzrok przerażał i onieśmielał, ale zdecydowała się uczciwie stawić mu czoło. Otworzyła usta, by odpowiedzieć...

- Tak. To ja zrobiłem te rysunki. Wiedziałeś o tym, zanim zadałeś jej pytanie.

Głowy obecnych zwróciły się ku drzwiom. W progu stał Harlan w ociekającym deszczem kapeluszu. Miał na sobie jaskrawożółty płaszcz nieprzemakalny, a buty i dżinsy były oblepione błotem i przemoknięte na wylot.

Lucky i Chase mieli miny, jakie przybraliby zapewne, gdyby przegapili dwa pierwsze akty sztuki kryminalnej i zaczęli oglądać spektakl tuż przed rozwiązaniem zagadki.

Sage cofnęła się w kąt, przestraszona wyrazem twarzy Harlana. Był identyczny jak wtedy, gdy chłopak po raz pierwszy zobaczył nazwisko Hardtacka na sporządzonej przez nią liście. Pragnęła podejść do niego z jakimś rozsądnym wytłumaczeniem złamania danej mu obietnicy, lecz wojownicza postawa Boyda powstrzymała ją.

Trudno było odgadnąć, co myśli Hardtack. Jednakże re-

akcja jego żony nastąpiła błyskawicznie. Marian poderwała się z krzesła, zrzucając na podłogę rękawiczki i kosztowną torebkę. Wypielegnowaną dłoń, przyozdobioną biżuterią od Tiffany'ego, przyłożyła do falującej piersi.

- Harlan... - wyszeptała drżącym głosem.

Potem powtórzyła to imię nieco pewniej. W końcu wykrzyknęła radośnie:

- Harlan, najdroższy!

Przebiegła przez pokój i rzuciła się na Boyda, nie zważając na szkody, które mokry prochowiec wyrządził jej nienagannej, specjalnie dla niej zaprojektowanej kreacji.

Harlan cofnął się o krok, by odzyskać równowagę, a potem niezdarne otoczył piękną panią ramieniem.

- Cześć, mammo.

- A wszystko sprowadza się do tego, że Harlan ma pieniądze, i to przez duże „P”.

Klan Tylerów zgromadził się w kuchni, tak jakby tam-tamy obwieściły, że oto zbliża się katastrofa.

Sage stała plecami do rodziny, krojąc cebulę do duszącej się w garnku potrawy z chili. Ponieważ Lucky uchodził za najlepszego gawędziarza, to on bawił teraz wszystkich opowieścią.

- Mówimy o świecie wielkich pieniędzy, prywatnych od rzutowców, limuzyn z kierowcami w liberjach, o fundowaniu stypendiów, dofinansowywaniu muzeów. O ludziach, których nazwiskami chrzci się oddziały szpitali. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - I kto by pomyślał, że ten chłopak...

- Nic nie rozumiem - oświadczyła Laurie. - Do kogo w końcu należy ta fortuna: do Harlana czy do pana Hardtacka?

- Do obu. Bo widzisz, ojciec Harlana, Daniel Boyd, i Hardtack prowadzili wspólnie interesy. Zarobili miliony na handlu nieruchomościami, i to był początek fortuny. Wtedy Daniel zmarł na atak serca. Ot tak - rzekł Lucky, pstrykając

palcami. - Hardtack wykupił jego udziały od wdowy, a mniej więcej w rok później poślubił ją.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - dopytywała się Marcie. Przełożyła Jamiego na drugie ramię. Chase zauważył, że żona jest zmęczona i wziął od niej malca.

- Sami to wszystko wykrzyczeli! - wyjaśnił Lucky. - Najpierw zupełnie nie mogliśmy nadażyć za ich słowami. Im więcej jednak mówili, tym dokładniej udawało się nam zorientować w czym rzecz.

Sage zgarnęła posiekaną cebulę z deseczki i wrzuciła do garnka. Rękawem otarła łzy z oczu i zaczerwienionego nosa. Cebula to dobry pretekst, żeby sobie popłakać.

Czuła się taka inteligentna, taka kołtuńsko z siebie zadowolona. Wydawało jej się, że dobiła targu, dopięła na ostatni guzik kontrakt, olbrzymi jak Mount Everest. A tak naprawdę Hardtacka zwabił Harlan...

To jedynie z jego powodu przyleciał do Milton Point i wynajął na cały dzień limuzynę. Nie przybył tu, by negocjować kontrakt z nic nie znaczącą Sage Tyler, lecz by wytropić swego krnąbrnego pasierba...

- Założę się, że Harlanowi trudno było pogodzić się z faktem, iż Hardtack pragnie poślubić jego matkę - wtrącił Pat, przekładając zapałkę w drugi kącik ust.

- Bardzo trudno - rzekł Lucky. - Najwidoczniej Harlan i jego ojciec byli sobie bardzo bliscy. Kiedy chłopiec przyjechał ze szkoły - posyłano go wówczas do szkoły Św. Edwarda w San Antonio - i ci dwoje powiedzieli mu, że wzięli ślub...

- *Fait accompli* - rzekła Marcie.

- Co takiego?

- Polityka faktów dokonanych - wyjaśniła niecierpliwie Devon swemu małżonkowi. - Mów dalej.

- Harlan oskarżył ich, że związali się ze sobą za plecami ojca, to znaczy, że z nim jeszcze Daniel zmarł. Powtórzył to oskarżenie i dziś. Pani Hardtack opadła na krzesło i zaczęła wykrzykiwać słowa protestu. Powtarzała w kółko: „Mylisz

się, Harlan. To nieprawda. Kochałam twego ojca. Jak mogłeś pomyśleć, że go zdradzałam?"

Laurie natychmiast zaczęła współczuć tej kobiecie.

- Myślę, że Harlan był dla niej za surowy.

- Miał wtedy piętnaście lat! - włączyła się nagle Sage. -

Nie zdajecie sobie sprawy, co może czuć piętnastolatek do matki, zwłaszcza jeśli zostają sami po śmierci ojca. Reakcja Harlana była zupełnie normalna. Wydawało mu się, że Hardtack rości sobie prawa do pozycji należnej zmarłemu ojcu.

Gdy wygłosiła to wytłumaczenie, powróciła do siekania papyryki. Ze złością schwyciła rzeźnicki nóż. Jakie zresztą znaczenie miała jej opinia w tej kwestii? Żadne. Znowu zrobiła z siebie idiotkę, przechwalając się umiejętnością zawierania korzystnych kontraktów.

Lucky opowiadał dalej:

- Prawdopodobnie, tak jak mówi Sage, Harlan był wytracony z równowagi i patrzył na wszystko oczyma młokosa.

- Był tylko dzieckiem opłakującym stratę i mającym poczucie, że je zdradzono i opuszczono... - rzekła Laurie, jak zawsze pełna współczucia i zrozumienia dla wszystkich. - Przecież to była sytuacja bez wyjścia dla całej trójki! Jakież to smutne...

- Harlan czuł się dotknięty, bo uważał, że Hardtack chce zagarnąć wszystko, co należało do jego ojca. Matkę uznał za bezwstydnicę. I w końcu odszedł... Więcej się nie pojawił. I to nas prowadzi do sytuacji obecnej. Kiedy Sage pokazała Hardtackowi rysunki, ten rozpoznał technikę Harlana - tłumaczył Lucky.

- Jakim cudem? - zdziwiła się Devon.

- Hardtack i Marian przez cały czas śledzili poczynania Harlana, choć nigdy nie mieszały się w jego życie. Już wcześniej widywali jego prace.

- Hardtack przyznał, że po otrzymaniu rysunków kazał śledzić Sage - uzupełnił Chase wyjaśnienia brata.

- O, mój Boże! - przeraziła się Laurie.

Ostrze noża rzeźnickiego zadźwięczało mocniej. Sage ogar-

niała wściekłość na myśl, że śledził ją i obfotografował jakiś kapuś. To było takie szmirowate! Nie obchodziło jej, że Hardtack wart był krocie. Oburzał ją jego tupet!

- Hardtack ma nieograniczone możliwości - ciągnął Lucky. - Trzyma na zawołanie całą armię ludzi. W każdym razie ustalił, że Harlan jest naszym projektantem. Uznał, że nadszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z synem marnotrawnym, a na samo odsłonięcie kart zwabił jego matkę.

- A więc zwabił ją tu? Niczego wcześniej się nie domyślała? - Marcie osłupiała na samą myśl o tym.

- No nie, coś tam wiedziała. Bardzo pragnęła zobaczyć syna, którego nie widziała od czternastu lat.

- Trzeba przyznać, że Harlan potraktował matkę uprzemie - oznajmił Chase. - Nie protestował, gdy dotykała jego twarzy, włosów. Wiecie, jak to robią kobiety, gdy widzą dzieci po dłuższej nieobecności. Harlan z matką obejmowali się i całowali przez długi czas. Bo w końcu chłopak był wrogo nastawiony raczej do Hardtacka.

- A więc jego żal nie złagodniał z upływem czasu? - spytała Marcie.

- Najwidoczniej nie - odparł Lucky. - Znowu oskarżył Hardtacka o zagarnięcie wszystkiego: interesów ojca, jego pieniędzy i żony.

- Poważne zarzuty - zauważył Pat.

- No, Hardtack nie pozostał mu dłużny. Oświadczył, że Harlan może sobie myśleć, co chce o nim samym, ale nie wolno mu obrażać Marian posądzeniem o cudzołóstwo. Odniósł wrazenie, że ten stary cwaniak naprawdę ją kocha. Potem obwieścił, że pieniądze Marian i Harlana są, co do grosza, tam, gdzie pozostawił je Daniel Boyd, a więc w firmie, i przynoszą astronomiczne odsetki. Spytał: „Czemu nie przestaniesz zachowywać się jak zasmarkany dzieciak i nie wystąpisz o spadek? Czas, żebyś wzięła na siebie odpowiedzialność”. Harlan odparł: „Nie chcę żadnego spadku. Nie chcę zamienić się w takiego grabieżcę jak ty. Pierdolę te pieniądze, pierdolę taką kulę u nogi”.

- Lucky! - zaprotestowała Laurie. - Dzieci słuchają!
- Mamo, oczywiście ponosi mnie fantazja. Harlan nie powiedział „pierdołę”. Ale Hardtack zarzucił pasierbowi absolutny brak odpowiedzialności i powiedział, że na zawsze już pozostanie obibokiem i włóczęgą. Do rozmowy włączyła się wówczas Sage i oświadczyła, że Harlan jest najbardziej odpowiedzialnym człowiekiem, jakiego zna.

Oczy obecnych skierowały się na dziewczynę.

- Sage, to ładnie, że wystąpiłaś w obronie naszego przyjaciela - odezwała się Laurie. - Ale to chyba naprawdę nie była odpowiednia chwila na twoje trzy grosze.

Sage drgnęła z oburzenia. Gdy odwróciła się do matki, z czubka rzeźnickiego noża zwisał kawałek mięsa.

- Była. Mam wszelkie prawa, by stawać po stronie Harlana. Wkrótce będzie moim mężem!

Okrzyki rodziny wyrażały niedowierzanie przemieszane z radosnym zaskoczeniem.

- A czy Harlan o tym wie? - zapytał Lucky.

- Ostatniej nocy poprosił mnie o rękę.

Lucky podniósł się.

- Jak to ostatniej nocy? A gdzie ja wtedy byłem?

- Smacznie spałeś.

Lucky spojrzął z wyrzutem na swoją żonę.

- Devon, od razu wiedziałem, że coś przede mną ukrywasz.

Co jeszcze powinienem wiedzieć?

- Usiądź, Lucky. Denerwujesz tylko Lauren.

- Ona ma rację, Lucky. Lepiej siadaj - warknął Chase.

- Jedyne, co ci się na pewno uda, to tylko pogorszyć sytuację.

- A jeśli znowu zabierzesz się do rękoczynów, tym razem ja sama złamię ci rękę - obiecała Sage.

- Myślałam, że złamałeś rękę, gdy potknąłeś się o hak od przyczepy... - jęknęła Laurie.

Lucky tchórzliwie skulił głowę.

Chase westchnął i wyjaśnił matce:

- Potknął się o hak od przyczepy i przewrócił, gdy bił

się z Harlanem o cnotę Sage. Obawialiśmy się, że mała jest w ciąży.

Laurie wydała okrzyk przerażenia i schwyciła Pata za rękę. Oczy szeryfa miotały gromy.

- Czy wy, młodzi, nigdy się nie ustatkujecie?! Wyjeżdżamy z miasta na parę tygodni i wszystko w domu od razu szlag trafia.

- Czy coś jeszcze masz do powiedzenia, Lucky? - spytała zboląłym głosem Laurie.

- Chyba już nie - odparł syn. - Hardtack nie wycofał się z umowy pomimo całej tej rozróby z Harlanem.

Na górze trzasnęły drzwi.

- Cicho... Idzie - szepnął Chase.

W kuchni nagle zaległa kompletna cisza. Sage wstrzymała oddech. Nikt nie widział Harlana od chwili, gdy jego ojczym nazwał go „zasmarkanym małym skurwysynem, którego przekłeta duma złamała serce jego matce”. Wtedy to Harlan gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi biura i wyszedł.

Sage rzuciła się, by go gonić, lecz zanim dobiegła do samochodu, nie było po nim śladu. Jadąc w strugach deszczu miała nadzieję ujrzeć zaparkowaną przed domem wywrotkę. Gdy skręciła w alejkę i rzeczywiście dostrzegła auto Boyda, ogarnęło ją tak ogromne poczucie ulgi, że zanosła się płaczem.

Ale potem opuściły ją siły. Zamiast pognać prosto na górę, postanowiła, tak jak i pozostali członkowie rodziny, zostawić Harlana w spokoju, by mógł poukładać sobie w głowie dramatyczne wydarzenia minionego ranka. Po latach uciekania od samego siebie musiał nagle stanąć twarzą w twarz ze swoją nieszczęśliwą młodością. Nie można go krępować, jeśli ma się uporać z tym wszystkim.

Usłyszeli odgłos kroków na schodach, a potem w jadalni, gdy szedł w kierunku kuchni. Wszyscy udawali bardzo zajętych, tylko jedna Lauren nie była skępowana. Wydmuchiwała bąbelki ze śliny prosto w matczyne policzki.

Harlan zatrzymał się w drzwiach. Od razu odszukał wzro-

kiem Sage. Dziewczyna posłała mu niepewny uśmiech, który zgasł, gdy ujrzała, że chłopak trzyma w ręku sportową torbę.

- Wyjeżdżam. Zwolniłem twój pokój. Możesz się z powrotem wprowadzić.

Ta wiadomość podziałała na zebranych jak grom z jasnego nieba. Chase pierwszy zdołał wydobyć z siebie głos:

- Wyj eźdżasz?

Harlan zbliżył się i wyciągnął do niego rękę.

- Polubiłem cię od razu, gdy spotkaliśmy się w zeszłym roku w Houston. Teraz lubię cię jeszcze bardziej, bo lepiej cię poznałem. Powodzenia.

Później podszedł do Lucky'ego i klepnął go w lewe ramię.

- Uwierz, że strasznie mi przykro z powodu twojej ręki. Naprawdę nie chciałem. Jesteś wspaniałym facetem.

Potem zwrócił się do obu braci:

- Wszystko dziś rano sprawdziłem. Z tymi nowymi komputerami pompy pracują bez zarzutu. W garażu znajdziecie w kartotece wszystkie moje rysunki. Jeśli wasi ludzie będą ich używać jako wskazówek, nie powinni mieć żadnych problemów z instalacją i montażem.

- Okropnie mi przykro, że odchodzisz, Harlan - rzekł cicho Chase.

- Najwyższa pora. - Spojrzał szybko na Sage. - A nawet pewnie za późno.

- A co z twoją prowizją? Skąd będziemy wiedzieli, dokąd przesyłać czeki? Jeśli uda się przeprowadzić niektóre z transakcji, jakie rozpoczęliście z Sage, będzie ci się należało mnóstwo forsy.

Chłopak machnął ręką.

- Na razie mam gotówkę. Jeśli będę potrzebował pieniędzy, skontaktuję się z wami.

Wiedzieli doskonale, że nie zrobi tego.

Już od drzwi dodał:

- Devon, Marcie, opiekujcie się dziećmi. A ty, Pat, opiekuj się Laurie. Ona jest kochana.

Laurie wstała i wyciągnęła ku niemu ręce w matczynym geście.

- Harlan, proszę cię...

- Żegnajcie wszyscy. - Nałożył kapelusz i wyszedł.

Sage utkwiała wzrok w zamkniętych przed chwilą drzwiach. Czuła, że zgromadzeni robią, co mogą, by nie patrzeć na nią z litością.

Bez namysłu rzuciła się za nim. Jak zawodowy sprinter przemknęła przez pokoje wymijając meble, wypadła na ganek i zeskoczyła ze schodków. Nie zważając na zimny ulewny deszcz pędziła, aż dogoniła Harlana, który wrzucał już torbę do szoferki.

Złapała go za rękaw i szarpnęła ku sobie.

- I co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?! Nie możesz mnie tak po prostu zostawić!

- Wracaj do domu, bo zmokniesz.

- Nie obchodzi mnie, że zmoknę. Tak samo, jak nie obchodzi mnie, czy jesteś biedny jak mysz kościelna, czy też stanowisz najlepszą partię w Teksasie. Chcę cię... Możesz pławić się w bogactwie, możesz też być goły jak święty tu-recki.

Wybiegając z kuchni zapomniała odłożyć nóż. Wymachiwała nim teraz przed nosem chłopaka.

- Nauczyłam się dzisiaj czegoś o sobie: jestem człowiekiem, z którym należy się liczyć. Najpierw myślałam, że Hardtack przyjechał tylko po to, żeby cię znaleźć. Ale jakieś pół minuty temu dotarło do mnie, że nie musiał podpisywać kontraktu z nami, by cię zlokalizować. Kiedy tylko kapuś namierzył nas, twój ojczym mógł już wypiąć się na naszą firmę i zwrócić się prosto do ciebie. A zatem rzeczywiście, jak sam przyznał, kupiłam go. Nie załatwiłam tego kontraktu dzięki tobie, lecz pomimo ciebie! Och!

Zdusiła przekleństwo.

- I ty oskarżałeś mnie o przemilczanie prawdy, podczas gdy sam od lat żyłeś w kłamstwie. Czas, żebyś przestał udawać, że jesteś kimś innym, niż jesteś, Harlan. Czas pojednać

się z Hardtackiem, jeśli nie dla twojego własnego dobra, to już z pewnością dla dobra twojej biednej matki.

I jeszcze jedno, panie Boyd. Nie możesz się ze mną kochać, oświadczać mi się, a potem tak po prostu spłynąć. Jak śmiałeś coś podobnego wymyślić? Stawiać mnie w idiotycznej sytuacji przed całą rodziną, gdy właśnie zapowiedziałam im, że się pobieramy? Tym razem jednak chowam dumę do kieszeni i nie mam zamiaru udawać, że mi wszystko jedno, jak zrobiłam w przypadku Trvisa. Bo ten raz się liczy.

Zaraz będę gryzła, kopała i wrzeszczała. Jeśli zajdzie potrzeba, to położę się pod koła ciężarówki. Przechwalałeś się, że nigdy nie odchodzisz, jeśli czegoś nie zakończysz. Zeszłej nocy obiecałeś pozostać mi wiernym i uczynić mnie szczęśliwą. I to właśnie zajmie ci czas do końca życia. Nie możesz mnie posądzić, że chcę za ciebie wyjść dla pieniędzy. Bo gdy mnie zapytałeś, a ja się zgodziłam, nie miałam pojęcia, czy masz choćby pięć centów. A kochałam cię wtedy tak samo jak teraz. Więc zabieraj stąd tę torbę i zanieś ją z powrotem na górę. Nigdzie nie pojedziesz beze mnie!

Twarz Sage zalewały strugi deszczu. Ubranie przyklepiło się do jej ciała. Zmoczone, skołtunione pęki włosów oblepiały jej twarz i szyję. Ale ona nie zwracała na to uwagi.

Swym cudownym, jakby wiecznie ociągającym się głosem, Harlan zapytał:

- A jeśli nie wrócę, to zadźgasz mnie tym nożem?

- Niewykluczone. Ożenisz się ze mną, nawet jeśli miałabym cię wcześniej zabić!

Klnąc siarczyście, ponuro kręcił głową, wpatrzony w zapłakany krajobraz. Gdy spojrzął znów na Sage, jego twarz opromienił uśmiech. Złapał ją za pasek od spodni i przyciągnął ku sobie.

Wyrwał jej z ręki rzeźnicze narzędzie i cisnął je za siebie. Z pluskiem wylądowało w pobliskiej kałuży.

- Mam mnóstwo forsy - rzekł.

- I co z tego?

- I nigdy nie pozwolę, by mnie omamiły, Sage. Nie licz na to, że kiedykolwiek zmienię stosunek do pieniędzy.

- Liczę jedynie na to, że nigdy nie zmienisz stosunku do mnie.

- A jaki ja mam do ciebie stosunek?

- Kochasz mnie. Adorujesz. Jesteś do mnie przywiązany. Umarłbyś, gdybym znikła z twego życia. Rozgrzewam cię, podniecam i uszczęśliwiam.

Roześmiał się i podniósł ją. Oplotła nogami jego biodra. Zaczęli kręcić się w kółko, nie bacząc na ulewny deszcz.

- Jesteś szalona, ale się nie mylisz.

- Co do czego?

- Co do tego wszystkiego, co wykrzyczałaś.

- No to pocałuj mnie na znak, że mam rację.

Gdy w końcu odsunęli się od siebie, zerknął bojaźliwie w kierunku domu.

- Do diabła, Sage. Jeśli nie przestaniesz mnie tak całować, będziemy musieli rozpocząć miesiąc miodowy tu i teraz.

Dziewczyna przygryzła wargę.

- O to właśnie chodzi...

EPILOG

- Harlan, zbudź się, już czas.
- Sapnął i wtulił twarz w jej włosy.
- Chciałbym, kochanie, ale jestem wykończony. Nie możesz poczekać do rana?
- Sage zaśmiała się cichutko i zsunęła jego rękę błędzącą po piersi.
- Nie chodzi mi o to. Czas jechać do szpitala.
- Poderwał się.
- Dziecko?
- Od dwóch godzin mam skurcze.
- Od dwóch godzin! Sage, do diabła, czemu mnie nie obudziłaś?
- Jak sam powiedziałaś, jesteś wykończony. Naprawdę nie musiałaś jechać całą noc z Luizjany.
- A co byś teraz zrobiła, gdybym nie wrócił, co? - Jednym płynnym ruchem wbił się w dzinsy.
- Przyjechał właśnie z sąsiedniego stanu, gdzie sprzedawał sprzęt wydzierżawiony przez Spółkę Wiertniczą Tylera nowej firmie naftowej, kierowanej przez ojczyma. Gdy o zmierzchu zadzwonił do Sage z wiadomością, że wraca, starała się zniechęcić go do wyprawy o tak późnej porze. Teraz cieszyła się, że postawił na swoim.
- Zostawiłem cię na tak długo, kochanie - powiedział przez telefon.
- To przecież tylko dwa dni.
- O wiele za dużo.
- Uśmiechnęła się na wspomnienie żarliwości, z jaką to powiedział, i sięgnęła do telefonu na nocnej szafce.
- Zadzwonię do lekarza.

- Gdzie jest ta przeklęta walizka? - zapytał, rozgarniając zamasyżycie wiszące w szafie ubrania. - Dobrze chociaż, że już ją spakowałeś. No, gdzie ona jest?

- W drugiej szafie. - Poprosiła, by przekazano lekarzowi, że jest w drodze do szpitala i odłożyła słuchawkę. - Harlan, uspokój się. Mamy mnóstwo czasu. Jeszcze nawet nie odeszły mi... O... Och...

- Co?! Co jest? - Harlan błyskawicznie wychylił głowę z szafy.

- Właśnie odeszły mi wody.

Klnąc siarczyście owinął ją w koc i zaniósł do samochodu.

- Oddychaj - rozkazał, choć jego własny oddech był bardzo niemiarowy. - Pamiętaj, żeby oddychać tak, jak cię uczyli w szkole rodzenia.

Usadowił ją na miejscu koło kierowcy i nie dopiąwszy nawet koszuli, rzucił się za kółko.

- Zapnij koszulę - rzekła Sage, gdy odjechali sprzed domu, który sprzedała im Marcie, w prezencie ślubnym rezygnując ze swojej prowizji.

- Jak możesz w takiej chwili przejmować się moją koszulą?

- Nie chcę, żeby wszystkie pielęgniarki śliniły się na widok twojej nagiej piersi.

Na światłach zatrzymał się tylko po to, żeby prędko zapiąć guziki, później pognął dalej jeszcze na czerwonym.

- Wlepią ci mandat - ostrzegła.

- Mam znajomości w ratuszu.

- Już niedługo. Pat w przyszłym tygodniu przechodzi na emeryturę. Och, Harlan, nie mogę przecież stracić tego przyjaciela!

Laurie zmieniła nie do poznania kawalerskie gniazdko Pata, czyniąc z mieszkania istny pokazowy dom dla lalek. Uwielbiała to miejsce, bo miała stamtąd blisko do wszystkich swych przyjaciół. Praktycznie rzecz biorąc, Laurie i Pat trwali nieprzerwanie w atmosferze miodowego miesiąca - trudno powiedzieć, które bardziej szczęśliwe.

- Jeśli będzie trzeba, przesuną przyjęcie - zapewnił Harlan żonę. Położył rękę na jej brzuchu. - To wcześniak, tak? Ale czemu? Chyba nic się nie stało?

- Nic. Po prostu chce cię wcześniej poznać. Tyle mu o tobie naopowiadałam - odparła pogodnie, głaszcząc go po dłoni.

Zatrzymali się z piskiem opon przed wejściem szpitala. Nie czekając na pomoc, Harlan złapał żonę w ramiona i zaniosł do środka.

Gdy Sage została już oficjalnie zarejestrowana, pielęgniarka oznajmiła:

- Panie Boyd, teraz lekarz musi porozmawiać z nią sam na sam. Za parę minut będzie pan mógł do nich dołączyć.

- Zadzwoń do wszystkich! - krzyknęła przez ramię Sage, gdy wieziono ją w głąb korytarza.

Harlan powiadomił rodzinę, a potem przyłączył się do Sage na sali porodowej, założywszy na siebie przepisowy kitel.

- Stanowczo to twój odcień niebieskiego - zauważyła Sage, gdy ujrzała ten strój.

- Jak zwykle: gaduła! Nie potrafi ani na chwilę zamilknąć. - Pochylił się nad nią. Jego oczy stały się nagle poważne. - Cholera, Sage, kocham cię.

- Ja też cię kocham. - Schwyciła jego dłonie. - Chyba trochę się boję.

- Ty?

- Tak. I wiesz, nikomu innemu bym tego nie powiedziała. Zostań ze mną, Harlan.

- Na zawsze, kochana. Możesz na to liczyć.

Sage dyszącą, rozdrażnioną i wyzywającą swego położnika od bezlitosnych męskich drani szowinistycznych, zawieziono na porodówkę. W parę minut później, w asyście Harlana, urodziła syna. Sympatyczny lekarz złożył wrzeszczącego noworodka prosto w wyczekujące ramiona ojca.

- Gratulacje, panie Boyd.

- Mów mi Harlan - odparł bezmyślnie świeżo upieczony tatuś i położył syna na piersi Sage.

- Och, ależ on piękny! - wyszeptała z łękiem. - Popatrz, Harlan, jakie cudne dziecko zrobiliśmy!

Dopiero godzinę później zostali sam na sam z synkiem. Pielęgniarka zastrzegła jednak, że nie będą mogli zatrzymać go długo.

Sage pogładziła palcem jasną kępkę włosów.

- Ma twoją fryzurę, Harlan. I twój nos.

- I mojego penisa.

- Oj! - krzyknęła. Oboje uśmiechnęli się porozumiewawczo. - Raczej nie... - Zaśmiali się cicho i pocałowali. - Zawiadomiłeś wszystkich?

- Zjawią się, żeby go zobaczyć, jak tylko pozwoli im na to personel szpitala. A swoją drogą powinniśmy mieć w tym szpitalu zniżkę ze względu na fakt, że często z niego korzystamy.

Ku ogólnej radości, Marcie obwieściła, że jest znowu w ciąży, choć Jamie nie miał jeszcze roku. Wyjaśniła, że jej zegar biologiczny bije coraz szybciej. Pracowała teraz jedynie na pół etatu, lecz firma niezmiennie prosperowała znakomicie, więc jej szefowa mogła oddać się zaspokajaniu instynktu macierzyńskiego. Chase i Marcie byli niewypowiedzianie szczęśliwi.

Kolumna Devon zaczęła się ukazywać w kilku gazetach poza stanem Teksas. Lucky rozmawiał z żoną o drugim dziecku, choć przysięgał, że nie potrafi już spółdzić tak wspańskiego maleństwa jak Lauren. Dodawał jednak niezmiennie, że chętnie spróbuje.

Spółka Tylera miała teraz więcej zamówień niż możliwości ich realizacji. Firmowe ciężarówki praktycznie nie przestały kursować między miastami. Jeszcze parę tygodni temu Sage zarządzała działem systemów nawadniających, opracowywała grafiki, ubiegała się o nową klientelę, prowadziła nowo założone biuro, w którym zatrudniono dwie urzędniczki.

- A co z Marian i Graysonem? - zapytała Sage męża. - Dzwoniłeś do nich?

- Mama oszalała ze szczęścia. Przylatuje jutro rano.

Sage pieszczotliwie pogłaskała go po policzku. Dzięki jej zabiegom Greyson i Harlan odnosili się do siebie w miarę przyzwoicie. Nadal nie mogli jednak dojść do pełnego porozumienia, gdyż Harlan odmówił partnerowania ojczymowi w interesach. Najważniejsze jednak, że matka i syn pogodzili się już na dobre.

Harlan przyznał się Sage, że rany wyniesione z wczesnej młodości rozdrapywał jeszcze w dojrzałym życiu. Nigdy właściwie nie wierzył, że matka dopuściła się zdrady za życia ojca ani też, że Greyson popełnił niegodziwy czyn. Łatwiej było mu po prostu obwiniać obydwójce za to, co się stało, niż zogniskować gniew na czymś, z czym nie mógł się uporać.

Grayson, z jego szorstkim usposobieniem, stanowił kompletne przeciwieństwo łagodnego, bezkonfliktowego człowieka, jakim był ojciec Harlana. Chłopiec nie potrafił zaakceptować tego kontrastu. Sage cierpliwie tłumaczyła mężowi, że Grayson nie traktuje Marian tak jak konkurencji w interesach.

- Jestem pewna, że bardzo ją kocha.

- Przypuszczam, że tak. Ale gdy matka za niego wyszła, zacząłem uważać pieniądze za wielkie zło - odparł, starając się wytłumaczyć swe postępowanie. - Jeśli masz dużo pieniędzy, możesz panować nad innymi ludźmi. Nie chcę takiego życia.

W ciągu paru ostatnich miesięcy Harlan zaczął interesować się swoim spadkiem, ale tylko z tego względu, iż męczyła go świadomość, że pieniądze leżą odłogiem, podczas gdy tyle dobrego mógłby za ich pomocą uczynić. Dyskretnie więc zajął się działalnością charytatywną. Liczne organizacje i towarzystwa dobroczynne, które otrzymały od niego pokaźne sumy, nigdy nie dowiedziały się, skąd pochodzą te oszalałymi datki.

- Czemu przedtem nie robiłeś tego? - zapytała Sage pewnego razu. - Gdy wiedziałeś, że nasza firma ma kłopoty, dlaczego po prostu nie zaoferowałeś pieniędzy Chase'owi?

- Bo same pieniądze niewiele by pomogły. A przynajmniej nie na długo. A poza tym lubię we własny sposób rozwiązywać problemy. Ludzie nie najlepiej przyjmują dobroczynne gesty, natomiast, jeśli nie masz do czynienia z idiotami, są na ogół otwarci na dobre pomysły. Dałem twym braciom satysfakcję, że wiedzą, iż sami przezwyciężyli trudności. Gdybym wystawił tylko czek, pozbawiłbym ich zadowolenia. Zrezygnowałem... również i siebie.

Harlan nadal nosił najstarsze na świecie dżinsy i jeździł wywrotką, którą Sage wielokrotnie obiecywała unicestwić, jeśli jeszcze raz się zepsuje. Mąż twierdził jednak, że można nią jeszcze spokojnie przejechać ładnych parę setek kilometrów...

Sage popatrzyła na Harlana z miłością i rzekła cicho:

- Zapytali mnie, jak wypełnić świadectwo urodzenia. Po dałam więc imię. On się będzie nazywał Daniel Tyler Boyd.

- Daniel - powtórzył ochryple. W oczach błysnęły mu łzy. - Dziękuję, Sage. Podoba mi się. - Głośno przełknął ślinę. - Nie mogę pojąć, dlaczego on tyle waży. Wcześniak, i prawie cztery kilo... Niewiarygodne!

Sage oblizła wargi.

- Wiesz, on właściwie nie jest wcześniakiem.

- Powiedziałaś, że będziesz rodzić na początku listopada.

- Powiedziałam. Ale tak naprawdę Daniel urodził się w terminie.

- Ale dziś mamy pierwszy października, co oznacza, że to stało się... na początku stycznia...

- Uhm.

Gdy wreszcie zrozumiał, spojrzął jej w oczy.

- Ty mała kłamczucho! I cały ten czas byłaś w ciąży? A więc to jednak wtedy, w przyczepie? Skłamałaś więc, oświadczając, że nie będzie dziecka.

- Właściwie nie kłamałam, kiedy o tym mówiłam. Jeszcze nie wiedziałam. Nie chciałam poza tym, żeby znów doszło do rękoczynów. A już z pewnością nie wyobrażałam sobie,

że miałbyś mnie poślubić z obowiązku czy litości. A więc... tak. Zaprzeczyłam, a Daniel miał już paluszki...

Harlan patrzył na nią przez chwilę z niedowierzaniem. Potem odrzucił głowę w tył i zaśmiał się głośno. Daniel zmarszczył noskę przytknięty do piersi matki.

- Niech mnie szlag trafi! - wyszeptał młody ojciec. - Ujął rączkę synka i dotykał jej delikatnie. - Słyszałeś, Daniel? Tym razem naprawdę jeden zero dla mamy!

Drugą ręką sięgnął do czupryny Sage i pochylił się do jej ucha.

- Jesteś największą piekielnicą, jaką znam, panno Sage. Ale mimo to pocałuj mnie...